



**UUK**

BOHUMIL HRABAL

Taka piękna żałoba



# SPIS TREŚCI

Spis treści . . . . .	2
Zamiast wstępu . . . . .	3
Syrena . . . . .	4
Sześćdziesiąt koron za centymetr kwadratowy . . . . .	12
Cud zdarza się co dnia . . . . .	21
Podział mieszkania. . . . .	27
Zbezczeszczone rozdzielnice . . . . .	33
Śmierć w rodzinie . . . . .	40
Motorniczy praskich tramwajów . . . . .	46
Oświetlenie publiczne . . . . .	54
Mysz ukradła dziecku smoczek . . . . .	59
Taka piękna żałoba. . . . .	68
Owce pyszczki . . . . .	76
Kiedy umiera gospodarz, nawet bydłatka płaczą . . . . .	81
Czerwona koniczyna . . . . .	86
Powrót marnotrawnego stryjaszka . . . . .	92
Škoda czterysta trzydzieści . . . . .	98
Piękna pani rzeźnikowa . . . . .	106
Muzykanci z Szumawy . . . . .	114
Gimnazjalistka . . . . .	119
Armagedon. . . . .	127
Austriacki zwycięzca . . . . .	133
Żółty ptak . . . . .	139
Altanka z wikliny . . . . .	144
Mój chrzestny Zeleny. . . . .	149

# ZAMIAST WSTĘPU

Myślę, że im dłużej idzie człowiek przez życie, tym bardziej odczuwa potrzebę powrotu do swojego dzieciństwa, tym większe odczuwa pragnienie powrotu w głąb wyobraźni chłopca, do jego postaci, by urzeczywistnić to, o czym jako dziecko myślał, o czym marzył.

Zamykając krąg swoich cykli, zatrzymałem się przy tych kilku latach szkoły powszechnej, kiedy umiałem latać nie znając zasad lotu, kiedy potrafiłem myśleć dokładniej niż później, kiedy nie rozstawałem się z książkami i wszystko stawiałem na wykształcenie.

I tak oto w tych opowiadaniach zatrzymałem piękne obrazy, które nie starzeją się wraz ze mną; w książce tej pozostaję niezmiennie chłopczykiem w marynarskim ubranku, z tornistrem pełnym książek i zeszytów na plecach, wciąż jednak pogrążonym w szczelnym dzwonie świadomej nieświadomości, wciąż wybiegającym naprzeciw tajemnicy i zdziwieniu wywołanemu osłupieniem tym, co się wokół niego dzieje.

I czując obumieranie ciała stwierdziłem, iż ten chłopiec we mnie jest nie tylko moim domowym korepetytorem, nie tylko światłem w gęstniejącym zmierzchu, lecz także miarą wszystkich owych rzeczy, których nie dotyczy ani umieranie, ani śmierć.

# SYRENA

Wybiegłem ze szkoły wprost na wybrzeże, gdzie w niewielkiej przystani stały barki z piaskiem, łodzie, z których piaskarz wywoził na taczkach piasek po wybiegającej z brzucha barki desce. Piaskarze byli zawsze opaleni od pasa w górę, nie tak jak opalają się nagusy na basenie, ale jakoś inaczej — przy pracy. Byli opaleni niczym jakaś reklama kremu do opalania. Jeden z tych piaskarzy oczarował mnie już dawno. Na piersiach i ramionach miał wytatuowane syreny, kotwice, statki żaglowe. Jeden z tych wytatuowanych żaglowców tak bardzo mi się spodobał, że i ja także chciałem mieć taki sam wytatuowany na piersiach. Już teraz czułem, jak ten stateczek rozwija żagle na moich piersiach.

Dzisiaj zdobyłem się na odwagę i zagadnąłem:

— Taki żaglowiec, jaki pan tu ma, nie da się zmyć, ma się go na całe życie, prawda?

Piaskarz usiadł na desce, wyciągnął papierosa, zapalił go i w miarę jak wdychał i wypuszczał dym, żaglowiec unosił się i opadał, tak jakby płynął po morskich falach.

— Podoba ci się? — spytał.

— Jeszcze jak! — powiedziałem.

— I chciałbyś mieć taki?

— Jeszcze jak! — powiedziałem. — Ale ile taki okręcik może kosztować?

— Wytatuowali mi go w Hamburgu za flaszeczkę rumu — powiedział piaskarz wskazując na złoty napis na swojej marynarskiej czapce.

— To znaczy, że musiałbym jechać aż do Hamburga? — szepnąłem rozczarowany.

— Skądże znowu! — piaskarz roześmiał się. — Tę kotwicę i serce przebite strzałą wytatuował mi Lojzio, który przesiaduje o tam, w gospodzie „Pod Mostem”. Za podwójny kieliszek rumu.

— A mnie by też wytatuował? — podniosłem na niego oczy.

— Za dwa podwójne kieliszki — poprawił się piaskarz kończąc palić papierosa i od tego dymu papierosowego jakby przybyło mu sił.

— A więc to palenie tak panu smakuje? — spytałem.

— Lepszy jeden papieros niż dobry obiad — odparł i obu rękami ujął mocno deskę, która prowadziła z brzucha barki na przymę piachu na brzegu, wyrzucił nogi w powietrze i wolno zrobił stójkę, dopóki nie wyprostował się nogami w górę, tak jak odbijająca się w rzece wieża dekanalnego kościoła, i te jego wytatuowane okręciki obróciły się do góry dnem. Widziałem zaczerwienione oczy piaskarza, które podbiegły mu krwią, a potem złamał się nagle w pasie i postawił boscie nogi na desce, obracając z powrotem stateczki masztami w górę: jego okręciki mogły znów rozpocząć podróż do Hamburga.

— Dziękuję! — zawołałem.

I pobiegłem wzdłuż przystani, na plecach łomotały mi w tornistrze piórniki, zeszyty i książki; zmierzałem w stronę mostu, a tam dwukonny zaprzęg próbował wciągnąć pod górkę pełen wóz piasku, konie szarpały, spod podków tryskały snopy iskier, ale wóz pełen mokrego piasku był tak ciężki, że woźnica na próżno stał przed nimi i groził im batem, a potem szarpał lejcami; konie zgłupiały, nie próbowały już ciągnąć razem, ale jeden po drugim, a to już koniec. Woźnica smagał konie po nogach, potem odwróciwszy biczysko bił je po nozdrzach, ludzie opierali się o poręcz i patrzyli na to z całkowitą obojętnością.

Poczerwieniałem na ten haniebny widok, bo koń to dla mnie święte zwierzę, oczy zaszyły mi krwią, zacząłem chwytać garście piasku i rzucać nimi w woźnicę, oczy miał pełne piasku i groził mi batem, a ja jak szalony rzucałem i rzucałem garście piasku, woźnica podbiegł do mnie i groził, że zbije mnie batem, ale ja stałem już przy balustradzie mostu i krzyczałem na niego:

— Ty, ty okrutny człowieku, umrzesz za to na jakąś brzydką chorobę!

I pobiegłem po moście tam, na drugą stronę, w połowie mostu zatrzymałem się, oparłem się o balustradę, oddychałem ciężko, czekając, żeby krew powróciła tam, gdzie była poprzednio, aż w końcu uspokoiłem się. I zawróciłem tam, gdzie most przechodzi w ulicę Mostową, skręciłem w dół, do tureckiej wieży i do młyna, a potem przez furkę obok sądów przeszedłem w blasku popołudniowego słońca przez kościelny plac, by wejść do kościoła.

W świątyni nie było nikogo, panował tu przyjemny chłód, przez chwilę rozglądałem się i z całego kościelnego wnętrza widziałem tylko dwie skarbonki koło kłęczników. I znów serce zaczęło mi mocniej bić w piersiach. Aby się uspokoić, ukląknę na kłęczniku pod figurą świętego Antoniego i udawałem, że się modlę. Z pochyloną głową szeptałem:

— Chcę mieć wytatuowany na piersi okręcik, za dwa kieliszki, potrzebne mi są pieniądze, wypożyczę je sobie ze skarbonki, słowo honoru, że te pieniądze odniosę z powrotem!

Podniosłem wzrok i wpatrywałem się w oczy świętego Antoniego, który uśmiechał się do mnie, trzymał w ręku białą lilię i nic nie miał przeciwko temu, uśmiechał się tylko. A ja oblałem się rumieńcem, rozejrzałem się, a potem odwróciłem skarbonkę i potrząsałem nią tak długo, dopóki nie wypadła pełna garść

monet. Wsunąłem je do kieszeni, po czym ukląknąłem znowu i ukryłem twarz w dłoniach, aby się uspokoić. Słyszałem, jak w pajęczynie w oknie szeleści poruszany powiewem wiatru uschły liść, z zewnątrz dobiegał odgłos kroków i oddalający się turkot wozów. Zastanawiałem się, czy nie powinienem raczej pożyczyć od księdza dziekana, ale wiedziałem, że by mi to wyperswadował, ponieważ chodziłem do kościoła dzwonić, byłem czymś w rodzaju zastępcy kościelnego, ministranta. A zresztą pieniądze i tak do skarbonki wrzucę z powrotem, więc po co się martwić? Wstałem i podniósłszy palec, przysiągłem:

— Daję słowo honoru, że pieniądze zwrócę, i to z procentami!

I zacząłem się z wolna wycofywać, święty Antoni wciąż uśmiechał się łaskawie, i wybiegłem z kościoła na słońce, które rozpuszczało ściany i dachy domów, tak że w pierwszej chwili nic nie widziałem. A kiedy łzy wypłynęły mi z oczu, zdrewniałem z przerażenia. Naprzeciw mnie szedł tęgi posterunkowy, komendant policji we własnej osobie, pan Fidermuc, szedł prosto na mnie, zatrzymał się, jego cień mnie przesłonił, serce znów zaczęło mi bić w piersi jak oszalałe, tak że opuściłem oczy, widziałem, jak czarna kokarda na mojej marynarskiej bluzie porusza się w rytm serca, wyciągnąłem ręce krzyżując je w przegubach. Komendant policji stał tuż przy mnie, szukał czegoś po kieszeniach, a ja doskonale wiedziałem, że szuka stalowych kajdanków. Nie znalazłszy ich w kieszeniach granatowej kurtki, wsunął ręce do kieszeni spodni. Teraz je znalazł, ale z satysfakcją wyjął porte-cigares, długo wybierał cygaro, po czym ugniółszy je w palcach, zapalił ze smakiem i przeszedł, otarłszy się niemal o mnie tym swoim wielopudowym brzuchem.

Uniosłem powieki, przez chwilę spoglądałem na swoje skrzyżowane ręce, po czym z uczuciem ulgi pobiegłem z powrotem na most. Tornister z piórnikiem, książkami i zeszytami podrygiwał mi na plecach, a ja przytrzymałem kciukami jego paski; przebiegłem most, a potem moje nogi przemierzyły pospiesznie schody prowadzące w dół, ku rzece. Tutaj, gdzie kończył się łuk mostu, zawsze panowała cisza, nikt tu z własnej woli nie chodził, a jeśli już, to tylko po to, aby załatwić mniejszą lub większą potrzebę. Tu właśnie miałem swój schowek za ruchomym kamieniem, gdzie ukryłem atrament i pióra. Ilekroć nie odrobiłem zadania domowego, a pan kierownik mnie wywoływał, mówiłem, że zapomniałem zeszytu w domu. Wobec tego pan nauczyciel posyłał mnie do domu po to zadanie, ja zaś, aby zaoszczędzić czasu, kupowałem w sklepie papierniczym zeszyt i tutaj pod mostem — a było tu cicho i sucho — pisałem na kolanach wypracowanie. Tutaj też siadłem teraz i przeliczyłem posiadane pieniądze. Miałem dość nie na dwa, ale na sześć kieliszków rumu. . .

W gospodzie „Pod Mostem” było wesoło.

— Cóż to za marynarzyk przyszedł tu do nas? — wykrzyknął pan Lojzio.

A ja stałem przed nim w marynarskiej bluzie i okrągłej marynarskiej czapce z czarną wstążką, która w tyle rozdwajała się jak ogon jaskółki, nad czołem lśniła

złota kotwica, a pod nią złoty napis „Hamburg”, pan Lojzio zdjął mi czapkę i włożył na swoją głowę, i zaczął się wygłupiać, piaskarze śmiali się, a ja uśmiechałem się i czułem się szczęśliwy, pan Lojzio krążył po gospodzie, salutował i robił takie miny, że śmiałem się tak samo jak pozostali goście.

Pomyślałem sobie, że jak będę duży, to też będę siedział w gospodzie „Pod Mostem” i że będę uważał za wielki zaszczyt popijanie z tak sympatycznymi paniami, co to pracują na wodzie. Panu Lojzowi brakowało przednich zębów i potrafił tak zręcznie wywinąć dolną wargę nad górną, że dolną wargą oblizywał sobie czubek nosa.

Pan Lojzio chodził więc w mojej okrągłej marynarskiej czapce, stół piaskarzy pod oknem bił mu brawo, a gospodarz roznosił kufle piwa.

Zamówiłem dwa podwójne rumy.

— Panie Lojziu — powiedziałem. — Ja panu stawiam.

— Hohoho, a skądżeś wziął forszę?

— Pożyczyłem — ja na to. — Od samego Pana Boga.

— Oho! Rozmawiałeś z nim?

— Nie, nie było go w domu. Pożyczył mi taki jeden z jego świty. Święty Antoni. Pożyczył mi tę forszę, aby mi pan wytatuował na piersi piękny okręcik. Taki sam, jak ma na piersiach piaskarz, o ten tam, pan Korecki.

Pan Lojzio roześmiał się.

— Ha, ha — powiedział — jeśli samo niebo maczało w tym palce, to zrobimy okręcik. Ale kiedy?

— Natychmiast teraz — ja na to. — Dlatego tu jestem.

— Ależ synku, nie mam przy sobie igły.

— To niech pan po nią skoczy — powiedziałem.

— Psiakrew — wykrzyknął pan Lojzio. — Ten malec potrafi częstować kaszanką po szynce. — I wypił jednym haustem kieliszek rumu, po czym między kolanami gości przecisnął się od okna do drzwi, skąd dał mi ręką znać, że idzie nie tylko po igłę, ale i po tusz do tatuowania.

Piaskarze posadzili mnie między siebie, gospodarz przyniósł mi wodę sodową z sokiem malinowym.

— A ileż to wasz ksiądz dziekan ma kucharek, dwie czy trzy? — spytał mnie piaskarz pan Korecki.

— Dwie — ja na to — ale obie bardzo młodziutkie.

— Młodziutkie? — zawołali chórem piaskarze.

— Młodziutkie — potwierdziłem. — Jak ksiądz dziekan jest w dobrym humorze, panowie, to sadza jedną z kucharek na krześle, schyla się, wsuwa dłoń pod siedzenie, zupełnie tak samo jak pan gospodarz, kiedy niesie tacę pełną kufli z piwem, i nagle — hej rup! — podnosi piękną kuchareczkę aż pod sufit, spódniczka kuchareczki wicherzy mu włosy, a on nosi ją na krześle po kuchni.

— Ohoho! — wykrzyknęli piaskarze. — Spódniczka wicherzy mu włosy!



— Wygląda to jak aureola — ciągnąłem. — Nasz ksiądz dziekan, panowie, jest silny jak szwajcarski byk. Miał pięcioro rodzeństwa, a jego tatuś był tak silny, że dzieci kładły mu na czole orzech, tatuś podnosił palec i łup go! Palcem łuskał orzechy lepiej niż dziadkiem do orzechów. Ale ksiądz dziekan będąc dzieckiem, a potem chłopakiem, okazał się najsłabszy spośród tych sześciorga dzieci, tak słaby, że nie nadawał się do pracy w lesie, więc rodzice zadali sobie pytanie: co z takim robić? I posłali go na studia, żeby się wyuczył na księdza. Na kolację podawano ogromną misę ziemniaków, cała rodzina siedziała przy stole z przygotowanymi łyżkami i naraz mamusia dawała znak łyżką, i osiem łyżek co do jednej sięgało do tej misy na wyścigi, tak szybko i tak długo, dopóki w misie był choćby jeden ziemniak. — Opowiadałem z powagą i sam sobie przytakiwałem. Piaskarze chcieli się śmiać, ale jakoś odeszła im ochota do śmiechu.

Tymczasem powrócił pan Lojzio, potrząsał w drzwiach buteleczką i igłą w otwartej walizeczce, takiej samej, jaką nosi konował, pan Salwet.

Niecierpliwie ściągnąłem bluzkę przez głowę, a pan Lojzio postawił otwartą walizeczkę na stole.

— No a teraz powiedz: jaki okręcik ci wytatuować? Barkę, korab, brygantynę, parowiec? — wypytywał pan Lojzio, ruchem ręki dając piaskarzom znak, aby postawili swoje kufle z piwem na drewnianym parapecie okna.

— To pan umie malować wszystkie okręty? — klasnąłem w dłonie.

— Możesz sobie wybrać — powiedział pan Lojzio i znów dał znak ręką: jeden z piaskarzy zdjął noszoną na nagim ciele kamizelkę kombinezonu i obrócił się do mnie plecami pokrytymi bez reszty najrozmaitszymi tatużami: wizerunki syren sąsiadowały ze zwiniętymi linami, sercami, inicjałami i żaglowcami. Oczy wychodziły mi na wierzch na widok tych pięknych rysunków i żałowałem w duchu, że nie wziąłem z kościelnej skarbonki wszystkich pieniędzy, wszystkich monet, bo chciałem mieć wytatuowane to wszystko, co widziałem na plecach i piersiach piaskarza. Za wszelką cenę!

— A więc wybieraj! — powtórzył pan Lojzio.

Wskazałem malutką żaglówkę, pan Lojzio przykrył stół gazetą i położył mnie na wznak.

— A nie będzie to boleć? — uniosłem się.

Pan Lojzio przygniótł mnie na powrót do stołu, wpatrywałem się w sufit, a on powiedział, że odrobinę mnie tylko ukłuje.

— A więc mówisz chłopcze, że chcesz łódeczkę?

— Łódeczkę, taką samą, jaką Pan Jezus pływał ze swoimi uczniami po jeziorze Genezaret — powiedziałem patrząc w górę, słyszałem, jak krzesła się przesuwają, jak piaskarze pochylają się nade mną, czułem ich oddechy, tchnęli wonią wódki wprost w moją twarz, pan Lojzio igłą zanurzoną w zielonym tuszu wykłuwał mi na skórze kropeczki, usypiałem w pełni uszczęśliwiony. Piaskarze ogrzewali mnie ciepłymi oddechami, czułem się tak, jakbym leżał w żłobku i jakby

nade mną pochylali się pasterze i wół, i osiołek, jakbym był Dzieciątkiem Jezus. I słyszałem głosy:

- Ho, ho, ależ ta łódź będzie miała wspaniałą rufę!
- Lojziu, zrób jej żagle jak się patrzy!
- Co tam żagle, wspaniałe burty, to najważniejsze!
- Ta łódź musi mieć nie byle jakie zanurzenie, porządny ster. . .

A ja leżałem na wznak na stole w gospodzie „Pod Mostem”, budziłem się i chciałem się podnieść, ale pan Lojzio łokciem przyciskał mnie łagodnie z powrotem do stołu. A kiedy usnąłem, pan Lojzio obudził mnie i zaczął pakować swoje przyrządy, swoje instrumenty do tatuowania.

— No, kawalerze, łódeczka gotowa, nikt ci już jej nie odbierze, nie zetrze, a jeśli, to tylko w Pradze, robi to pewien doktor, co naciąga aktorom skórę i usuwa zmarszczki i piegi, ale trzeba płacić pięćdziesiąt koron za centymetr kwadratowy. . .

Pan Lojzio opowiadał, a piaskarze śmiali się, rechotali, tak że dosłownie tonęli we łzach, siedziałem na stole, a kiedy chciałem obejrzeć łódeczkę, pan Lojzio rzucił mi bluzę i sam mi ją włożył przez głowę, i sam zapiął mi jej przodzik w paski. Potem pomógł mi założyć na ramiona pasy szkolnego tornistra, włożył mi na głowę owalną czapkę i poprawił kotwicę i złoty napis „Hamburg”.

— Panie gospodarzu — zawołałem — jeszcze dwa rummy i rachunek. — Uśmiechałem się do wszystkich piaskarzy, a oni odpowiadali mi uśmiechem, ale nie tak jak poprzednio — jakby w poczuciu winy, nie patrzyli mi już w oczy. Zapłaciłem, dałem gospodarzowi resztę monet jako napiwek, bo kto ma na piersi łódź żaglową, musi mieć gest.

— Proszę, panie gospodarzu, to dla pana — powiedziałem i odwróciłem się w drzwiach, zaszalutowałem i wśród głośniego śmiechu piaskarzy wybiegłem w zmierzch. . .

Na moście znalazłem się w śnieżnej zamieci pośrodku lata. Z głębi rzeki wzbijały się setki tysięcy jętek, leciały ku światłu latarni gazowych i spadały na bruk, przy słupach tworzyły się z nich istne zasy. Uderzały mnie w twarz, a kiedy pochylałem się i wsunąłem rękę w stos jętek, poruszały się jak kipiąca woda. Ludzie ślizgali się na nich, jakby padała marznąca mżawka. A ja kroczyłem dumnie, nikt jeszcze nie widział i nie wiedział, że mam wytatuowaną na piersi łódeczkę, która będzie pływać ze mną wszędzie tam, gdzie ja będę, a kiedy będę się kąpać, kiedy będę pływać crawlmem, jej dziób będzie pruć taflę rzeki; kiedy będzie mi smutno, rozepnę koszulę jak Pan Jezus na świętych obrazach, Pan Jezus rozpinający koszulę, aby pokazać ludziom swoje gorejące serce otoczone cierniową koroną. I już na moście postanowiłem, że pierwszą osobą, której muszę pokazać swój okręcik, będzie ksiądz dziekan. Idąc od latarni do latarni gazowej w chmurze jętek, wszedłem przez wielką bramę na plebanię, na podwórku stała latarnia, wzdłuż ogródka warzywnego podszedłem aż do oświetlonych okien plebanii. Po ścianie na drabin-

kach z listewek pięło się dzikie wino, wdrapałem się na górę, a kiedy trzymając się jedną ręką listewki, drugą rozgarnąłem witki i liście, zobaczyłem najpierw stół obity zielonym sukniem, na którym stała butelka wermutu i opróżniona do połowy szklanka. A potem zobaczyłem coś, czego chyba nie powinienem widzieć. Ksiądz dziekan związywał dwie śmiejące się kucharki obrusem czy też prześcieradłem. Związawszy je przykleknął i zbliżył nos do ich brzuchów. Spuściłem skromnie oczy, ale kiedy wreszcie zdobyłem się na odwagę, aby spojrzeć, zobaczyłem coś, co na pewno zachwyciłoby nawet piaskarzy w gospodzie „Pod Mostem”. Ksiądz dziekan trzymał w zębach ten obrus, rozpostarł ręce jak cyrkowiec i trzymał teraz w zębach związane kucharki, które fikały czarnymi trzewiczkami, ufryzowanymi włosami dotykając sufitu, a ksiądz dziekan nosił je dokoła pokoju, ja zaś cieszyłem się, że ksiądz dziekan ma tyle siły, że zdoła unieść dwie związane prześcieradłem kucharki, tak jak Pan Jezus. Obszedłszy kilkakrotnie pokój, pochylił się znowu i postawił te swoje kuchareczki na ziemi. I zwałił się na fotel, śmiał się, kobiety obciągały spódniczki, ksiądz dziekan zaś wypił wino do dna i nalał sobie znowu pełną szklankę. Ostrożnie zszedłem po drabince z poprzecznych listewek na ziemię, obszedłem róg plebanii i zapukałem do drzwi. Usłyszałem kroki, drzwi otworzyły się i kuchareczka zaprosiła mnie do środka.

— Co się stało? — spytał ksiądz dziekan trzymając w palcach szklankę.

— Księżę dziekanie — powiedziałem — proszę mnie pobłogosławić!

— Dlaczego tak późno? I co ci mam pobłogosławić?

— Proszę tylko popatrzeć, księżę dziekanie!

I odpiąłem przodzik w paski błękitne niczym morskie fale, i rozchyliłem marynarską bluzę. I stałem tak w błękitnej czapce marynarskiej na głowie, niczym święty Alojzy w aureoli, i nie posiadałem się ze szczęścia. Ale kuchareczki przestraszyły się i zakryły sobie oburącz usta. Jętki uderzały o szyby w oknach i spadały w dół, w dojrzewające kwiaty floksów. Ksiądz dziekan podniósł się, pogłaskał mnie po ramieniu i spojrzał mi prosto w oczy.

— Kto ci to zrobił?

— Pan Lojzio w gospodzie „Pod Mostem”.

— I co ci tam wytatuował?

— Łódceczkę, taką łódź żaglową, jaką pływał Pan Jezus.

Ksiądz dziekan wydał polecenie i obie kuchareczki przydzwigały, każda z jednej strony je przytrzymując, wielkie lustro z przedpokoju, ksiądz dziekan dał im znak — panny kuchareczki przyklekły. Za mną pochylała się twarz księdza dziekana. . . I zobaczyłem, że mam na piersiach wytatuowaną zieloną syrenę, pannę morską o pokrytym łuskami ogonie, pannę morską nagą do pasa, która uśmiechała się zupełnie tak samo jak te kuchareczki, kiedy ksiądz dziekan podnosił je w zębach, związane ogromnym obrusem. Pociemniało mi w oczach ze strachu i ze zdumienia.

— Z czymś takim nie możesz już służyć do mszy. Co ty na to?

— Sześćdziesiąt koron za centymetr kwadratowy — bąknąłem i oburącz zakryłem syrenę.

Kuchareczki wybuchnęły śmiechem, ale ksiądz dziekan zrobił ruch ręką, jakby je skazywał na wieczne potępienie.

— Cieszę się — mówił z wolna ksiądz dziekan przemierzając niespiesznie pokój — cieszę się, że przyszedłeś właśnie do mnie. Nie będziesz miał łatwego życia.

I poklepał mnie po plecach.

# SZEŚĆDZIESIĄT KORON ZA CENTYMETR KWADRATOWY

Siedziałem przy małym stoliku i pilnie odrabiałem zadania domowe, a przez dziedziniec browaru szedł właśnie stryjaszek Pepi. Ta jego czapka marynarska, jaką uszył mu na miarę sam mistrz kapelusznik i czapkarz pan Szyszler na wzór białej czapki, jaką nosił Hans Albers, czapka ta płynęła niczym łódź poprzez dziedziniec browaru. Nagle stryj zatrzymał się, wyjął z kieszeni szczoteczkę, zdjął czapkę i zaczął ją starannie czyścić, i to tak delikatnymi ruchami, jakby głaskał malutkiego ptaszka. Po chwili włożył ją z powrotem na głowę i pełen dumy wszedł do nas. Na kolację jedliśmy posmarowane smalcem pajdy chleba, matka przyniosła wiaderko, kroiliśmy chleb i jedli ze stryjaszkiem kromkę za kromką, popijając piwem.

— Takie jedzenie najbardziej lubił arcybiskup Khon — krzyczał stryjaszek Pepi z pełnymi ustami.

Jego biała czapka ze złotymi sznurami i ogromną złotą kotwicą nad czarnym daszkiem jarzyła się na posłanym łóżku. Ni stąd, ni zowąd zjawił się kot Celestyn, a kiedy wskoczył na posłane łóżko, mamusia zauważyła, że jarzy się tam stryjaszkowa czapka, wzięła ją więc i powiesiła na wieszaku, bo na białym łóżku mógł leżeć jedynie kot Celestyn, nawet jeśli miał zabłocone łapy.

Tatuś nie znosił smalcu, kroił więc sobie kuchennym nożem suchy chleb, stał w kuchni przy piecu i pił z garnuszka letnią białą kawę. Jednakże ja i stryjaszek mieliśmy dziś taki apetyt, że poprosiłem mamę, aby roztopiła w ryneczce grudkę smalcu, po czym na zmianę maczaliśmy ze stryjaszkiem kąski chleba w smalcu, solili i pieprzyli, i pałaszowali kolację, popijając piwem. Najadłszy się, stryjaszek Pepi rozpromienił się.

— I oto znów odniosłem dzisiaj sławne zwycięstwo, jak na Boże Ciało, kiedy to ja i pułkownik Zawada wjechaliśmy na ogierach do zdobytego Przemyśla! — krzyczał stryjaszek Pepi.

Ojciec postawił oczy w słup, z kuchennym nożem w ręku wcisnął się za szafę i tam załamywał ręce i posapywał.

— Nie ma w tym ani słowa prawdy. Ledwie gdzieś wystrzelili, pierwszy leżał w rowie.

Jednakże stryjasek Pepi, zadowolony z siebie, pokrzykiwał nadal:

— Nikt wobec mnie nie mógł sobie na nic pozwolić! Natychmiast wyciągałem rewolwer i bach! bach! — wszystko walało się we krwi i wszyscy fikali kozły.

Ojciec pił właśnie kawę z garnuszka i słysząc to tak się rozżłościł, że oblał sobie spodnie. I znów wcisnął się za szafę, stamtąd dawał mi znaki i szeptał:

— To nieprawda! Miał już osiemnaście lat, a ja wciąż jeszcze musiałem po niego wychodzić, tak się bał wieczorami.

— Drogi chłopcze — krzyczał stryjasek Pepi — najpiękniejsze dziewczyny chciały odebrać sobie życie z mojego powodu. W tamtych czasach był ze mnie na Morawach piękniś numer jeden!

Ojciec za szafą składał ręce i wołał cicho:

— Ależ to nieprawda! Przez całą młodość miał twarz w pryszczach, a na karku trzy otwarte karbunkuły!

Ale stryjasek Pepi, po uszy pogrążony w dawnych dobrych czasach, wrzeszczał z zachwytu:

— Kiedy przyjechałem na urlop w mundurze kadeta, króciutka szabelka u boku, kordzik, obok szabli złoty pompon, no to kto tylko ujrzał mnie w tym najpiękniejszym na świecie mundurze, tak, tak, nie mógł wyjść z podziwu! A gdy spojrzałem na własną siostrę, opuściła wzrok i na widok tych wspaniałości padła jak długa, i musieli jej robić okłady z twarogu, żeby nie umarła z tego wrażenia!

Ojciec raz jeszcze wcisnął się między ścianę a szafę i podnosząc oczy na sufit skarżył się przez sufit samym niebiosom:

— To prawda, że przyjechał w mundurze kadeta, ale go sobie wypożyczył. W wojsku pozostał do końca zwykłym szeregowym!

Jednakże wujasek Pepi dał się porwać własnej wymowie.

Siedziałem naprzeciwko niego i śmiałem się, złożyłem ręce i dłonie wsunąłem między kolana, i kołysałem się i śmiałem; wiedziałem, że ojciec ma rację, ale stryjasek Pepi zdecydował, że był wówczas najpiękniejszym żołnierzem w Europie Środkowej, więc takim też został! I kiedy się tak kołysałem, moja marynarska bluza rozchyliła się... Stryjasek Pepi wpatrywał się długo w moje piersi, po czym odchylił klapy mojej bluzy i wykrzyknął szalejąc z zachwytu:

— Ohoho, co to za cudo!

I wpatrywał się, oczarowany bez reszty zieloną syreną.

— A może nie!? — powiedziałem zamykając oczy.

Tatuś krajał chleb, z nożem kuchennym w ręku stał teraz przede mną, przestałem się kołysać, widziałem przed sobą dwie twarze: stryjaska — pełną szczerego podziwu, i ojca — pełną przerażenia.

— Marynarska syrena? Jesteś marynarzem! Zuch z ciebie! — krzyczał stryjasek Pepi.

Ojciec dotknął tej wytatuowanej syreny i krzyknął:

— I ty z czymś takim chcesz chodzić po mieście, do szkoły?

Do kuchni weszła matka, zdjęła z płyty sagan z żarciem dla prosiąt. Kiedy chciała spojrzeć tam, gdzie spoglądali ojciec i stryj, tatuś zasłonił jej oczy.

— Jak śmiałeś?! — krzyczał ojciec.

— Chciałem okręcić, a pan Lojzio wytatuował mi syrenę — bełkotałem.

— Ależ ta syrena jest goła! — ryczał ojciec wypychając matkę z saganami do sieni.

— Co za uroda! Ten sam system co Własta, ta nowa kelnerka u Hawerdów — wołał z uznaniem stryjasek.

Ojciec wziął nóż kuchenny, ten sam, którym krajał chleb, po czym przyniósł apteczkę domową, otworzył ją i mocniej ująwszy nóż, podszedł do mnie, zamknąłem oczy i nagle przysłała mi do głowy ta historia z Pisma Świętego, kiedy to Abraham zamierza poderżnąć gardło Izaakowi i ofiarować go Bogu. Złożyłem ręce.

— Tatusiu, na miłość boską, niech tatuś tego nie robi, niech tatuś mnie nie zabija, niech tatuś wytnie mi ze skóry tę syrenę, ale pozwoli mi żyć na tym świecie!

Ojciec zatrzymał ostry czubek noża tuż przy moim gardle i zawahał się. Dopiero po dłuższej chwili opuścił długi nóż, wyjął z apteczki plaster, uciął nożem kilka pasków i niczym zatrutą studnię zakleił tymi paskami moją zieloną syrenkę. Stryjaszek Pepi odetchnął z ulgą, ostrożnie zdjął z wieszaka swoją marynarską czapkę, ostrożnie włożył ją na głowę i znów na jego wargach pojawił się dziecinny uśmiech: jakby widział się i wiedział, że mu w tym do twarzy. A potem cichutko wyszedł z kuchni na korytarz i cichutko zamknął za sobą drzwi. Pod oknem płynęła teraz wśród zmroku ta jego biała czapka; stryjasek udawał się do miasta na spotkanie ze ślicznymi dziewczynami i idąc tak do gospod i barów, odpowiadał na pozdrowienia wychylających się z okien ludzi. A ponieważ było lato, obywatele wychylali się ze wszystkich okien, taki zwyczaj panował w naszym miasteczku, że przed zachodem słońca w niedzielne popołudnie ludzie odziewali się pięknie i stawali w oknach, całe ulice pełne były wychylających się ludzi, którzy z ogromnym zainteresowaniem wypatrywali, kto idzie ulicą, gdzie co się dzieje, kłaniali się sobie nawzajem i przy każdym oknie tworzyły się grupki. Na rynku wszystkie piętra oblepione były wychylającymi się ludźmi jak podczas jakiegoś festynu, jakby przez miasto maszerowała orkiestra wojskowa albo korowód maskaronów. Tym razem jednak był to zwyczajny wieczór i ludzie wychylali się z okien ot, tak sobie, po prostu mieli na to czas. I każdy z okna pozdrawiał stryjaska, każdy chciał wiedzieć, w którym barze są te najpiękniejsze dziewczęta, i każdy podziwiał marynarską czapkę stryjaska. A stryjasek Pepi to wiedział i tym żył.

Siedziałem teraz przy stoliku i pilnie pisałem nadobowiązkowe wypracowanie domowe, robiłem to tylko dlatego, aby w ten sposób nie myśleć o zielonej syrence, pilnie pracowałem, skupiłem się bez reszty na wypracowaniu, aby ojciec

już na mnie nie krzyczał, a matka nie płakała. Pisałem więc, mamusia i ojciec wybierali się do kinematografu, a ja odrabiałem lekcje. „Kim chciałbym zostać?” Pan kierownik powiedział, że każdy uczeń powinien chcieć sięgać jak najwyżej, że musi chcieć zostać w życiu kimś znaczącym, na przykład prezydentem albo Bat’ą, albo sędzią sądu najwyższego, albo dyrektorem poczt, ja jednak pisząc nadobowiązkowe wypracowanie domowe wyznałem, że chciałbym być bezrobotnym. Taki bezrobotny nie chodzi do pracy, a ja także nie lubię chodzić do szkoły, co wieczór rynek pełen jest bezrobotnych, którzy wprost kipią wesołością i pokrzykują do siebie, a kiedy pada deszcz, siedzą w gospodach, gdzie grają w karty; bezrobotni w naszym miasteczku są zawsze wspaniale opaleni, bo mają czas, by kąpać się i leżeć na słońcu przez cały dzień, a gdy nadejdzie zima, grają w hokeja bez łyżew. Ileż wtedy nawoływań i pokrzykiwania na zamrożonej rzece! Tak więc bezrobotni z naszego miasteczka żyją sobie beztrudnie, bo rano wstają dopiero wówczas, kiedy się obudzą, i wobec tego bezrobotni z naszego miasteczka wyglądają znacznie lepiej niż ci ludzie, co to chodzą do pracy i nie mogą pozbyć się lęku, że ich z pracy wyrzucą. . . A ojciec zawiązywał krawat, zawiązywał go tak, jakby się chciał powiesić, pokazywał sobie w lustrze język, palce obu rąk splótł zupełnie jak chatkę, w końcu jednak udało mu się zrobić taki węzeł, jak sobie życzył, pochylał się i przez ramię czytał moje wypracowanie domowe (choć nie było to zadane), a kiedy zaczął je czytać na dobre, poczułem jego spojrzenie w tyle głowy, spojrzenie ostre jak nóż, cienkie jak drut z parasola. Chwycił mnie, omal nie zmiął mi ramienia, obrócił mnie do siebie i wziął nóż kuchenny mierząc jego ostrzem wprost w moje gardło. Wecisnąłem się w krzesło i wiedziałem, że teraz to już koniec ze mną, bo moje nadobowiązkowe wypracowanie domowe bardziej jeszcze ojca rozwścieczyło niż owa syrenka. Patrzył na mnie z nienawiścią, zupełnie tak samo jak w zeszłym roku, kiedy mi polecił, żebym wypełnił pięć grządek warzyw; kiedy je wypełniłem, ojciec pogłaskał mnie po głowie i poszedł ze mną raz jeszcze do ogródka, ale zobaczył, że wypełniłem wszystką salatek i warzywa, zostawiając na grządkach trawę i zielsko, i jego oczy tryskały taką właśnie nienawiścią do mnie, jakąś bolesną skargą, za co to niebiosy tak bardzo go karały. . . Tak właśnie patrzył na mnie teraz, koniuszek noża dotykał raz po raz mojej piersi, a ja nie mrugnąłem nawet okiem, ojciec też nie mrugał, tylko wpatrywał się aż gdzieś w dno mojej duszy. A potem nacisnął, ale lekko, zaczął odlepić nożem plaster po plastrze i mówił cicho do siebie:

— To niepotrzebne, niech ta syrenka zostanie na tobie niczym piętno Kaina. . . A więc chciałbyś zostać bezrobotnym? Skończysz w domu poprawczym, a kiedy cię z niego wypuszczą, dojrzejesz już do kryminału, a w kryminale — do szubienicy.

Tymczasem z pokoju wyszła mamusia, już w kostiumie i kapeluszu, spojrzała na mój tatuaż i powiedziała:



— Całe szczęście, że ta syrena ma łuski od pasa w dół, a nagie piersi... na odwrót byłoby znacznie gorzej. No, chodźmy już, żebyśmy się nie spóźnili. Gra Gary Cooper.

Ale plastry skrzyły się i lepiły i ojciec potrząsał palcami i całą ręką, jednakże wszystkie te paski zwijały mu się w dłoni jak odpustowa trąbka z papieru. Musiał je w końcu oderwać rącznikiem.

I pogroził mi, i rodzice poszli do kinematografu na *Niezwykłe zdarzenie*.

Siedziałem potem na ławeczce przed biurem browaru. Jerzyki przestały już bazgrać skrzydłami po niebie i pogwizdywać, z oddali dobiegał odgłos przejeżdżających pociągów, a do browaru zbliżało się podzwanianie i przez furtkę wszedł stróż nocny, pan Waniatko, z twarzą pociągniętą potem niczym jakaś maska. Nocny stróż obwieszony latarkami i gwizdkami potykając się o wiernego pieska Burka podszedł do ławki, strzelił obcasami i zameldował się na służbie. Na piersiach wisiała mu bańka z kawą, na plecach miał pamiętającą wojnę w Meksyku flintę wojskową, z której już w ogóle nie dało się strzelać, bo panu Waniatce wydawało się co wieczór, że zostanie napadnięty jak stryjaszek Pepi, żołnierz austriacki. Wobec tego pan Waniatko strzelał bez ostrzeżenia, płoszył i straszył zakochanych, a raz nawet strącił kulą kapelusz pewnemu człowiekowi, który załatwiał się przykucnąwszy pod płotem browaru, dlatego ojciec wolał zepsuć zamek starożytnej flinty, żeby z niej nie można było strzelać. Zdjąwszy zwinięty płaszcz, który natychmiast rozłożył pod jarzębiną na trawniku koło biura, pan Waniatko potknął się o pieska i omal nie zwałił się jak długi. Chwycił psiaka i trzepnął nim o cementowy chodnik, piesek zaskomlał, więc nocny stróż wziął Burka na ręce, całował go całą mokrą twarzą, prosząc wierne zwierzę o przebaczenie. A potem siedział na ławeczce z nastawionymi uszami, z meksykańską flintą u boku i spływał potem. Ojciec mówił, że Waniatko podczas wojny złapał malarię. Siedział i pachniał zupą czosnkową, takim dziwnym odorem cebulowego sosu. Nagle zdał sobie sprawę, że zapomniał zameldować się panu kierownikowi. Ja na to, że tatuś poszedł do kinematografu. Ale pan Waniatko wojskowym krokiem, z meksykańską flintą na ramieniu, podszedł do okna i zameldował ciemnemu oknu:

— Nocny stróż Waniatko melduje się na służbie!

I zrobił w tył zwrot, i znowu omal nie przewrócił się o wiernego Burka. Podniósł go i kiedy już miał cisnąć nim o betonowy chodnik, malaria ustąpiła nieco i nocny stróż opamiętał się, i wycałował pieska, i całego go przesycił zapachem sosu cebulowego i czosnkowego, piesek na pewno by wolał, żeby pan Waniatko trzasnął nim o chodnik, bo zapach był tak odrażający, że odsuwał się, jak mógł najdalej, od całujących wąsów, odpychał się łapami, ale nocny stróż musiał się pokajać. A kiedy puściwszy psa wracał do ławeczki, przyjrzałem się jego sylwetce. Nosił takie spodnie jak winiarz, miały one w kroku jeszcze jedną małą nogawkę. A to dlatego, że nocny stróż cierpiał na przepuklinę; jak mawiał stryjaszek Pepi, miał jaja jak globusy. Usiadł i wsłuchiwał się w wieczór.

— Kim by pan, panie Waniatko — zagadnąłem — chciał zostać, gdyby pan skończył szkołę?

— Epileptykiem — odparł nocny stróż bez namysłu.

— Epileptykiem? A cóż to za zawód? — spytałem.

— Taki epileptyk to najwyższy szczyt, jaki może człowiek osiągnąć. Najwięcej epileptyków żyje w Indiach. Taki epileptyk potrafi znaleźć ludziom studnię, są to poszukiwacze źródeł wody. Ale znajdują się również na filozofii. Podczas gdy inni ludzie uganiają się za dziewczynami i chodzą po gospodach, epileptyk pisze wierszyki, a jeśli już epileptyk osiągnie doskonałość, pisze powieści jak Dostojewski albo Gogol. Jednakże największym epileptykiem był Mahomet... Gdy mu się zaczęło coś rodzić w głowie, odciął się w nocy nożem od wspólnego prześcierała i opuścił żonę i dzieci, aby za pomocą zielonej witki szukać dla ludzi wody duchowej, źródła, które później zawarł w swojej nauce. Stryjaszek Pepi to też epileptyk. Największy epileptyk na wschód od Alp... Gdybym zaczynał od nowa, to nie chciałbym być nikim innym, tylko epileptykiem.

— Naprawdę? — spytałem.

— Naprawdę — potwierdził pan Waniatko, obu dłońmi opierając się o kolana. Siedział na ławeczce pod oknami biura i wsłuchiwał się w noc. W powietrzu bezszelestnie prześlizgiwały się nietoperze, na gzymsie słodowni pohukiwały puszczyki i sowy. W zagajniku przy bramie gruchały przez sen gołębie, ja zaś postanawiałem sobie, że pójdę do domu i przepiszę nadobowiązkowe wypracowanie domowe na temat: „Kim chciałbym zostać?” Podniosłem się, nocny stróż miał szkliste oczy i spływał potem, piesek Burek zwinął się w kłębek na jego płaszczu pod jarzębiną, wpatrywałem się z bliska w twarz pana Waniatki, siedział jak posąg z otwartymi oczyma, dotknąłem jego pięści wbitych w kolana, ale pan Waniatko całym ciałem wsłuchiwał się w noc. Siedział zdrętwiały i sztywny, osłupiały od urody nocnego nieba pełnego gwiazd. Udałem się w stronę mieszkań służbowych. Z izby czeladnej na drugim piętrze przesuwano się w dół z okna do okna zapalona lampa, pewnie mielcerz szedł szufłować jęczmień do magazynu podłogowego, był to pewnie sam pan Mara, mielcerz, który skończywszy pracę siadał tak samo jak stróż nocny z otwartymi oczami przy oknie czeladnej izby i bez mrugnięcia powiek patrzył z góry na krajobraz nad rzeką, na pola, wciąż tylko patrzył, obok niego stała beczka piwa i co piętnaście minut nalewał sobie piwa do blaszanego garnuszka, i pił, a piwo kapało mu z obwisłych wąsów, siedział w gaciach i patrzył z drugiego piętra na krainę nad Łabą. Stryjaszek Pepi, którego prycza stała tuż obok pryczy pana Mary, mówił o nim, że ten mielcerz zgwałcił swoją nieletnią córkę, że siedział rok w więzieniu i że teraz, jeśli nie pracuje, to siedzi tylko i pije piwo, siedzi przy oknie i patrzy przed siebie...

Często chodziłem popatrzeć na niego, jak tak siedzi na krześle przy oknie, z jedną ręką na kurku beczki, trzymając w drugiej blaszany kubek, a z wąsów kapie mu smutne piwo. I ja wiedziałem, że zgwałcił swoją córkę, ale nie wie-

działem, co to znaczy: zgwałcił. Powalił ją, zbił, szarpał za włosy? Albo pozwolił sobie z nią na coś, co robią dorośli ludzie? Ale sądząc z fotosów w kinematografie, do tego potrzebni są ludzie tacy jak Gary Cooper w *Niezwykłym zdarzeniu*, a nie pan Mara, w gaciach, okropnie brudny, z mokrymi wąsiskami i pijący nieustannie piwo, i nie jedzący nic poza solonymi śledziami. Nieraz siedziałem na ławce w izbie czeladnej, z głową opartą na dłoniach, z łokciami na brudnym stole, który zawsze cuchnął śledziami, patrzyłem na pana Marę i nie mogłem zrozumieć, jak ten mielcerz mógł zgwałcić swoją nieletnią córkę, bo i ja sam byłem nieletni.

Stałem więc na progu naszego ciemnego mieszkania i patrzyłem, jak przez znajdujące się tuż nad ziemią okienka świecą z magazynów stojące na trójnogach lampy, i z ruchu ciała i wąsów wnioskowałem, że to szufluje jęczmień pan Mara, ten, co zgwałcił swoją córkę. Wszedłem do sieni i po omacku dotarłem do kuchni, przez chwilę stałem z ręką na kontakcie zastanawiając się, czy powinienem na nowo napisać nadobowiązkowe wypracowanie domowe na temat: „Kim chciałbym zostać?” Wolałem jednak pójść spać. Położywszy się, wsunąłem ręce pod głowę i czułem doskonale, jak w rytm mojego oddechu porusza się i płynie poprzez nocny pokój ten mój okręcik, mimo że zamiast niego jest tam syrena. Patrzyłem na sufit oświetlony jasną letnią nocą i myślałem o naszym woźnicy, panu Kopeckim, który rozwozi zaprzężonym w woły wozem beczki piwa po mieście i do pobliskich wiosek. Pan Kopecki zjawiał się w browarze już w południe, czekał koło chlewów, potem jednak wzdłuż gnojówki szedł pod mur, skąd wracał z torbą przykrytą białą serwetką. Widziałem zawsze, jak siada, jak wyciąga z torby garnek z zupą i stawia go na kolanach przykrytych fartuchem, na którym rozkłada serwetkę, jak wolno je, potem wyciąga z torby ronderek i je łyżką knedle z sosem, czasami kapustę. A potem garnek i ronderek wraz z serwetką wkłada z powrotem do torby, idzie wzdłuż gnojówki i sterty gnoju pod mur, stawia torbę na wysokim murze między tkwiącymi w nim okruchami szkła, a ktoś z uliczki wiodącej obok browaru zabiera tę torbę, która potem znika.

Dzisiaj w południe, kiedy pan Kopecki jadł zupę, wybiegłem z browaru, a potem skręciłem za róg, browarniane stajnie znajdowały się tuż przy murze, już z daleka dostrzegłem oparty tam damski rower, przy którym stała dziewczyna, panienka starsza trochę ode mnie. Zatrzymałem się i długo spoglądałem z daleka, aż wreszcie na murze między okruchami rozbitych butelek i drutem kolczastym ktoś z browaru postawił torbę z białą serwetką. I dziewczyna stanęła na pedale, uniosła rękę. . . Rzuciłem się biegiem, a kiedy mijałem tę dziewczynę, ona zawołała:

— Do widzenia wieczorem, tatusiu! . . .

Stałem na rogu browaru, ta dziewczyna jechała na rowerze, miała ogromne piwne oczy, była blada, tylko te ogromne oczy, a włosy miała, jakby przed chwilą wyszła z wody, szczesane do tyłu i związane kokardą, a na kierownicy wisiała ta torba. . . I pan Kopecki, woźnica z browaru, objawił mi się dzisiaj jako prorok,

jako mąż świątobliwy, w butach z cholewami, zgrzebnych portkach i zwyczajnej kapocie, który idąc kołysał się z boku na bok i patrzył na świat przymrużonymi nieustannie oczyma, ale miał córkę i ona codziennie przywoziła mu obiad, wspinała się na ramę roweru i stawiała wysoko torbę na wysokim murze i czekała, aż sobie podje, aby zdjąć torbę z wysokiego muru, i tylko tak przez drut kolczasty rzucała niewidocznemu ojcu:

— Do widzenia wieczorem, tatusiu. . .

Obudził mnie natarczywy głos ojca:

— Nic nie mów, na miłość boską, nic nie mów! Widziałem, jak patrzyłaś na Gary Coopera. Przyzwoita kobieta nie patrzy w ten sposób. . . W ten sposób powinna patrzeć tylko na swojego męża!

Mama z podniesionymi rękoma zdejmowała kombinację i zaplątana w jedwabie broniła się:

— Ależ to tylko kinematograf. . . a zresztą ten Gary, przecież wszystkie kobiety o nim marzą. . . Taki przystojny, a przy tym jakże chłopięcy.

— Co takiego? — krzyknął cicho ojciec. — A więc ty się przyznajesz, że o nim marzysz?! Na kolana i przyznaj się! Gdybyś go kiedyś spotkała, oddałabyś mu się, przyznaj się!

Mama wślizgnęła się pod pierzynę i powiedziała:

— Z pewnością niełatwo by mi było mu nie ulec. . . Ten Gary jest silniejszy niż wszystkie przesady!

— A więc to tak! — krzyknął ojciec, ujął matkę za rękę i ściągnął ją z łóżka. — A więc gdyby to było możliwe, to byś mu się oddała! Ale ja na to nie pozwolę! Mój honor. . .

Tatusz krzyczał, a ja widziałem, jak z szuflady stolika nocnego wyciąga rewolwer. Obróciłem się na brzuch i zasłoniłem sobie twarz, leżałem pośrodku dwóch łóżek, między krawędziami znajdowała się kołdra, i nagle jakbym stracił władzę w nogach: nie mogłem chodzić, nie mogłem się nawet podnieść, chciało mi się siusiać, tak strasznie, że. . . I podczas gdy ojciec nabijał rewolwer, a mama klęczała i składała ręce, i prosiła, żeby darował jej życie, odsunąłem kołdrę i zacząłem siusiać między łóżka, wylewałem z siebie wszystko to piwo, które wypiliśmy ze stryjaszkami Pepi, leżałem na brzuchu na szparze pomiędzy małżeńskimi łóżkami i susiałem. . .

Ojciec ucichł i nadstawił uszu. Potem i matka zaczęła nasłuchiwać.

— A to świntuch! Za mało mu tej syreny, za mało mu, że chce być bezrobotny, on jeszcze bezcześci nasze łóżko!

Odłożył rewolwer i szarpnął łóżkiem z tak ogromną siłą, że spadłem w wielką kałużę, ojciec stał nade mną z wytrzeszczonymi oczyma i krzyczał:

— Skończysz na szubienicy!

Wygramoliłem się, a matka otworzyła ramiona, po dłuższym czasie obejmowałaem znowu mamusię, przyciskaliśmy się do siebie i płakaliśmy, ja głośno szło-

chałem, i zapewnialiśmy się z mamą nawzajem, że nigdy się nie opuścimy. Tatuś stał chwilę, potem schował rewolwer, przyniósł z kuchni wiadro i szmatę, ukląkł i wycierał ogromną kałużę, i wykręcał szmatę nad wiadrem, a potem jeszcze raz, i jeszcze raz suchą szmatą. . . To wykręcanie i wycieranie uspokoiło go, matka także przestała płakać, a ja poszedłem do kuchni, aby tam sobie posłać na składanym łóżeczku. Ojciec wyszedł z sieni na podwórze i energicznym ruchem wychlusnął zawartość wiadra na trawę w sadzie owocowym.

A kiedy zsunął z powrotem małżeńskie łóżka, mamusia wślizgnęła się pod pierzynę i westchnęła z ulgą:

— Moje łóżeczko! Moje łóżeczko!

Ojciec zgasił światło, słyszałem szelest jego bosych stóp, potem skrzypnięcie sprężyn pod materacem, przez chwilę przewracał się z boku na bok, wkrótce jednak się uspokoił.

— Ten Gary Cooper — powiedział tatuś łagodnie — to nie tylko znakomity aktor, ale też piękny mężczyzna. . . Wtedy jak grał na trąbce albo jak budował swój dom, jak siedział między belkami i przyjmował gości. . . albo kiedy ona powiedziała mu, że go kocha, albo jak wtedy biegł i przewracał wiadra. . . Ja ci powiem, że to *Niezwykłe zdarzenie* naprawdę jest niezwykle! . . . Jutro to jeszcze grają. Jeśli chcesz, pójdziemy na ten film jeszcze raz, co ty na to?

## CUD ZDARZA SIĘ CO DNIA

W niedzielę panowała w browarze cisza. Konie odpoczywały w stajni, dwie pary wołów — na słomie, na dziedzińcu stały wozy ze sterzącym dyszlem, przed stolarnią leżały ułożone starannie przyzmy dębowych klepek, z których bednarze robili „ćwiartki”, tak zwane „szczenięta”, „połówki”, beczki hektolitrowe, „podwójne” czy wreszcie te ogromne pięćdziesięciohektolitrowe beczki do komór piwnych, w których piwo dojrzewało. I wszystkie maszyny w wagowni, i wszystkie koła w maszynowni, i wszystkie kotły w warzelni, wszystko odpoczywało zupełnie tak samo, jak na strychach słodowni spał dojrzwały jęczmień. Za stolarnią rozciągał się ogromny czereśniowy sad, drzewa sięgały konarami aż po blaszany dach, niektóre gałęzie leżały na tej blasze, a kiedy czereśnie dojrzewały — były niemal czarne — wspinałem się z konaru na konar, z korony przeskakiwałem na dach i pełnymi garściami rwałem i jadłem te słodkie owoce, jadłem powoli i dlatego też mogłem jeść czereśnie całymi godzinami, jakby je ktoś wkładał mi do ust i wyciągał z powrotem, z takim apetytem połykałem te owoce, które — kiedy padał deszcz — pękały i były jeszcze smaczniejsze.

Siedziałem w koronach drzew, jedną ręką przytrzymałem się pnia, drugą zaś — niemal leżąc — wyciągałem jedynie po najdojrzalsze owoce, wokół mnie dziobały czereśnie kosy i żarłoczne szpaki, które wrzeszczały na mnie, jakby tych czereśni nie było dosyć dla wszystkich. Szpaki lśniły w koronach jak drogie kamienie, były cudownie zielono-błękitne, gardziołka przystrojone złotymi plamkami błyszcząły jak nawoskowane, pociągnięte tłuszczem, jakby ptaki wzbiły się właśnie z wody niczym zimorodki. Znałem te wszystkie drzewa doskonale, zamknąwszy oczy potrafiłem wyobrazić sobie wszystkie pnie i wszystkie konary, rozpoznałbym je nawet wśród tysiąca drzew, każde drzewo miało swoje oblicze, swoją twarz, bo ja w tych drzewach żyłem, nie tylko wtedy, jak dojrzewały czereśnie, ale jak była ładna pogoda, smarowałem sobie kromkę chleba smalcem, wbijałem w nią zęby, żeby mieć wolne ręce, i z zawrotną szybkością przeskakując z gałęzi na gałąź, wspinałem się aż na szczyt, w samą koronę. Tam opierałem się o pień, wyciągałem nogi na rozdwarzającym się konarze i ukryty wśród listowia jadłem chleb, wiatr łagodnie kołysał całym drzewem i poprzez liście browar wydawał się złożony z samych plam i kleksów. Wysoka na pięć pięter lodow-

nia bez okien, sama tylko zwrócona ku mnie ściana, widziana z wnętrza drzewa, pełna była zielonego listowia i plam słońca, a ponieważ przez ten mur i ścianę widziałem tysiące fur lodu, kiedy spojrzałem na słodownię, widziałem wszystkie piętra, od strychów i warzelni poprzez pomieszczenia o piętro niżej, gdzie wysoka temperatura i dziurawy strop wstrzymywały kiełkowanie jęczmienia i tak powstawał z niego sód, aż po izbę czeladną, gdzie przy stole siedzieli mielcerze, dokładali do ognia, leżeli na pryczach, widziałem, jak zygzakiem przebiega przez słodownię klatka schodowa do samego dołu, aż do magazynów. Dokądkolwiek z czereśniowych drzew patrzyłem, wszystkie mury i ściany były dla mnie jakby ze szkła. Widziałem nawet poprzez mur wnętrza mrocznych komór piwnych, bo wszystko to znalazłem od wewnątrz, tyle razy bowiem — mnóstwo razy — błąkałem się po labiryncie browaru, bo bardzo lubiłem się bać. I w komorach piwnych, i na korytarzach warzelni, i na najwyższym miejscu browaru, w chłodniach, gdzie nad całą lodownią znajdowała się ogromna kadź, tak duża jak ślizgawka, tam przepompowywano brzeczkę, gorące piwo jeszcze bez drożdży i tlenku, i poprzez żaluzje para wdzieriała się we wszystkie szparki, i zamykała się nad browarem zupełnie tak samo, jak kiedy kobiety zaczesują sobie grzebieniem w górę jasne włosy, które chwytają nieustannie nad głową ich palce. Po tych korytarzach ciągnących się w górę z piętra na piętro przebiegałem zawsze z wielkim strachem, przerażenie przenosiło mnie ze stopnia na stopień, strach, że z ciemnego kąta, z uchylonych nieustannie drzwi wyciągnie się nagle do mnie ręka, która mnie powali. Wchodziłem tak z piętra na piętro co niedziela, kiedy w browarze panowała grobowa cisza, biegłem ledwie dotykając butami stopni, nie ważyłem więcej niż pięć kilogramów, tak potrafiłem ze strachu zmniejszyć swoją wagę, zupełnie jak na wiosnę, kiedy ruszają lody, kiedy rzeka unosi się i łamie lodowy pancierz, i kra rozpycha się i uderza o siebie, i skrzypią zderzające się krawędzie lodu, potrafiłem stać na brzegu i patrzeć na ten prący przed siebie lód. Czekałem zawsze dopóty, dopóki nie znalazłem w sobie dość siły i odwagi, a potem brałem rozbieg, całą uwagę skupiałem w oczach, w nogach i w całym ciele i skakałem z jednej kry na drugą, serce biło mi jak oszalałe, i wiedziałem, na którą krę mam skoczyć i ledwie ją musnąć, bo była tak mała, że zanurzyłyby się wraz ze mną, a dostać się między płynącą krę to tak samo jak upaść pod kopyta pędzącego stada krów, kiedy spłoszy je brzęczenie gźów. Co roku przebiegałem z jednej płynącej kry na drugą, nie mogłem utracić szybkości, dopóki nie skoczyłem z tej ostatniej na brzeg, i patrzyłem w oczy gapiów, nikt się na to nie odważył, rękami podpierałem się pod boki, odpoczywałem, aby znów nabrać sił i skacząc z jednego płynącego kawałka lodu na drugi wrócić tam, skąd wybiegłem. Tak samo przebiegałem przez cichy niedzielny browar. Ale najchętniej odsuwałem rygiel na wrotach do obory. Za końmi nie przepadałem, miały nieustannie wystraszone oczy, każdemu koniowi wyglądało z oczu przerażenie, pewnie ludzie bardzo je krzywdzili, zanim nauczyli je ciągnąć te ciężkie browarniane wozy.

Najchętniej chodziłem w niedzielę do pomieszczenia oddzielonego od stajni, w której stały konie. W pomieszczeniu tym leżały dwie pary wołów, które na mnie czekały, obracały łby i patrzyły na mnie, miały takie piękne oczy, ciągle coś żuły i patrzyły ładniej niż człowiek. Chodziłem i klękałem przed każdym, gładziłem je, a one za każdym razem przymykały oczy, zamykał je zawsze ten, przy którym klęczałem, a pozostałe woły na mnie patrzyły. A kiedy głaskałem i dotykałem tej pięknej delikatnej skóry na szyi wołu, miałem w palcach wrażenie, że mnę rękawiczkę matki z kozłowej skórki. To jednak jeszcze za mało. Kiedy już niemal całym ciałem leżałem na karku i głowie wołu, czułem, że cały do mnie przylgnął, tak że przenika we mnie jakaś delikatna siła, i ja z kolei przyciskałem się z miłością do jego karku, tak że i ja musiałem zamknąć oczy, i nagle w stajni stawało się ciemno, ciemno to jednak było ogromnym ciepłym światem, które przenikało ze mnie do wołu i z wołu we mnie. A te, z którymi się właśnie nie pieściłem, patrzyły uniósłszy łby i wyglądały dostojnie i godnie niczym królowie. Napieściwszy się z tymi zwierzętami i nacieszywszy nimi, za każdym razem wiedziałem z całą pewnością, dlaczego święty Łukasz, jak uczyłem się na lekcjach religii, dlaczego miał on w swoim znaku wołu. . .

Dzisiaj przez dłuższy czas zrywałem „chrząstki” do wielkiego kosza, ale zrywałem tylko te najmniejsze; zerwawszy ładny owoc, od razu go zjadałem. Wieczorem powlokłem kosz czereśni panu radcy Nowotnemu, który doradzał ojcu, jak przygotować zeznanie podatkowe. W zimie nosiłem tam wędliny i mięso ze świniobicia, jesienią kuropatwy i zające. Ilekroć tam przychodziłem, pan radca dawał mi zawsze dwadzieścia halerzy za fatygę i długo kładł mi na serce, żebym tych pieniędzy tak od razu nie przepuścił. A potem zapraszał mnie do stołu, gdzie jego synek i córeczka siedzieli i odrabiali lekcje, pan Nowotny zadawał im pytania z gramatyki i z rachunków, a dzieci odpowiadały jak z bicza strzelił. Pan radca bardzo się z tego cieszył, ja jednak widziałem, że dzieci się boją i nawet nie odważą się pomyśleć, że mogłyby pójść na wagary, że mogłyby się gdzieś bawić, wałęsać, szaleć. Pani Nowotna zawsze, jakby naumyślnie, długo wyjmowała z kosza ten dar ojca, ten drobny dowód pamięci. Może cieszyła się, że tam byłem, a może dlatego, że jej mąż mógł się pochwalić, że ma takie pojęte i wykształcone dzieci. Chłopak był dopiero w drugiej klasie, ale już wiedział, że zostanie kiedyś prezesem sądu, dziewczynka dopiero od roku grała na fortepianie, ale już mówiła, że będzie pianistką-wirtuozką, która kiedyś wprawi w zachwyt cały świat. A ja siedziałem jak na szpilkach, wpatrywałem się w sznurowanie swoich bucików, sznurowanie nigdy mi nie wychodziło równo, bardzo lubiłem patrzeć na te haczyki i to sznurowanie na krzyż, zawsze tak się spieszyłem do szkoły, że górny haczyk pozostawał wolny, sterczał jak ząbek z dziąsła, zawsze jednej dziurki na sznurowadło nie starczało, wobec tego zawiązywałem je byle jak, bo wcale mi na tym nie zależało. A kiedy pan radca zawołał: „Powiedz, Jureczku, co dostałeś z rachunków?”, z góry wiedziałem, że piątkę, że ze wszystkiego będzie miał piąt-



kę, że i z zachowania ma piątkę, tak samo jak dziewczynka była piątkowa z góry na dół.

Wiedziałem, że może to tatuś skłonił pana radcę Nowotnego z urzędu podatkowego, aby w ten sposób wpłynął na mnie, bo ja od drugiej klasy miałem zawsze trójki z gramatyki i rachunków i zawsze czwórkę z zachowania. Ale ja wiedziałem swoje, zawsze u Nowotnych myślałem o pieskach, które włóczą się po miasteczku, nie mają gdzie spać, wobec tego leżą pod mostem, gdzieś pod drzewem, jedzą, co im gdzie kto da, albo gdzieś sobie coś porwą, poza tym zaś dokazują na słońcu albo kryją się przed deszczem, ale każdy tak, jak ma na to ochotę. Myślałem jednak u Nowotnych także o tych psach, co mają rodowody i z góry na dół same piątki, ale są przywiązane do budy, chodzą na spacer jedynie na smyczy albo na kolczatce, myślałem o psach gończych, które stoją przywiązane za obrozę do drzewa tak długo, że aż mdleją, bo nie przyniosły ze stawu postrzelonej kaczki, myślałem o tych czterdziestu tysiącach psów wiejskich, dożywno uwiązanych na krótkich łańcuchach przy budzie, którym — aby były czujniejsze — nie dają w lecie wody, myślałem o tym, że te uwiązane przy budzie pieski nie mogą nawet pójść na spacer, chyba że urwą się wraz z kołkiem, a potem biegają po brzękując, unikają ludzi tak długo, aż któregoś dnia zaplątują się tym łańcuchem o krzaki i nie mogąc się uwolnić szaleją i wściekają się, tak że trzeba je w końcu zastrzelić.

A pan radca Nowotny, kiedy przyniosłem dziś wielki kosz małych czereśni, nieustannie wpatrywał się w mój biały przodzik w niebieskie paski, odpiąłem więc haftki i rozchyliłem bluzkę, wystawiając na pokaz tę zieloną syrenkę, którą mi wytatuował pan Lojzio w gospodzie „Pod Mostem”. Pan radca spurpurowiał i obojgu dzieciom zasłonił oczy dłońmi, i zaprowadził je do drugiego stołu. A pani Nowotna wybierała czereśnie z koszyka i opuściła oczy. Widziałem, że chłopak poszedł do ustępu, widziałem, że zasłonki znajdują się na zewnątrz, że pan radca podszedł cicho, wspiał się na palce i zajrzał do ustępu, czy jego syn nie robi tam czegoś, co mogłoby mu zaszkodzić, co mogłoby chłopca zepsuć. I odskoczył, kiedy drzwi się otwały i chłopiec wrócił, i tłumaczył, i trzymał mu palec przed oczyma.

— Ja uczyłem się tak dobrze, że sam pan inspektor poradził mi, żebym z czwartej klasy szkoły powszechnej przeskoczył od razu do pierwszej klasy gimnazjum! Czy nie tak?

Odwrócił się, a dzieci przytaknęły, zmienione niemal w słupy soli, ich ręce i nogi tworzyły same linie proste, a oczy miały wystraszone, uśmiechały się, ale był to taki sam uśmiech i podlizywanie, jak kiedy myśliwi zbijają psa gończego za to, że nie przyniósł zająca, a pies mimo to liże ręce myśliwego i tuli się do jego straszliwych buciurów.

— Wie pan... — powiedziałem, ukrywszy z powrotem syrenkę pod zapiętą marynarską bluzą i ujawszy za uchwyt pustego kosza.

— Słucham, i wy dzieci też słuchajcie — powiedział pan radca i przyłożył dłoń do ucha.

— Wie pan — powiedziałem z ręką na klamce — to, że nie ma pan piątej klasy szkoły powszechnej, wie pan, że to po panu widać?

I wyszedłem na korytarz, a potem po schodach zbiegłem do ogródka.

Pan Nowotny stał na najwyższym stopniu i krzyczał:

— Ty, ty łobuzie jeden, ty mi będziesz rozbijać rodzinę? Będziesz mi wnosić do domu nihilistyczne poglądy? Będziesz zagrażać moralności wszystkich dzieci w naszym mieście? Twoje miejsce nie w szkole, ale w domu poprawczym!

I zatrzasnął za sobą drzwi, a ja włożyłem odwrócony do góry dnem koszyk na głowę i na ramiona, bo właśnie zaczęło padać. . .

Po kilku dniach do browaru dotarła wiadomość, że pan radca jest w szpitalu i jest z nim bardzo kiepsko. Wspiąłem się na szczyt czereśni i zrywałem same tylko najpiękniejsze „sercówki”, a potem przez całe miasto dźwigałem pełen kosz aż na koniec „Abisynii”. Otworzyła mi pani Nowotna i uśmiechnęła się do mnie, po raz pierwszy uśmiechnęła się i serdecznie zaprosiła mnie do pokoju. Kiedy usiadłem, przestraszyłem się nagle. Z kuchni wybiegła dziewczynka, krzyczała i miała wyciągnięte ręce, a za nią powiewały włosy, i wrzeszczała, i przerażona biegła przez pokój, wpadła do następnego pokoju, a za nią równie szybko pędził chłopak, który miał wyciągnięte ręce i usiłował chwycić dziewczynkę za włosy, ale nie trafiał, wbiegł więc za nią i usłyszałem stamtąd, że ją złapał, dziewczynka krzyczała i śmiała się, i on śmiał się także, a potem przyciągnął tę swoją piątkową z góry na dół siostrzyczkę za włosy do pokoju, przewrócił ją na kanapę i tak tam te dzieci dokazywały. A potem uspokoiły się, szlochały, machały nogami, jakby kapały bućki siedząc na kładce nad potokiem. Wreszcie chłopak otworzył okno i powiedział, żebym spojrzeć, jak zachodzi słońce za miasteczkiem. A kiedy opierając się łokciami patrzyliśmy, ta dziewczucha podbiegła do nas, wcisnęła się między nas, tuliła się do naszych ramion. A potem nagle obróciła się twarzą do mnie, oczy miała niemal przy moich, dotykaliśmy się nosami, położyła dłonie na mojej marynarskiej bluzce, widziałem, jak ponad moim ramieniem wpatruje się w oczy swojego brata, czerpała z nich siłę, wytrzeszczała oczy, jakby pytała, czy ma się odważyć. I czułem za sobą, że chłopak przytakuje jej ciałem, a więc dziewczyna rozpięła mi pod szyją biały przodzik w niebieskie paski, zdjęła z haftek, po czym obiema rękami rozsunęła kłapy marynarskiej bluzy i znieruchomiła z wytrzeszczonymi oczyma, a oczy miała okropnie duże — jak koń na biegunach. I stała tak, patrzyła, za nami powiewały firanki w oknie, ta dziewczyna trzymała mnie za kłapy marynarskiej bluzy i oczy miała jak koń na biegunach.

— Hohoho! — powiedziała i wydeła wargi tak samo duże jak te oczy.

Chłopak za mną nie wytrzymał, obchodząc mnie zaplątał się w firankę. I uwięziony w firance wraz z siostrą patrzył poprzez ażurowy wzór na zieloną syrenę. Oboje dotknęli jej i zdziwili się jeszcze bardziej.

— I masz to już na zawsze? — spytał.

— Aha, nie da się tego usunąć. . . Jest w Pradze taki jeden doktor i on to robi, ale jeden centymetr kwadratowy kosztuje sześćdziesiąt koron.

— Chciałabym się z tobą kapać — westchnęła dziewczynka.

Z drugiej strony, dłońmi uwięziona niczym motyl, pani Nowotna nawijała na rękę, a potem na całą siebie rozwiewające się długie ażurowe firanki. Wyplątała z nich tylko twarz i wpatrywała się w mój chłopięcy tors.

— To piękne — powiedziała i uniósłszy rękę przez firankę dotknęła mojej syrenki.

— Ale ty chciałeś okręciak, prawda? — dodała po chwili.

Patrzyłem w twarz dziewczyny: wydawała się odrobinę rozczarowana.

— Nie — powiedziałem. — Pan Lojzio w gospodzie „Pod Mostem” chciał mi wytatuować okręciak, ale ja zażądałem: „Syrenę!”

I dziewczyna rzuciła mi się na szyję, i wyplątaliśmy się z firanek, które przeciąg wsysał teraz do pokoju. Słońce zaszło, chłopak wziął rozpęd, odbił się, przeleciał w powietrzu tak zręcznie, że plecami padł na kanapę, dziewczyna miała głowę na obrusie, ręce pod brodą i patrzyła na mnie. Pani Nowotna złożyła ręce na kolanach i była smutna. Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Aniołek przeleciał — powiedziała pani Nowotna.

— Chciał, żeby mu wytatuowali okręciak, ale wytatuowali mu syrenę — powiedziała dziewczyna.

Chłopiec leżał na wznak i butem bazgrał po ścianie, dokąd tylko zdołał sięgnąć.

— Mierzył w łanię, trafił w Hanię — rzucił.

— Aniołek przeleciał — powiedziała karcąco pani Nowotna.

— Albo urodził się kolejny funkcjonariusz policji — powiedziałem i wzięwszy koszyk skierowałem się do drzwi, ale dziewczyna i chłopak zerwali się, dziewczyna tłukła mnie, bębniła piąstką, biła mnie, a przy tym słodko się do mnie uśmiechała.

— Musisz nas znowu odwiedzić — powiedziała — albo my do ciebie wpadniemy, skoro taty nie ma w domu, dobrze?

Ale tatusia nie tylko nie było w domu: odchodził już tam, skąd nikt jeszcze nie wrócił. Umarł. Idąc nazajutrz do szkoły, zobaczyłem chłopaka i dziewczynę od Nowotnych, biegli główną ulicą, trzymali się za ręce, podskakiwali i krzyczeli z radości, powiadamiając wszystkich ludzi, choć nikt ich o to nie pytał, bo każdy już o tym wiedział:

— Tatus nam umarł! Tatus umarł!

## PODZIAŁ MIESZKANIA

Mieliśmy w domu dwa koty. Mamusia miała swojego kotka — Celestyna, Celusia, ojciec swoją koteczkę — Militkę. Celuś — on mógł sobie pozwalać niemal na wszystko. Kiedy spał na stole w kuchni, a właśnie nadeszła pora obiadu, mamusia nakrywała w pokoju. Kiedy spał na stole w pokoju, a Militka na stole w kuchni, siadaliśmy na taboretach i jedliśmy z talerzy postawionych na kolanach. Kiedy rano oba koty wracały ze swoich nocnych wędrówek, mokre od rosy i zabłocone od deszczu, natychmiast wskakiwały na posłane łóżko. Matka im tego nie zabraniała, ale jak przyszedł ktoś z wizytą i położył na łóżko kapelusz, mamusia brała ten kapelusz i wieszala go na wieszaku. Kiedy mamusia szła wieczorem do teatru na próbę, to Celestyn odprowadzał ją aż do mostu, tam chował się w krzakach koło kiosku z wyrobami tytoniowymi, a kiedy mama wracała, wyskakiwał i odprowadzał ją z powrotem do domu, do browaru.

Ojciec z kolei miał swoją Militkę, która chodziła z nim nawet do biura, pomagała mu też reperować jego „Oriona”. A jeśli tatusiowi nie udało się nikogo namówić do pomocy przy naprawie, wówczas Militka siedziała na warsztacie, ojciec zaś — w miarę jak rozbierał motor — pokazywał Militce i nazywał po imieniu wszystkie części, kotka zaś mrużyła oczy i potrząsała w mózgu obrazem tatusia, bo była w nim zakochana. Celuś także lubił ojca, ale tylko dlatego, że tatuś kochał mamusię, w której Celuś był zakochany aż po uszy. I aby się ojcu odwdziżyć i pokazać mu, że nie na darmo trzymają go w domu, co rano, kiedy ojciec budził się i wyglądał, jaka też na dworze jest pogoda, za każdym razem na oknie leżały w równiutkim szeregu schwyte przez Celusia myszy, a czasem nawet i szczury. I ojciec musiał je pogrzebaczem zgarniać na łopatkę i w zimie wrzucać do rozpalonego piecyka Masgraves numer 14, w lecie zaś w kubek na węgiel nosić je aż pod stajnię, rozgarniać widłami gnój i grzebać je w nim.

Celuś ważył cztery i pół kilograma. Najpierw zważyłem się sam, potem wziąłem Celusia na ręce i zważyłem się z nim. Kiedy Celuś się zakochał, czasem nie wracał do domu nawet przez dwa tygodnie. Matka często wstawiała, otwierała w nocy okno, potem drzwi i wołała w noc:

— Celestynie, Celusiu!

I nasłuchiwała, ale Celestyn nie wracał. Pewnego razu nie wrócił, chociaż wcale nie był zakochany. Mama na próżno wołała w noc, na próżno wstała o świcie i wołała z progu, a potem nasłuchiwała. Celestyn nie przyszedł. Chodziła więc pod słodownię i nawoływała pochylając się nad kanałami wentylacyjnymi i urządzeniami wietrzącymi, i nagle wydało się jej, że w jednym z tych wywietrzników słychać miauczenie. Musiałem wcisnąć się cały w ten otwór nad magazynami i wołać Celestyna. I ja także usłyszałem cichutkie miauczenie, raczej żalną skargę. Ojciec wziął wszystkie klucze i otwieraliśmy po kolei magazyny jęczmienia i słodu, ale Celestyna nigdzie nie było. Dopiero za ostatnimi drzwiami, które prowadziły na strych, gdzie znajdowała się ogromna kadź, taki ogromny lejek, co to miał na dnie kran, przez który mokry jęczmień zsypywano wprost na klepisko, tam słychać było z dna miauczenie i plusk. Ojciec poświecił. Celestyn leżał w wodzie, gładka blacha i głębokość pięciu metrów nie pozwoliły mu wdrapać się na górę, póki miał jeszcze siły. Ojciec przyniósł drabinę i zszedł na dół, a kiedy wrócił z Celusiem, kot zwisał uszczęśliwionej mamusi z ramienia jak ręcznik. Mamusia rozpałała pod kuchnią i włożyła kota do piekarnika, a potem pipetką od wody borowej wlewała mu mleko do pyszczka, a Celestyn leżał w piekarniku jak szmata, doszczętnie wymizerowany tym dwutygodniowym postem i rozpaczą. Nazajutrz już usiadł, ale chwiał się ciągle, na trzeci dzień już sam chęptał mleko, pił go tyle, że musiał rozstawiać szeroko nogi, tak wielki miał brzuch. Ilekroć pochylił się choć odrobinę, to mleko z niego wyciekało. Zważyłem się z nim, a potem sam, i okazało się, że Celuś stracił na wadze całe dwa kilogramy. Potem siedział tylko przy lustrze i spoglądał na mamusię, nieustannie ważył ją w swoich oczach, a kiedy mamusia podchodziła do niego, zamykał oczy i całował ją w sam środek czoła. Znow zaczął przybierać na wadze, ale nie chciało mu się nigdzie chodzić, tylko okropnie żarł ciągle z miski przy piecu, ciągle pił mleko i za każdym razem, ilekroć wychłęptywał ostatnie krople, zapominał zawsze, że waży o pół kilograma więcej, i chcąc wskoczyć na bieliźniarkę pod lustrem, spadał na ziemię osiągając jedynie połowę potrzebnej wysokości. I jak zwykle, ilekroć coś się Celestynowi nie udawało, przybiegał do mnie i gryzł mnie lekko w kostkę. Jak leżał w ogrodzie i spadło na niego jabłko, to biegł prosto do domu i gryzł mnie w kostkę, bo — cokolwiek by się stało — Celestyn zawsze myślał, że zrobiłem mu to ja. A ja mu tylko odstawiałem krzesło, kiedy chciał na nie wskoczyć, ja go tylko trochę spryskiwałem podlewając kwiaty, ja mu tylko przymykałem odrobinę okno, kiedy on już niósł się przez powietrze w skoku do ogrodu.

Tak oto Militka i Celuś żyli z nami, te nasze koty stały się nawet domowymi skrzatami i bóstwami, które nas łączyły. Ilekroć mamusia chciała zrobić tatusiowi jakiś wyrzut, mówiła to na głos do Celusia, kiedy ojciec chciał coś matce powiedzieć, szeptał to na głos Militce, tak aby matka usłyszała. Ilekroć zaś oboje mieli coś przeciwko mnie, wówczas mówili to tak głośno swoim kotom, że ja wstydziałem się i byłem nieszczęśliwy. I oba koty zdawały sobie z tego sprawę, wiedziały,

że są w naszej rodzinie niezastąpione, i dlatego co kwartał niemal coś broiły. Działo się to zawsze w nocy. Nagle spod łóżka rozlegał się okropny dźwięk, zupełnie jakby ktoś darł stare płótno. A po chwili — jeszcze raz. Wtedy ojciec zrywał się i siadał na łóżku, mama również i tylko ja budziłem się z uśmiechem, bo mnie ten dźwięk nie dotyczył, to nie była moja sprawa, jako że Militka należała do ojca, a Celestyn do mamusi. A potem sypialnię zaczynał wypełniać tak straszliwy smród, że po chwili niczym mgła docierał już do mnie do kuchni. Ojciec wyskakiwał z łóżka, bo zawsze ten przerażający dźwięk tam się zaczynał. Opływał z obu stron łóżko ojca i łączył się pod sufitem, skąd opadał z powrotem na dół, gdzie mieszał się z fetorem, który nieustannie płynął z jednego miejsca pod tatusiowym łóżkiem. Tatuś zapalał światło i biegł do kuchni, ale Celestyn i Militka siedziały już przed lustrem i udawały, że są pogrążone w głębokim śnie. Ojciec nigdy nie zdołał dociec, który z kotów zrobił to pod jego łóżkiem. Ale potem tatuś brał kubel i szare gazety, matka przyświecała mu i nie szczędziła rad, ojciec wpełzał pod łóżko i teraz zaczynał jak zawsze w takiej sytuacji pojękiwać, spluwać i krzyczeć: — Fe! Fe! Fe!

A kiedy opamiętał się trochę, zanurzał „Politykę Narodową” w kubie z wodą i najpierw ścierał z grubsza tę kocia sraczkę. Ale jak zawsze „Polityka Narodowa” przedzierała się i tatuś wsadzał rękę w to mokre kocie gównno, i kłął, i parskał pod łóżkiem, czasami usiłował się podnieść, a że zapominał, iż znajduje się pod łóżkiem, uderzał głową w deseczki i materac i znowu padał na podłogę, leżał tam jak żółw w skorupie i musiał zgarniać gazetą to kocie ohydztwo. Dopiero później wycierał podłogę szmatą, mamusia przyświecała mu i dodawała otuchy, mówiła, że to zdarza się tylko raz na kwartał, a podstawa macierzyństwa to czterdzieści pieluszek dziennie, ale ojciec trząśnięty ze złości i wstrętu, spieszył się, poruszając bosymi stopami, które wystawały spod łóżka. Skończywszy sprzątanie pod łóżkiem, gramolił się zabawnie z powrotem, a kiedy już stamtąd wylazł, siadał, ręce zwisały mu z kolan, oddychał ciężko, a obok niego stał kubel pełen „Polityki Narodowej” i gnojówki z wykręcanych szmat. Matka otwierała okno, ale ojciec aż do rana rzucał się na łóżku i okręcał się prześcieradłem, bo ten fetor sprawiał, że ojca zaczynała boleć jego delikatna i subtelna dusza. Leżałem w kuchni na łóżku, udawałem, że śpię, ale śmiałem się w duchu z tego, co widniałem, i marzyłem, żeby koty powtarzały ten numer co tydzień. Przez cały dzień ojciec chodził błądy, spluwał i krzywił się i za każdym razem twierdził, że to taki smród, jak kiedy dziekanowi bandzioch pęknie. Tak oto tatuś cztery razy do roku przeżywał tę próbę kociej miłości.

Dwa razy do roku Militka miała kocięta, i to zawsze w nocy, w nogach tatusiowego łóżka. Ojciec, kiedy chodziła za nim z brzuchem, krył się przed Militką, ale Militka, jakby uważała, że te kocięta będzie miała z tatusiem, chodziła za nim wytrwale i z miłością patrzyła mu w oczy. I ojciec prosił mamę, żeby sama zajęła się porodem, że kobiety lepiej znają się na tych sprawach, że jakoś sobie poradzi.

Ale za każdym razem — dwakroć w roku — rozlegało się żałosne zawodzenie ojca, nogi miał podkurczone aż pod brodę, przywierał cały do głów łóżka i wzywał pomocy.

— Na miłość boską, ta flądra znów ma kocięta w moim łóżku!

I mamusia zapalała światło — i rzeczywiście, w nogach łóżka na prześcieradle, leżała Militka w śliskiej wydzielinie i zupełnie mokre kociątko wisiało jej u tyłka; Militka obróciła się i przegryzła różowy sznureczek, mamusia wzięła kociątko, Militka lizała je, a tymczasem wyszło z niej drugie kociątko, ojciec zaś stał z wywalonym na wierzch językiem i robił: beeee! I zaczynał się dusić. Tak rodziło się jedno kociątko za drugim, wychodziły z Militki jak z autobusu. Militka patrzyła na ojca, jako że to niby tatuś był sprawcą tego oto jej stanu.

Nazajutrz rano kocięta były już suche, mamusia przydźwigała ogromny wiklinowy kosz i przeniosła do niego kocięta, a potem co wieczór, nim tatuś poszedł spać, mamusia stawiała koszyk z kociętami przy jego stoliku nocnym, ojciec zaś, nim usnął, trzymał kotkę za łapę, leżała na wznak, a ze wszystkich jej sutków ssały kocięta i w domu panowała atmosfera niczym nie zakłóconego rodzinnego szczęścia.

Wracając z dworu Celestyn wymieniał z Militką serdeczny pocałunek. I ojciec uśmiechał się do matki, a mamusia odpowiadała mu takim samym uśmiechem. Ale to nie Celestyn był ojcem kociąt. Do Militki przychodził zdziczały kot, którego nazywaliśmy Tatulkim. Celestyn chodził w zaloty aż na drugi brzeg Łaby, widywano go nawet aż w Pistach. Do Militki więc przychodził Tatulek, który nawet Celestyna napawał grozą. Kiedy zjawiał się Tatulek, nad browarem rozpętywała się burza. Ten kot ważył z pewnością sześć kilogramów. Cały był jak z leśnego miodu. Miał bursztynowe obwódki wokół czarnych źrenic, pod szyją plamy koloru miodu łąkowego. Uszy miał postrzępione, frędzlaste od bójek, a ilekroć na mnie spojrzał, zaczynałem się bać, że gdyby tak na mnie napadł, to mógłby mnie zagryźć. Ale on mnie odrobinę lubił, bo był zakochany w naszej Militce. Celestyn, jak tylko poczuł ten jego koci zapach, czmychał bez zwłoki, bo już raz zetknął się z Tatulkim koło słodowni. Obaj wyszli na siebie i spotkali się na samym rogu. I Tatulek tak sprzął Celestyna, i tak okropnie go pokropił, że mama dwa dni myła Celusia w wodzie kolońskiej, a on ciągle cuchnął, jakby wpadł do gnojówki za stajniami.

Ten Tatulek kropił i w ten sposób oznaczał swoje tereny od połowy ogrodu: do niego należała stolarnia i cały sad owocowy aż po rzekę. Resztę terenu zaś swoim „pokropkiem” wziął we władanie Celestyn.

Pewnego razu siedziałem w gałęziach czereśni, leżąc w koronie drzewa jałdłem posmarowaną smalcem kromkę chleba. Militka miała już brzuch pełen kociąt, można je tam było nawet wymacać jak komory akumulatora. Leżała pod czereśnią i wygrzewała sobie futerko, a od stolarni skradał się Tatulek. Co chwila zatrzymywał się i nasłuchiwał, w końcu podszedł do Militki, pocałował ją, a Mi-

litka westchnęła słodko i nadal leżała. Tatulek legł obok niej, tak na ukos. Położył jej łeb na brzuchu, pomyślałem, że wsunął sobie Militkę pod głowę jak jasek, jak mufkę, ale wiedziałem, że Tatulek nasłuchuje, jak w brzuchu Militki poruszają się jego kocięta. Widziałem bardzo dokładnie, że Tatulek ma otwarte oczy i nasłuchuje, jakby przyłożył ucho do słupa telegraficznego. A potem zamknął oczy i on również westchnął słodko. Leżał z Militką na tyłach stolarni pośród liści łopianu i lebiody. Patrzyłem z góry na te zwierzęta i cieszyłem się, że Tatulek kocha tak bardzo Militkę, uśmiechałem się nawet na myśl o ich szczęściu.

Tak oto Militka i Celestyn niczym cztery pory roku, wiosna, lato, jesień, zima, żyli z nami w naszym służbowym mieszkaniu w browarze, tatuś co wieczór głąskał swoją Militkę i szeptał jej czule słówka, tak aby i mama słyszała, mamusia zaś raz na dzień, ale zawsze tak, aby słyszał ojciec, pieściła Celestynka i szeptała mu do ucha takie różne słodkie głupstwa, jakie mówią do siebie bardzo zakochani ludzie na filmie albo w powieściach. Cztery razy do roku musiał tatuś wpełzać w nocy pod łóżko i własnymi rękoma wycierać kocie łajno, które wypełniało mieszkanie potwornym odorem.

Jednakże tylko raz do roku mieliśmy wszyscy w domu piękne święta Bożego Narodzenia. Tatuś stroił choinkę z Militką, mamusia ubierała drzewko z Celestynem, a ja patrzyłem na to nie wierząc własnym oczom. Każdą ozdobę i każdy cukierek, każdą świeczkę i każdy zimny ogień, wszystkie anielskie włosy i gwiazdki, i w końcu ten lśniący szpic z kolorowego szkła na wierzchołku drzewka, wszystko to rozwieszało się z kotami i dla kotów, które rozumiały i patrzyły na to z większym zainteresowaniem niż ja, bawiły się tym świątecznym drzewkiem bardziej niż ja, w końcu zresztą nawet w tym świątecznym drzewku mieszkały.

Ojciec i matka, trzymając w palcach świąteczne ozdoby, każdą po kolei pokazywali każdemu z kociąt. I wieszając na choince ozdoby, brali każde kocię oddzielnie, aby łapką poigrało z błyszczącą gwiazdką, czekoladowym barankiem czy pantofelkiem. A ja siedziałem okrakiem na krześle, z głową wspartą na dłoniach na oparciu, i patrzyłem, i uśmiechałem się, i miałem wrażenie, że to ja jestem ojcem swoich rodziców, że to, co widzę, to zabawa małych dzieci. A kiedy choinka była przystrojona, wówczas Celestyn zwijał się w kłębek na pierwszym piętrze świerkowych gałęzi, nad nim układała się Militka, kocięta zaś wspinały się na jeszcze wyższe piętra, na gałązki świerczka, które obsiadły iglasty pień. I mamusia zapalała świece, po czym klękała, z drugiej strony klękał ojciec, i oboje — jedno z jednej, drugie z drugiej strony wigilijnego drzewka — patrzyli poprzez gałęzie na siebie, i te koty i kocięta łączyły ich, te zwierzątka zrobiły z mojej matki i z ojca małe dzieci, a ja czułem się obcy, bo ja już nawet nie potrafiłem się bawić. Bawili się za mnie moi rodzice.

W Wigilię, zanim usiedliśmy do wieczerzy, Celestyn jadł rybę, ość utkwiała mu w gardle i zaczął się krztusić. I od razu podbiegł do mnie, i ugryzł mnie lekko w kostkę. Otworzyłem mu drzwi, żeby sobie poszedł zwymiotować na dwór.



Militka leżała zwinięta w kłębek na pierwszym piętrze świątecznej choinki, trzy kocięta nad nią, każde o piętro wyżej, świece płonęły, w radio grano *Cicha noc, święta noc...* Mama skończyła w kuchni smażyć ryby i zdjęła fartuszek.

— Idź po Celestyna, za chwilę siadamy do stołu — powiedziała.

Otworzyłem drzwi na podwórze, nad browarem błyszczały gwiazdy. Przez zaśniewany ogród mknął miaucząc przeraźliwie Celestyn, za nim biegł zdziczały kot Tatulek. Nim zdążyłem przymknąć drzwi, najpierw wpadł Celuś, tuż za nim Tatulek, który w sieni powalił Celusia i okropnie go pokropił.

I wleciały do kuchni, i Tatulek znowu powalił łapą Celestyna, i raz jeszcze go obsikał. Szukając ratunku Celuś pobiegł do pokoju, ale Tatulek poleciał za nim i biegnąc oznaczał swoje nowe tereny, które poszerzył o sienię i połowę kuchni, a teraz, przebiegając przez pokój, i nasz pokój podzielił siknięciami swoich cuchnących ohydnie perfum. W radio grano i śpiewano akurat *Cicha noc, święta noc...*, kiedy Celestyn wpadł na choinkę, a Tatulek za nim. Powalili drzewko wraz z kociętami. Dwoje kociąt wślizgnęło się w przerwaniu pod szafę, a to kocię, które pojęło, że nie zdąży ani pod szafę, ani pod kanapę, przewróciło się na wznak i udawało, że nie żyje. Ojciec otworzył w pośpiechu okno i przez to okno wyskoczył w wigilijną noc nasz Celestyn, a za nim Tatulek. Ich ogony, uniesione jak pogrzebaczki, wtopiły się wkrótce w mrok.

Od wigilijnego drzewka zapaliły się firanki, a kiedy ojciec zrywał te płonące wspaniałe firanki, na których mamusia zrobiła szydełkiem sceny z aniołkami symbolizującymi Wiosnę, Lato, Jesień, Zimę, karnisz spadł tatusiowi na głowę. Mimo to ojciec zdeptał ogień, a mamusia zalała wodą dymiące i tłące się resztki firanek. A kiedy choinka została znów postawiona, kocięta oprzytomniały i z powrotem zajęły swoje miejsca na kolejnych piętrach świerkowych gałązek. Militka położyła się pod drzewkiem i spała nadal, słodko wzdychając.

Środkiem naszego mieszkania ciągnęła się smuga kociego smrodu, którym zdziczały kot oznaczył i w ten sposób zaokrąglił i spoił wewnętrznie obszary swojego kociego prawa.

Ojciec zamknął okno i ponownie zapalił na choince świece.

Matka postawiła na stole wagę z dymiącą zupą rybną z kluseczkami.

— Biedny Celestyn — powiedziała mama.

# ZBECZESZCZONY ROZDZIELACZ

Ojciec ubóstwiał postęp techniczny i co miesiąc, wracając z Pragi, dokąd jeździł do Centrum Przemysłu Browarniczego, przywoził zawsze jakiś nowy wynalazek. Raz przywiózł grzałkę do kawy, taką spiralę z wtyczką do prądu elektrycznego, kiedy indziej lampę kwarcową. To znów hermetyczny garnek do gotowania jajek albo elektryczny młynek do kawy. Potem z kolei szybkowar, walizeczkę pełną instrumentów wytwarzających lecznicze prądy fulguracyjne i aparat do prostowania nosa.

Jednakże każdy z tych wynalazków miał swoje wady.

Kiedy ugotowało się kawę w wodzie doprowadzonej do temperatury wrzenia rozgrzaną spiralą, to spirala wchłonęła tyle innych zapachów kuchennych, że kawa nie była smaczna; lampa kwarcowa opalała ciało, tak że tatuś łuszczył się jak francuskie ciasto. Hermetyczny garnek do gotowania jaj należało wyłączyć nie co do minuty, ale co do sekundy. No i stało się, że pękł i ciśnienie trzepnęło pięciu jajami o sufit, i na suficie powstała dekoracja, której nie dało się zeszkrobać, no i te schnące jajeczka wydzielały okropny zapach, taki sam, jak kiedy raz na kwartał któryś z kotów zesrał się pod łóżkiem. Elektryczny młynek z kolei przypalał kawę, tak że nie była to kawa, jaką mama mełła w zwyczajnym młynku, który ścisnęła pomiędzy udami i mełła powoli, ale dobrze. Najgorszy okazał się szybkowar. Raz, że gotowane w nim mięso ciągle pachniało kośćmi, ale przede wszystkim szybkowar ten groził, że wyleci pod sufit, zupełnie tak samo jak patentowy garnek do gotowania jajek. Ilekroć matka gotowała coś w tym szybkowarze, była okropnie nieszczęśliwa. Jak garnek zaczynał gwizdać, żegnała się z nami i mówiła, na którym cmentarzu mamy ją pochować i jaką pieśń mamy kazać grać podczas ostatniego pożegnania. Aparat do prostowania nosa wkładał tatuś na nos, chciał bowiem — wedle instrukcji — mieć grecki nos. Dlatego na noc przykręcał śrubki tak, aby uzyskać pożądaną kształt. I robił to tak długo, aż raz kichnął w łóżku tak, że uderzając o poduszkę wbił sobie w nos trzy śrubki.

W końcu tatuś kupił motocykl marki „Orion”, czeski motocykl, o którym już w fabryce w Slanem powiedziano mu, że to maszyna okropnie wrażliwa na zmia-

ny pogody, co sprawia, że są kłopoty z zapłonem. Ojciec mimo to go kupił, chciał bowiem wesprzeć czeską firmę. Wobec tego raz po raz musiał, cały spocony i zziębnięty, pchać go do domu, niekiedy nawet wracał ciągnięty krowim zaprzęgiem. No i tatuś doszedł do wniosku, że ta wada musi się kryć gdzieś w silniku. A więc co sobota rozbierał motor do ostatniej śrubki, po czym starannie składał go z powrotem. Ale „Orion” nadal był czuły na pogodę i ojciec, zanim się gdziekolwiek wybrał, najpierw czytał w gazetach i słuchał w radio wiadomości, jaka będzie pogoda, i najchętniej jeździł wówczas, kiedy było wysokie ciśnienie barometryczne.

Księgi biurowe ojciec najchętniej prowadził wieczorem albo w nocy. Często widziałem, jak tatuś siedzi pod opuszczaną lampą nad otwartymi księgami i z podwiniętymi rękawami pisze tam te swoje raporty i sprawozdania. Każdy inicjał rozpoczynający akapit kreślił naprzód piórem w powietrzu i dopiero potem rzucał go na papier, i pisał w milczeniu, pióro skrzypiało, a literki oraz cyfry płynęły mu spod pióra tak równo i pięknie, że jego pismo służyło wszystkim za wzór. A ja pisywałem w szkole tak, jak jeździł „Orion”. Również w zależności od pogody i nastroju, raz z prawa na lewo, kiedy indziej znów literki pochylały mi się w przeciwnym kierunku. Czasami robiłem literkom kędziorki, to znów pismo układało mi się w same prostopadłe, niekiedy literki siadały na liniach zeszytu jak jaskółki na drutach, kiedy indziej znów słówka unosiły się milimetr nad linijką. Ale ojciec pisał zawsze tak jak starzy kronikarze w księgach, jak pisarze królewscy, kiedy spisywali na pergaminach złote sycylijskie bulle. A miał ojciec ręce delikatne, bo aby w ten sposób pisać w browarnianych księgach, musi mieć piszący rękę subtelną jak pianista albo skrzypek. Toteż ojciec, kiedy co tydzień rozbierał „Oriona”, aby przeniknąć tajemnicę, dlaczego jego silnik jest równie kapryśny jak pogoda, posługiwał się wyłącznie młotkiem i dłutkiem. Bez trudu odkręcał w ten sposób mutry, bo kiedy posługiwał się kluczami, raz po raz obsuwały mu się one i ciągle miał wysmarowane ręce i zdarte do krwi palce. Rozbierał więc „Oriona” używając młotka i dłutka, a nauczył go tego pewien rosyjski emigrant, który właśnie przy pomocy młotka i dłutka przeprowadzał generalny remont roweru. Tak więc warsztat w browarze w sobotę wieczorem i w nocy pełen był nieustannie cudownego postukiwania, ojciec pracował niczym dzięcioł, niczym jakiś rzeźbiarz, który tak długo z bryły marmuru odłupuje to wszystko, co jest tam niepotrzebne, aż z wolna zostanie tylko posąg. Jednakże ojcu potrzebny był ktoś, kto przytrzymałby mu kluczem nakrętkę, chodził więc przez cały tydzień po miasteczku i stawiał jego mieszkańcom takie oto naiwne pytanie:

— Co pan robi w sobotę po południu?

I jeśli zapytany obywatel odpowiadał, że nic, tatuś prosił go, żeby wpaść na godzinę lub dwie, żeby przytrzymać mu kluczem nakrętkę. Ale jak ludzie przytrzymywali tę nakrętkę, tatuś potrafił tak pięknie mówić o motorze, tak pięknie umiał zachwycać się sposobem, w jaki odkryje tajemnicę, dlaczego silnik „Oriona” niedomaga, że ludzie zapominali o czasie, i biła północ, i świtało, a ojciec,

zupełnie świeży, montował już z powrotem rozebrany silnik „Oriona”, a ludzie czekali, by przytrzymać mu tę ostatnią nakrętkę, i rano, kiedy wszyscy szli już na poranną sumę, wracali bladzi do domu i drętwieli na myśl o tym, co odpowiedzą żonie na pytanie, gdzie byli, bo większość małżonek myślała, że pomocnik tatuś całą noc spędził z panienkami w restauracji naszego miasteczka, w gospodach, gdzie niekiedy aż do rana była damska obsługa.

I tak ojciec zatrudniał kolejno wszystkich dorosłych mężczyzn naszego miasteczka, więc kiedy od poniedziałku do piątku tatuś jeździł na rowerze do miasteczka, wszyscy ci, co już montowali, uciekali przed ojcem, wbiegali do obcych zabudowań i kryli się na podwórzu albo jeszcze chętniej w piwnicy. Komu się to nie udało, pospiesznie wchodził do sklepu i kupował rzeczy, których nie potrzebował, najchętniej ludzie umykali pierwszą z brzegu ulicą w pola, a potem wracali ostrożnie, ciągle trapieni obawą, czy aby gdzieś się tatuś nie pojawi. Pan Kocurek, który montował już dwa razy, zobaczywszy tatuś i nie mając gdzie uciec, uderzył się z całej siły pięścią w nos i zakrwawiony szedł ojcu naprzeciw, a tatuś, przyjrzawszy się jego nosowi, powiedział:

— Widzę, widzę, poproszę pana kiedy indziej!

I jechał dalej pustymi ulicami, przez bezludny rynek, bo wszyscy czmychnęli, zostali tylko ludzie ze wsi albo małe dzieci i kobiety.

Lubiłem stać na rynku pod arkadami, mając za sobą otwarty ciemny sklepik pana Rehra, który skupował wszelakie skóry i skórki, lubiłem tam stać, bo ludzie woleli obchodzić ten sklepik z daleka, a zresztą corso znajdowało się po drugiej stronie rynku. Stałem tu, oparty o grubą kolumnę, i patrzyłem na targ, na przechadzających się tam i z powrotem obywateli, nikt tu obok sklepiku pana Rehra nie przechodził, bo te skórki i skóry, pełne magazyny śmierdzących i gnijących skór tak cuchnęły słodkawą zgnilizną, że przychodził tu tylko ten, kto przynosił na sprzedaż te skórki. I pewnego dnia widziałem stąd, jak ludzie zaczęli umykać z rynku niczym przed deszczem, mimo że świeciło słońce, widziałem, jak dwaj mieszkańcy miasteczka wpadli do sklepiku pana Rehra i pytali, ile kosztuje sarnia skórka, a ile z sobola, a ile z jelenia. Pan Rehr spojrział przez otwarte drzwi na rynek, zobaczył ojca jadącego na rowerze i tych, co już montowali, uciekających bocznymi uliczkami albo wstępujących do drogerii „Pod Białym Aniołem”. Kiedy ojciec zniknął w ulicy Palackiego, pan Rehr zwrócił się do swoich przypadkowych klientów:

— Możecie panowie już iść, ja też raz już montowałem.

I rynek znów się zaludnił, z drogerii „Pod Białym Aniołem” zaczęli wychodzić ludzie, a ponieważ właściciel drogerii pan Hladik umiał sprzedać nawet to, co nikomu nigdy nie mogło się przydać, jeden klient kupił sobie irygator, drugi trutkę na szczury marki „Morol”, trzeci „Tańcolin” do parkietów, ale każdy był zadowolony, że nie musi iść w sobotę do browaru, aby przez dwie godzinki przytrzymać nakrętki.

Stałem pod arkadami przed sklepikiem pana Rehra, otoczony tymi samymi zapachami co w domu, fetorem kociego łajna i jaj, którymi wysokie ciśnienie szmyrgnęło o sufit, i wonią tu i ówdzie spadających bezszelestnie niczym uschłe kwiaty przejrzanych czereśni. Widziałem, jak ze sklepu kapelusznika pana Szyszlera wyszedł obywatel niosący w torebce kolejny kapelusz, rozejrzał się ostrożnie na wszystkie strony, po czym spiesznie ruszył do domu. Z ulicy mostowej wypłynęła na rynek biała marynarska czapka stryjaszka Pepi, natychmiast wokół stryja zaroilo się od ludzi, wyciągali do niego ręce, a on ze wszystkimi wymieniał uścisk dłoni, ludzie uśmiechali się do stryjcia, poklepywali go po plecach, stryjcio salutował do czarnego daszka, a obywatele zadawali mu pytania:

- A dokąd to idzie pan dzisiaj na kontrolę ślicznotek?
- Która z dziewczyn ma pana zdaniem najpiękniejsze nogi?
- No i kiedy zagramy *Wesołą wdówkę*?
- Czy to prawda, że panienka z apteki usiłowała się z pana powodu zastrze-  
lić?
- Czy wie pan, że w „Awionie” mają dwie nowe ślicznotki?
- Ile w tym prawdy, że panna Własta od Hawerdów rąbnęła pana z zazdrości  
butelką?

Zachwycony stryjaszek opowiadał, a ja widziałem z daleka, że jest szczęśliwy, że wszystko to doskonale mu robi, że nie mógłby bez tego żyć. I ci ludzie zapraszali go do domów, przedstawiali mu swoje córki i żony, bo każdy mieszkaniec naszego miasteczka czuł nieprzepartą potrzebę powyglupiania się odrobinę, ale nie potrafił, więc stryjaszek Pepi robił to za wszystkich, no i ludzie byli mu wdzięczni.

W tę sobotę tatusiowi nie udało się nikogo zwerbować, więc ja musiałem mu przytrzymywać nakrętki. Nie znosiłem tego przekłętego dźwięku młotka uderzającego w dłuto, nie znosiłem odgłosu ostrej krawędzi dłutka uderzającego w odkręconą muterkę, nieustannie miałem wrażenie, że tatuś tym dłutkiem obtłukuje ze mnie to wszystko, co — jego zdaniem — do mnie nie należy. Tak więc przyświecałem mu żarówką, która miała na sobie druciany kaganiec, jaki zakłada się na pyski gryzącym krowom, a ojciec wyjmował części jedną po drugiej, mnie zaś krzywiła wargi wizja, że to ze mnie ojciec wyjmuje płuca i wątrobę, i żołądek, i nerki, i nadnercze — a ojciec, jakby się tego domyślał, tłumaczył mi, że taki gaźnik to ma w sobie tak delikatne części jak ucho środkowe, jak kowadełko i strzemiączko. A potem pouczał mnie, jak powstaje ssanie, i żeby było dobre ssanie, musi być dobry wydech. A kiedy wyciągnął rozdzielacz z czterema kablami, zdawało mi się, że umrę, miałem wrażenie, że wydarł mi z piersi serce. A ojciec ucieszył się, że wreszcie to odkrył, że zasadniczym powodem, dla którego silnik „Oriona” tak kaprysi, jest rozdzielacz. I położył tę część na warsztacie, a tam leżały obok siebie wszystkie części, tak jak wówczas kiedy matka zabiła

prosię i rozkładała na stolnicach udźce i serce, i wątrobę, i nóżki, i łopatkę, i kiszki wątrobiane, i salceson.

Ojciec rozpiął spodnie i opuścił je, a potem uniósł koszulę, zrobił z niej takie różki, jakby zamierzał przeczyścić sobie uszy, po czym wziął ten rozdzielacz i starannie czyścił jeden otwór za drugim, tak delikatnie i czule jak nosek dziecka.

— To chyba tkwi tutaj — szeptał do mnie — widać te kontakty muszą być absolutnie suche... Potrzyj mi rozdzielacz!

I kiedy trzymałem tę część i cztery kable zwisały mi aż do kolan, nagle zrobiło mi się ciemno przed oczyma i żołądek podszedł mi do gardła, i zwymiotowałem całą kolację na rozdzielacz. I resztki kolacji ściekały po kablach na czarną ziemię.

Ojcu oczy wyszły na wierzch; stał z opuszczonymi spodniami, które nie pozwoliły mu przyskoczyć do mnie w porę, podciągnął je i zapiął na szelki, i wziął młotek i dłutko, i stało się to, czego się obawiałem. Zamierzał obciąć mi uszy i wykłuć oczy. Ale tego było mu za mało, odrzucił narzędzia i rozejrzał się, trząśnięty całym, w końcu wziął drucianą szczoteczkę do czyszczenia świec, musiałem nadstawić ręce i tatuś zrobił mi w wierzchach dłoni dziesiątki, setki dziurek, wytatuował mi na wierzchach dłoni odbicie drucianej szczotki. A potem jeszcze raz i drugi, ale i tego było mu za mało, bo ta najwrażliwsza część „Oriona” została zbezczeszczona, ojciec zaś nie wątpił ani przez chwilę, że zrobiłem to naumyślnie. Biegał więc, potem wytrząsał z rozdzielacza to, czego tam było pod dostatkim, a myśl o tym, że rozdzielacz musi być suchy, bo w przeciwnym razie nici z montowania, tak ojca znów rozwścieczyła, że wyciągnął zegarek kieszonkowy, położył go na kowadło, ujął młot i jednym ciosem roztrzaskał swoją „Omegę”. Otworzyłem usta i zamknąłem oczy, miałem wrażenie, że ojciec roztrzaskał mi twarz, rozbił głowę. Przerazony patrzyłem na kowadło, ta „Omega” była ogromna, rozmazała się zupełnie jak przejechana żaba, jak zgliwiały ser. Teraz z kolei wypłynęły kółeczka i sprężyny, ale wszystko to ciągle jeszcze trzymało się razem. Dopiero po chwili kapnęła śrubka, wypadła wskazówka minutowa. Myślałem, że tatuś oszalał, patrzył na mnie, patrzył na moje piersi i zaczął się uśmiechać, po czym uderzył pięścią lewej ręki w prawą dłoń, ujął mnie za rękę... Prowadził mnie przez browar, myślałem, że to już koniec ze mną, że ojciec prowadzi mnie, aby mnie utopić w gnojówce, ale szliśmy dalej. Minęliśmy bramę i skierowaliśmy się nad rzekę, myślałem, że ojciec chce mnie utopić, ale i tego było mu mało, poprowadził mnie na most, myślałem, że tatuś chce mnie zrzucić z mostu, tak jak zrzucano z mostu świętego Jana Nepomucena, ale nawet i tego było tatusiowi za mało. Zaprowadził mnie do oświetlonej gospody „Pod Mostem”. A tam stał rozpromieniony pan Lojzio, w ręku trzymał pełen kufel piwa i śpiewał. Piaskarze siedzieli wokół jego stołu przy oknie. Tatuś przywitał się, a pan Lojzio dał mu kufel, aby wypił za jego zdrowie. Ale tatuś usiadł, nie puszczając mnie na krok od siebie, i spytał:

— Panie Lojziu, lubi mnie pan?

A pan Lojzio odparł, że tak, że szanuje pana kierownika, bo pan kierownik potrafi rozebrać na części, a potem złożyć z powrotem motocykl marki „Orion”.

— No to skoro pan mnie lubi, chciałbym, żeby mi pan coś wytatuował — powiedział tatuś. Pan Lojzio zaś ruchem ręki wskazał kelnerowi, gdzie ma postawić duży kielich czerwonego wina.

— Od tego tu jestem — powiedział pan Lojzio. — Proszę wypić za moje zdrowie.

— Ale ja chciałbym, żeby pan to wytatuował natychmiast, w tej chwili — powiedział tatuś.

— Mój Boże, to drobiazg! Mieszkam dwa kroki stąd, skoczę po przybory! Wesole będzie, co? — powiedział pan Lojzio i wywinął dolną wargę, tak że sięgnął nią czubka nosa. I wyszedł, i wrócił tak szybko, jakby mieszkał na moście. Przyniósł walizeczkę, z jaką chodził konował, pan Salwet.

— Co pan sobie życzy: syrenę czy okręcik? — spytał wyciągając buteleczkę z tuszem i igłę do tatuażu.

Tatuś uśmiechnął się.

— Zobaczymy — powiedział.

Pan Lojzio dał znak ręką i piaskarz pan Korecki zdjął górę od kombinezonu. Na opalonym nagim ciele miał wytatuowane piękne dziewczyny, kotwice, inicjały, okręciki z żaglami i bez żagli. I syreny. Podniosłem wzrok na ojca i uśmiechnąłem się, uradowany, że tatuś także będzie mieć tatuaż, i pragnąłem w duchu, żeby rozżalony tym zbeczeszczeniem rozdzielacza wybrał syrenkę.

— A więc co pan sobie wybrał? — spytał Lojzio.

— Syrenkę — powiedział tatuś, a ja wstałem i uśmiechałem się z podniesioną ku sufitowi twarzą.

Ale tatuś chwycił mnie, rozpiął mi marynarską bluzkę, odstłonił tę moją piękną dziewczynę i wskazał na nią.

— Wiem, wiem — powiedział pan Lojzio. — Taką samą. . .

— A więc zrobi pan to, o co poproszę, wytatuuje mi pan to, co zechcę? — spytał ojciec.

— Zgodnie z obietnicą — odparł pan Lojzio.

— A więc tę syrenkę — tatuś stukał mnie palcem w piersi — a więc tej syrence wytatuuje pan bluzeczkę, koszulkę, te piersi odzieje pan w tatuowaną kurteczkę.

Mówiąc to ojciec ściągnął ze mnie bluzę i położył mnie na ławie, a ja miałem wrażenie, że jestem Izaakiem i że mój ojciec Abraham kładzie mnie na ziemi i klęka mi na piersi, i podnosi nóż, aby poderżnąć mi gardło i ofiarować Bogu. I nie pisałem nawet, nie wydobyłem z siebie głosu, bo wiedziałem, że i tego ojcu będzie za mało, że mi zabierze moją syrenkę, że mi ją odzieje na moich piersiach za to, że zbecześciłem tę jego hostię, ten jego rozdzielacz.

Jednakże usłyszałem nagle głos wołający z góry:

— Panie kierowniku, właśnie złamała mi się igła do tatuazu! A nową będę sobie mógł kupić dopiero, gdy pojedę do Hamburga — zawołał pan Lojzio.

Podniosłem się.

Byłem uratowany.



# ŚMIERĆ W RODZINIE

Ostatniego perszerona, Bobby'ego, ostrzyżono do skóry, obcięto mu grzywę i ogon, i woźnicy, panu Ulrychowi, powierzono ostatnie zadanie: odprowadzenie konia do rzeźni. Przez tych osiemnaście lat, kiedy to rozwoził browarniane beczki po mieście i okolicznych wioskach, Bobby poznał wszystkie gospody, wiedział, gdzie ma się zatrzymać, i za to odprowadzono go do rzeźni, bo osiągnął wiek emerytalny. Woźnica, pan Ulrych, także był już stary. Zanim przyszedł do browaru, pracował jako handlarz-domokrażca, przez dwadzieścia lat w przewieszonej na ramieniu przez piersi skrzynce nosił piętnaście kilogramów brzytwy i pasków, i szelek, i nici, i igieł, i pomady, i sznurowadeł do bucików, i rzemyków, i bind, cały obwieszony był tym swoim małym straganem. I chodził tak od wioski do wioski, od domu do domu, nosił ze sobą kij, którym zawsze podpierał tę swoją skrzynkę, aby odpocząć, aby mieć wolne ręce, gdy sprzedawał swój towar. Przez te lata, tak jak staremu listonoszowi od ciężaru torby, tułów mu się odrobinę pochylał, bo ciągle dźwigał przed sobą tę małą, a pełną wystawę sklepową. Nawet gdy spał w stajniach, miał tę skrzynkę tuż przy sobie, tak jak kangur swoją kieszeń. W ciągu tych lat, kiedy to nosił cały swój sklep w skrzynce, chód mu się także zmienił: chodził tak jak wszyscy handlarze-domokrażcy, kołysał się lekko z boku na bok, i kiedy został woźnicą w browarze, szedł zawsze na wysokości końskich łbów, rozmawiał z końmi i kołysał się ciągle z boku na bok, tak jakby nadal nosił ten swój stragan.

I oto nadszedł czas, aby odprowadzić Bobby'ego do rzeźni.

Ojciec, kiedy mu pan Ulrych o tym zameldował, dał mu trzy dni urlopu, bo za Austrii tatuś służył w ułanach i wiedział, co to znaczy koń. . . Pan Ulrych dostał trzy dni urlopu, tak jak w przypadku śmierci w rodzinie. Pod wieczór odprowadził Bobby'ego do rzeźni, a potem siedział w gospodzie i pił, i podpierał dłońmi głowę.

Tego wieczora ojciec zastał stryjaszka Pepi w dobrym humorze, poprosił go więc, nie aby mu przytrzymał nakrętkę, ale aby pomógł mu założyć nowe łożyska wału korbowego, bo ojciec doszedł do wniosku, że silnik „Oriona” grzeje się tylko dlatego, że mu się grzeją i podgrzewają tuleje. A więc stryj w białej marynarskiej czapce zgodził się ojcu pomóc. Ale stryjaszek myślał o tym, że w barach

i restauracjach miasteczka czekają już na niego kelnerki i usługujące dziewczyny, spoglądają na drzwi i nie mogą ukryć zawodu, że nie pojawia się biała marynarska czapka, taka, jaką nosił Hans Albers w filmie *La Paloma*. Dochodziła już dziewiąta, a stryjaszek wciąż jeszcze dzierżył ogromną dębową pałkę, ojciec trzymał przy brzuchu wał korbowy i dawał znaki, aby stryj wbijał pałką te łożyska, że dopiero teraz, kiedy złożą „Oriona”, silnik przestanie wydawać to suche brzęczenie, to dzwonięcie, jakby w motorze płukano w oleju małe łyżeczki do kawy. A więc stryjaszek Pepi dębową pałką uderzał mocno w łożysko, tatuś trzymał i ścisnął między nogami przy brzuchu wał korbowy, na który z wolna, centymetr po centymetrze, wchodziło i wsuwało się brązowe łożysko, ten cudowny stop metali, w jakim najlepiej obracają się wały korbowe.

Kiedy stryjaszek zdał sobie sprawę, że ślicznotki są już rozżalone bez granic, że Pepi nie przychodzi do ich lokali, i daremnie zmieniają płyty na gramofonie, uderzył pałką z całej siły, bo myślał, że się to wreszcie skończy. I rzeczywiście łożysko weszło na wał korbowy bezbłędnie, wprost idealnie. Jednakże tatuś zapomniał dać znak, że już dosyć tego walenia, stryjaszek raz jeszcze się zamachnął, więc ojciec, przerażony, że łożysko może wejść głębiej, niż powinno, odsunął wał korbowy wraz z łożyskiem i stryjaszek wymierzył tatusiowi dębową pałką taki cios w żołądek jak sławny bokser Józio Hampacher. Ojca odrzuciło i upadł na ziemię. Stryjaszek Pepi przestraszył się, usiłował postawić brata na nogi, jednakże ten wciąż się przewracał, a więc Pepi kropił go wodą, klepał po policzkach, wołał po imieniu, aż wreszcie tatuś odzyskał przytomność, nogi się pod nim ugięły, ale wziął młotek i dłutko, tego jednak wydało mu się za mało, polecił więc, aby stryj nastawił ręce, wziął drucianą szczotkę, aby ukarać stryjaszka za ten cios dębową pałką, ale i tego było mu za mało. Rozejrzał się po warsztacie, ale nie znalazł nic, co by nadawało się do wymierzenia kary.

W końcu stryjaszek z własnej woli wyciągnął swój stary austriacki zegarek, na którego tarczy znajdował się napis „Patent Roskopf”, a niżej wygrawerowany był okręt o trzech masztach z żaglami, sam, z własnej woli, położył go stryjcio na kowadle, ojciec zaś wziął tę dębową pałkę i jednym ciosem strzaskał ów austriacki zegarek. Stryjaszek Pepi stał, tak jakby to on dostał pałką po łbie, obaj patrzyli, jak z kowadła zaczęły na czarną ziemię kapać kółka i kółeczka. Ojciec uniósł pałkę i zegarek stał się nagle ogromny: niczym placek pokrywał całe kowadło.

Stryjaszek Pepi podniósł go i spojrzął na tarczę, z której odpadły wskazówki, a ten trójmasztowy okręt austriacki łuszczył się jak emalia na roztrzaskanym polewanym garnku. Przyłożył go do ucha, ale zegarek marki „Patent Roskopf” już nie chodził. Stryjaszek zaczął drzeć, tak że z zegarka wysypywały się śrubki i złamane ośki, jakby wypadały mrówki, jakieś plugastwo, robaki.

Tatuś tak był tym przejęty, że podał stryjowi drucianą szczotkę i sam nastawił wierzchy dłoni, aby stryjaszek Pepi pociął mu skórę za ten zohydzony zegarek. Ale stryj odrzucił szczotkę, teraz obudził się w nim znów bunt, teraz nadszedł

czas stryjcia, bo raz na rok stryjaszek Pepi się buntował, miał już tego wszystkiego u nas powyżej uszu.

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — powiedział i głos mu się załamał. — Ja także mam swoją dumę, tę jedyną rzecz, jaką posiada austriacki żołnierz! Koniec! Nie będę już do was przychodzić ani na obiady, ani na kolacje, ani w ogóle! Będę znów sam gospodarować! Pieniądze są moje! Żądam ich zwrotu! I to natychmiast!

Ojciec pogładził stryjaszka Pepi po plecach, ten jednakże odsunął się ze wstrętem.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ! Ja jezdem robotnik, a tyś jezd pan! — powiedział stryjaszek Pepi z goryczą, oczy mu się zwęziły, położył po sobie uszy jak koń, który gryzie.

Tatuś gasił światło w garażu, umilkł i tak szli przez cichy dziedziniec browaru.

Leżałem w łóżku, czytałem książkę kucharską, książkę kucharską na cały rok, tego wieczora tak byłem łakomy, że czytałem tylko potrawy na niedziele i uroczyste święta, te przepisy, które w książce kucharskiej wydrukowano czerwonymi literkami.

Wszedł ojciec, za nim stryjaszek Pepi, a ja domyśliłem się od razu, że stryjaszek Pepi znowu się zbuntował, że nie chce już, żeby tatuś przechowywał mu pieniądze i prowadził rachunki. Tatuś wyciągnął szkolny zeszytek na słówka, gdzie co tydzień wpisywał cierpliwie sto trzydzieści koron, jakie stryj otrzymywał co tydzień za swoją pracę, a potem przez cały tydzień zapisywał tam wszystkie sumy, jakie stryjaszek podejmował: codziennie pięć koron na wydatki, a poza tym na inne rzeczy, bo stryjcio co tydzień przychodził jeszcze po pieniądze na koszt organizacyjne i na pranie. Poza tym ojciec co tydzień potrącał z pensji trzydzieści pięć koron, tygodniową równowartość obiadów i kolacji, a resztę tatuś wpłacał na książeczkę oszczędnościową stryja.

Stryjcio siedział, spoglądał obco, nawet się nie uśmiechnął.

Tatuś podliczył, a potem podał stryjowi książeczkę oszczędnościową, na której było trzysta pięćdziesiąt koron, i resztę pieniędzy za ostatni tydzień.

— No cóż, Józiu, skoro uważasz, że sam potrafisz gospodarować, to bierz, co twoje.

Nie czytałem już, nie mogłem już czytać, matka, która leżała w łóżku, naciągnęła sobie pierzynę na głowę. Czuliśmy się zawsze upokorzeni, zawsze, ilekroć stryj podnosił bunt, zawsze nas było w rodzinie mniej, bo stryjaszek Pepi stał zawsze jako zwycięzca, jako ofiara. Teraz trzymał rękę na kłamce i wylewał, chlustał na kuchnię i na pokój swoją złość i gniew:

— Sami ludzie dokoła mówią, że mnie okradacie, że taki ze mnie głupi baran! A to, co mi dajecie na obiad i na kolację, to resztki, których sami nie mogliście zjeść!

Matka odrzuciła pierzynę z twarzy i powiedziała żałośnie:

— Ale dzisiaj mieliśmy gęś. . .

— Nie o geś się rozchodzi, ale o to, że wyście państwo, a ja zwyczajny robotnik. Ale kiedyś będzie inaczej! — wykrzyknął stryjasek Pepi z pogrózką w głosie.

— A więc ci ta geś nie smakowała? To dlaczego spałaszowałaś całą ćwiartkę?! — zawołała mamusia i przykryła twarz pierzyną.

— Jedyne kapustka była coś warta! — zgodził się stryjcio. Nadal trzymał rękę na kłamece i z nienawiścią przenosił wzrok z jednego z nas na drugie.

Ojciec siedział i oddychał głęboko, nozdrza mu się rozdymały. Matka wystawiła ręce spod pierzyny, jakby się topiła, wyciągnęła się cała, leżała z przykrytą twarzą, tylko te wystające ręce poruszały dłońmi. Miałem podkurczone pod pierzyną nogi, książka kucharska leżała otwarta na moim podółku i wiedziałem, że stryjcio ma rację, nie w ogóle, ale tę swoją, nie tę swoją, ale w ogóle; gdyby nawet oszczędzał, nie mógłby zaoszczędzić ani na domek, ani na samochód, ani na to wszystko, co myśmy mieli wokół siebie, w czym mieszkaliśmy, trzy pokoje i piękne firanki, i piękne meble. Na pewno czuł się u nas obco, czuł się tu gościem, bo zawsze wracał od nas do izby czeladnej, gdzie miał jedną pryczę i jedną szafkę. Miał rację, mimo iż jej nie miał, należałem do panów, tak samo jak stryj do końca swojego życia albo aż do emerytury będzie ciągle robotnikiem, podczas gdy tatuś był najpierw buchalterem, teraz jest kierownikiem, a kiedyś na pewno będzie dyrektorem browaru. Tylko że ja wiedziałem jednocześnie, że stryjasek Pepi żyje z dnia na dzień, i to w moich oczach było piękne, wiedziałem że stryjasek Pepi przez cały dzień haruje przemoczony w warzelnii, ale wciąż jest zachwycony tym, że żyje na świecie, że ma w sobie jakąś wielką radość, która przypomina szaleństwo. Wiedziałem, że stryjasek Pepi przechodzi przez miasteczko niczym cesarz pan. W białej czapce marynarskiej ozdobionej złotymi sznurami i ogromną kotwicą saltuje i kłania się, jakby dokonywał przeglądu kompanii honorowej, jak król angielski, kiedy przy pływa dokądś okrętem i przyjmuje uroczysty raport. Tymczasem tatuś już od rana martwi się i złości, że w radzie nadzorczej robią mu wstręty, ciągle się ojciec musi upokarzać, aby się komuś nie narazić, aby nie wywołać czyjegoś gniewu. Tak więc ojciec bał się terażniejszości, nieustannie drżał na myśl o tym, co było, ciągle miał tylko nadzieję, że wszystko w przyszłości zmieni się na lepsze, ta przyszłość to było jego marzenie, tam dopiero wszystko okaże się piękne. I podczas gdy stryjasek stał ciągle z ręką na kłamece i patrzył z nienawiścią na ojca i na mnie, i na matkę, która wolała ukryć twarz pod pierzyną, dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że ojciec niemal wszystkie pieniądze, jakie mu pozostawały, przeznaczał na ubezpieczenia, aby kiedyś, gdy będą starzy, gdy znajdą się z matką na emeryturze, dostać ćwierć miliona i zacząć wreszcie naprawdę żyć!

Ja jednak lubiłem czytać gazety i przekonywałem mamusię, że zamiast płacić na ubezpieczenie, lepiej by było któregoś lata podczas wakacji wypłynąć z Hamburga w podróż po Morzu Śródziemnym, w rok później poświęcić wakacje na

podróż do Szwecji i na Spitsbergen, a w następne ferie wybrać się do Niemiec i do Francji, kiedy indziej znów w Alpy i do Włoch, że tyle, ile by ta podróż kosztowała dla nas trojga, tyle właśnie płaci się co roku po to, aby za dwadzieścia lat moi rodzice dostali ćwierć miliona. Ale mamusia była zupełnie taka sama jak ojciec, kochała przyszłość bardziej niż teraźniejszość, jaką oferowało biuro podróży Hapag w Hamburgu: co roku cieszyć się perspektywą jakiejś pięknej podróży za granicę i do krajów zamorskich. A stryjasek Pepi podróżował co dnia, codziennie objeżdżał wszystkie restauracje z damską obsługą, bary z pięknymi panienkami, wracał nad ranem, żeby już o szóstej godzinie w mokrych butach i łachach stać ze smołownicą przed stolarnią i smołować mokre beczki.

— Każdego pana trzeba by chwycić za łeb i cisnąć nim o ziemię!

Stryjaszek Pepi uniósł palec i palcem tym dźgnął w powietrze, ale w rzeczywistości to nas dźgnął wprost w serce i wyszedł do sieni, i zatrzasnął za sobą drzwi tak, że aż cały dom zadrżał.

Tej nocy stróż nocny, pan Waniatko, powleczony grubą warstwą potu, leżał przed biurem na rozłożonym pod jarzębiną płaszczu, a wierny piesek Burek zwinął się u jego nóg. Stróż nocny wpatrywał się w gwiazdy, puszczyki i sowy nawaływały się tęsknie na wysokich budynkach browaru, pan Waniatko wpatrywał się w gwiazdy i wiedział, że tej nocy nie będzie spać, bo puszczyki pohukiwały, a ten tęskny chór puszczyków napawał go grozą. Marzył więc o tym, co by było, gdyby ktoś chciał włamać się do biura i okraść kasę. Kiedy usłyszał z dala, jak na kamiennym moście dudnią kopyta ciężkiego konia — odgłos kopyt zbliżał się do browaru — stróż nocny, gdyby nie wiedział, że Bobby jest już w rzeźni, gdzie nazajutrz go zabiją, przysięgłby, że kroczy on, osiemnastoletni perszeron Bobby. Ale odgłos kroków się zbliżał. Więc stróż nocny wstał i strach go obleciał, pragnął, aby te kopyta przeszły wzdłuż browarnianego muru i zamkniętej bramy, żeby przecięły linię kolejową i zniknęły gdzieś wśród pól. Jednakże kopyta zatrzymały się przed bramą i ziściło się to, czego pan Waniatko lękał się najbardziej: za bramą zarżał Bobby.

Nocnego stróża ogarnęło przerażenie, obudził więc tatusia i cały browar, wszyscy myśleli, że pan Waniatko schwytał przestępcę, tak krzyczał i machał rękoma, i zapalił wszystkie latarki, którymi był obwieszony, tak miotał się i zwoływał wszystkich na pomoc. Kiedy dobiegliśmy do bramy, mężczyźni w gaciach, z drągami i łopatami, stał tam Bobby, który przyszedł do domu, wrócił do browaru.

Ojciec otworzył bramę, poklepał konia po karku, a mielcerze i mechanik, i bednarze znudzeni ruszyli z powrotem do łóżek, długie białe gacie oddalały się i zanurzały w mrok. Ojciec otworzył stajnię, nalał wody, a potem przyniósł naręcz siana.

Perszeron Bobby zarżał, bez uździenicy, zupełnie nagi, zapewne uwolnił się i wrócił tam, gdzie było jego ulubione miejsce, do stajni, bez której już chyba nie potrafił żyć.

Ojciec był smutny, raz jeszcze poklepał perszerona po ostrzyżonym karku, zamknął stajnię i stał z rękoma na zasuwie, z głową przy drzwiach, stał tam, niemal wisiał, rozpięty jak Chrystus na krzyżu.

Pobiegłem do domu i wśliznąłem się pod pierzynę, bo usłyszałem doskonale, tam, przy stajni, usłyszałem, jak z piersi tatusia wydarł się szloch.

# MOTORNICZY PRASKICH TRAMWAJÓW

Po południu nad rzeką stał chłopak i nie wiedział, gdzie tu jest najlepsze miejsce do kąpieli. Powiedziałem mu, żeby poszedł za mną, że ja też idę się kąpać, że wypłuskamy się razem. Tuż za browarem łączka z wolna schodzi nad wodę, rosną tam wierzby, a wszędzie czyściutki piasek.

Chłopak ruszył za mną, a kiedy się rozebrałem, on się też rozebrał, a kiedy włożyłem kąpielówki, on je także włożył. Nie rozmawialiśmy, kąpaliśmy się tylko, a potem leżeliśmy z głowami na łączce, ciała mieliśmy na gorącym piasku, a jedną nogę w płytkiej wodzie.

I nagle ten chłopak ni stąd, ni zowąd powiedział mi, że jest aż z Pragi, że przyjechał tu do miasteczka na kurację, że jego tatuś ma prawo jeździć wszystkimi tramwajami po całej Pradze. Niczego bardziej nie pragnąłem, niż zobaczyć motorniczego praskich tramwajów, bo już kiedyś dowiedziawszy się, że w Pistach spędza letni urlop motorniczy, który ma prawo jeździć tramwajem po całej Pradze, wybrałem się na piechotę przez zagajniki, żeby zobaczyć takiego wyjątkowego człowieka, bo zobaczyć takiego człowieka to to samo co zobaczyć maszynistę pociągu pośpiesznego. Kiedy jednak przyszedłem do Pist i szukałem motorniczego, on był już z powrotem w Pradze i znów prowadził tramwaje po całej stolicy.

Ten chłopak powiedział mi o tym mimochodem, a potem nadal leżał sobie na wznak, z ręką na brzuchu, i uśmiechał się, a ja wiedziałem, że kto się uśmiecha, ten na pewno nosi w sobie jakąś tajemnicę, nie musi bowiem wiele mówić, wystarczy uśmiechać się do samego siebie, rozmawiać z samym sobą, a przede wszystkim jak kto się uśmiecha, to każdy to widzi i dlatego uśmiechu nie musi nikomu wyjaśniać, nie musi się też niczego obawiać.

A potem pływaliśmy trochę na boku, trochę na wznak, przez jakiś czas nurkowaliśmy i wygrażaliśmy tylko wyciągniętą z wody ręką, a po chwili zarumieniliśmy się ze wstydu, bo tak postępują tylko małe dzieci albo dorośli, którzy udając w wodzie wodników usiłują rozbawić swoje pociechy.

Staliśmy po pas w nurcie i ja ciągle obracałem się tak, aby dostrzegł tę moją syrenkę, chłopak patrzył na nią, wcale go to jednak nie wzruszyło, był spokojny,

patrzyliśmy, jak w tafli rzeki odbijają się rosnące na przeciwległym brzegu topole, jak to odbicie w rzece jest zaondulowane, jakby płynęło przez całą żaluzję, przez falistą blachę. I kiedy staliśmy, wystarczyło mi rzucić tylko okiem na tego chłopca, i od razu zrozumiałem, że uśmiecha się, bo szczypią go w palce drobne rybki.

— Okonki — powiedziałem.

Chłopak przytaknął.

A potem opowiadał mi cicho z uśmiechem wtajemniczonego, że tu, nad rzeką, będzie chyba najlepsza kuracja uzdrowska, doktor w Pradze przepisał mu wieś, żeby na świeżym powietrzu wyleczył się z padaczki, że czasami miewa takie ataki choroby świętego Wita, jakby ktoś pociągnął go gwałtownie za rdzeń pancerzowy, że do wczoraj mieszkali w Podiebradach-Uzdrowsku w jednym z hoteli-sanatoriów, gdzie były piękne panienki, które wieczorem pełniły rolę kelnerek w tym hotelu-sanatorium, że jego tatuś także potrzebuje świeżego powietrza, że ma astmę, a więc co wieczór wraz z panienkami w tym hotelu-sanatorium tatuś aż do rana grał na trąbce. Pewnego razu wyjechali za Podiebrady i wynajęli sobie konika, ale ten konik zrzucił chłopca i chłopiec dostał wskutek tego padaczki, czyli tańca świętego Wita, więc tatuś, aby chłopiec oderwał się od tej myśli, zabrał go w niedzielę na zawody motocyklowe, ale na rynku na mokrym bruku dwa motocykle wpadły w poślizg, zderzyły się i dwaj motocykliści potoczyli się im pod nogi, i obaj nie żyli, wobec czego chłopak dostał znowu ataku padaczki, więc zapakowali wszystko i od dzisiaj są tu, w hotelu „Zofiówka”, gdzie tatuś cały boży dzień gra na trąbce z pięknymi panienkami i leczy swoją astmę, aby pierśmiom się lekko oddychało...

Chłopak mówił cicho, jego głos płynął ponad nurtem rzeki w dal, na pewno to, co mówił, słyhać było aż w Komarnie, na zielonej wyspie, powiew nad wodą nawet szept niesie bardzo daleko, uśmiechał się, a ja w końcu nabrałem w piersi powietrza, żeby wreszcie dostrzegł tę moją wytatuowaną piękną syrenkę, ja też chciałem być sławny, ale on uśmiechał się i miał blond włosy, a kiedy mówił, to ciągle jakby powściągał cugle. Zegar na wieży kościoła dekanalnego wybił szóstą, wyszliśmy z wody i znów położyliśmy się na wygrzonym przez słońce piasku. A jednak chłopak zaczął strzepywać z siebie zaschnięty piasek i powiedział, że musi iść na kolację, a ja powiedziałem mu, że już widziałem maszynistę pociągu pospiesznego, ale bardzo chciałbym zobaczyć, jak wygląda motorniczy tramwajów, który ma prawo jeździć po całej Pradze.

Kiedy doszliśmy do bramy „Zofiówki”, a potem znaleźliśmy się w ogródku przed restauracją, z wnętrza słyhać było trąbkę, pianola brzękała w rytm tej trąbki, po czym rozległy się słowa piosenki śpiewanej przez stryjaską Pepi okropnym głosem, co wywoływało piskliwy kobiecy śmiech, taki nienaturalny śmiech, który sprawia, że włos jeży się na głowie i krew krzepnie w żyłach. Trąbka ucichła i z lokalu wybiegł pan o jasnej kędzierzawej czuprynie, w palcach trzymał błysz-



czącą mosiężną trąbkę, był zarumieniony od śmiechu, a usta miał tak czerwone jak maliny.

— Słuchaj no — zwrócił się do chłopca — kolację zjesz dziś w kuchni, ja jeszcze przez chwilę będę się leczyć!

Patrzyłem na niego z nie ukrywanym podziwem, bo właśnie tak wyobrażałem sobie doskonałego motorniczego, który ma prawo jeździć po całej Pradze. Miał niebieskie oczy, a płowe włosy tak kręcone jak jasnowłose Murzyn. I oto przyłożył trąbkę do ust, i trąbił na niej, nie była to żadna piosenka, po prostu trąbił tę radość, którą miał w piersiach, i trąbiąc zawrócił, a że ręce pełne miał trąbki, uniósł nogę i nacisnął klamkę podeszwy buta, a ja dopiero teraz pojąłem, że widzę prawdziwego motorniczego praskich tramwajów, motorniczego pierwszej kategorii. I postanowiłem, że jak będę pisać nadobowiązkowe wypracowanie z języka ojczystego, to nie będę chciał być nikim innym niż tatuś tego chłopaka, który cierpi na padaczkę.

Weszliśmy do kuchni, przy płycie stała pani restauratorka, miała zupełnie tłusty fartuch i tłuste ręce.

— Ho, ho, co za goście! — powiedziała ujrzawszy mnie. — No, na co masz ochotę, psotniku?

— Na lemoniadę — powiedziałem. — Ale proszę pani, ja przyszedłem z tym chłopakiem. Jesteśmy kolegami.

— Żebyś go tylko nie zaprowadził do gospody „Pod Mostem” i nie kazał mu wytatuować jakiejś gołej dziewczuchy!

— Co też pani mówi, pani Buriankowa! — ja na to.

I rozchyliłem koszulę, i wystawiłem syrenkę na pokaz, pani Buriankowa trzymała nóż, pochyliła się, spojrzała, a potem rozgniewana powiedziała:

— Czego ci ludzie nie wygadują! Patrzcie no: zupełnie goła morska dziewczucha!

A że trzymała w ręku nóż kuchenny, zaczęła nim raźnie wymachiwać, jakby grała na skrzypcach jakąś tęskną melodię, przesuwała nożem tuż pod szyją i wydymała tłuste wargi, przymrużając przy tym oczy jak spiskowiec.

Chłopiec siedział oparty plecami o ścianę, w której znajdowało się prowadzące do sali jadalnej okienko: o deseczkę oparła się kelnerka, pochyliła się i zabłysła złota oprawka okularów, oczy dziewczyny były nienaturalnie wielkie, przez szkła wydawały się większe niż oczy wołów z naszego browaru.

— Cztery małe krupniki — powiedziała.

Pani restauratorka ostrożnie rozlewała do kieliszków likier miodowy, postawiła je na tacy, wzięła cztery koraliki i długa kobieca ręka wniosła do ciemnego lokalu cztery kieliszki, które połśniewały jak dwie pary okularów. I odezwał się gramofon, i z jasnej kuchni przez ciemne okienko w ścianie widać było, jak po lokalu krąży tam i z powrotem mosiężna trąbka i gra wesołą piosenkę, dwa kobiece głosy pokrzykiwały na siebie, ale ja z barwy głosów wywnioskowałem bezbłęd-

nie, że te głosy udają tylko sprzeczkę, że stroją sobie żarty, że bawią się, tak jak dorośli bawią się niemal zawsze.

— Te kwiaty Pepi dał mnie!

— Nie, ten bukiet dał mnie!

Naprzeciw siebie stały — widać to było przez okienko — kelnerka w niebieskiej sukience i ta druga w złotych okularach, które błyszcząły w ciemnym lokalu jak dwie pękate rybki w akwarium, stały naprzeciw siebie i udawały, że gniewają się na siebie, zupełnie nieszczerze obrzucały się oszczerstwami i obelgami, a nawet wyciągnęły ręce i chciały sobie nawzajem wydrapać oczy.

Patrzyłem na chłopca, siedział oparty o ścianę, zupełnie go to nie interesowało, pewnie nawet nie słyszał, co się dzieje w lokalu, bawił się słomką i z poślinionego palca oblizywał pieprz. I gdyby mi tego nie powiedział, nigdy bym nie uwierzył, że ma padaczkę, chorobę świętego Wita.

Stryjaszek Pepi wrzeszczał z zachwytu i jego głos wraz z dymem płynął do kuchni.

— To jest austriacka dyscyplina, to jest ten sam system, jaki wyznawał nieboszyk cesarz Franciszek Józef, który z szacunkiem odnosił się do baronowej, swojej kochanki, aktorki o nazwisku Szrat.

Pani Buriankowa wytarła ręce i do czterech kieliszków naląła z butelki czerwonego wina, wzięła koraliki, a kelnerka pochyliła oprawkę złotych okularów i niosąc kieliszki w głąb lokalu wołała:

— Ja tam wcale się nie dziwię, mistrzu! Kiedy pan spojrzy na kobietę tymi swoimi czarnymi ślepiami, to padam na wznak zupełnie tak samo jak baronowa Szrat i odrzucam kołdrę! Ale, ale, kiedy wreszcie będzie nasz ślub?

Pani restauratorka naląła mi lemoniady i postawiła przede mną szklanekę i butelkę.

— Masz zupełnie takie same oczy jak twoja mamusia — powiedziała. — Ale na dzień twoich oczu dostrzegam coś łajdackiego — dodała.

— Proszę pani, mamusia mówi mi to samo co rano.

Kiwnęła tłustym kokiem i palcem odsunęła tłusty lok, spadający jej na oczy, kiedy zobaczyła kobiece ręce, które wysypały na deseczkę sześć kolorowych koralików, obróciła się i pod światło nalewała ostrożnie krupnik, likier koloru łąkowego miodu, kobiece ręce następnie podniosły tacę z kieliszkami, światło odbite w dnach kieliszków rozjaśniło mrok lokalu i zniknęło gdzieś na poplamionym obrusie. Pani Burniakowa podała talerz i sztucce, chłopiec wziął widelec do jednej ręki, nóż do drugiej i obrócił je ostrzami w górę, i tak oczekiwał łapczywie swojej kolacji, zgłodniały po tej kąpieli w rzece.

— No i kiedy będzie nasz ślub? — zawołała kelnerka w okularach.

— Co takiego? On przecież mnie obiecywał miłość! — krzyczała ta w niebieskiej sukience i podniosła ręce, przez okienko widać było jej nagie białe ręce, potem ręce kelnerki w okularach, białe ręce i połyskliwe soczewki okularów, krzyk

kobiet, nieszczerzy krzyk i obelgi, kelnerki biły się, ostrożnie targały się za włosy, a biała marynarska czapka stryjaszka rozcinała kłębiący się w lokalu dym, trąbka trąbiła na alarm, zaś motorniczy praskich tramwajów podskakiwał wokół białych szamoczących się ramion.

— To doskonale — powiedział chłopak — że tatuś się leczy. Gdyby tak mamusia to zobaczyła, na pewno bardzo by się ucieszyła, że tatuś tak ładnie się bawi.

— Młodości, radości, obu brak rozumu — powiedziała pani restauratorka krojąc plasterki węgierskiego salami, co chwila przy tym podnosiła nóż i ostrym nożem robiła ruch świadczący, że najchętniej poderżnęłaby komuś gardło...

Komu?

Kelnerki przestały udawać, że biją się o pierwszeństwo, która wyjdzie za stryjaszka Pepi, i teraz stały nad marynarską czapką stryja, ta niebieska ujęła się pod boki, z drugiej strony pochylała się nad stryjciem złota oprawka błyszczących okularów, a nieszczere głosy nadal udawały kłótnię.

— Gdybym się dowiedziała — krzyczała okularnica — że nie dochowujesz mi pan wiary, to wzięłabym nóż i ciach! I Pepi zostałby bez instrumencików, bez instrumencików!

— Co takiego? Mojego kochaneczka pozbawić tego, co u niego najpiękniejsze? — Kelnerka wygrażała białymi nagimi rękoma.

— Dzieci — zawołał motorniczy praskich tramwajów — opamiętajcie się, najlepiej otruć się krupnikiem! A stryjaszek Pepi niech od razu zamówi dwa kieliszki!

I sam wypił kieliszek, który zabłysnął wśród dymu, a inne kieliszki rozbłyskiwały w powietrzu, stały, pochylały się i do ust ciekł jasny likier, jeden kieliszek dotknął oprawy złotych okularów. A motorniczy tramwajów podniósł trąbkę i zaczął trąbić, i trąbił wesoło, nie trąbił żadnej piosenki, ale samą wesołość, było to tylko wesołe trąbienie, tak jak na błękitnym niebie błyska się na pogodę.

Pani Buriankowa wskazała nożem okienko.

— Udany tatulek — powiedziała.

— Prawda? — ucieszył się chłopak z ustami pełnymi knedli i jajek. — Gdyby tatuś nie był tak chory na piersi, to byłby jeszcze bardziej udany, taki, jaki bywał dawniej. Ile razy, aby mamusi sprawić przyjemność, wraz z trąbką przyprowadzał do domu dwie piękne panienki.

Z lokalu dobiegł nieszczerzy ton kobiecych głosów.

— I co o tym wszystkim mówi rozprawka pana Batisty, mistrzu?

— Co tam pan Batista pisze o higienie płciowej?

— Że rękojmią szczęścia małżeńskiego jest dorodne ciało!

I cały lokal pełen był radosnych okrzyków, niewyraźne głosy powtarzały to, co powiedział stryjaszek Pepi, i wszyscy śmiali się, śmiali się tak, że aż się zachłystywali, i nie mogli się nasycić...

Czym?

Pani restauratorka myła w zlewie filiżanki po kawie i całkiem się rozmarzyła.

— Wiesz — zwróciła się do mnie — kiedy byłam w czwartej klasie gimnazjum, pewien młodzieniec, piękny młodzieniec ze starego Załabia, grał mi o zmroku na trąbce, karmiłam pod wieczór króliki i jak tylko otworzyłam drzwiczki, on, jakby o tym wiedział, zaczynał słodko trąbić ponad dolinami i rzeką, ta trąbka co wieczór wbijała mi nóż w serce. . . — powiedziała tęsknie, stawiając na stole czyste filiżanki.

Pani restauratorka, pochylona nad zlewem, zwierzała się filiżankom do kawy.

— A ja naumyślnie karmiłam powoli, aby móc słuchać, jak pięknie ten chłopak trąbi, tam gdzieś na miedzy trąbi tylko dla mnie, bo byłam ładna i przyjemnie mi było, że ktoś mnie tak kocha, że siedzi na miedzy i o zmroku trąbi tylko dla mnie. . .

Trąbienie pięknego młodzieńca pokrzepiło panią restauratorkę, znów zabrała się do krojenia salami, wyjmowała z puszek koreczki z filetów, podwinęła rękaw i zanurzwszy aż po łokieć rękę w słoju wyławiała z dna kiszzone ogórki.

— Ściemnia się już. . . Nie powinieneś już iść do domu? Nie będą cię szukać?

— Będą — powiedziałem — ale chłopak mówi, że jego tatuś będzie się jeszcze leczyć, że czasami leczy się aż do północy, więc pójdzie ze mną. Proszę się nie obawiać, zwrócę go w porządku.

— Niech spyta tatusia — postanowiła pani restauratorka układając ogórki na talerzu. A potem usiadła, sięgnęła za siebie i włożyła sobie między uda butelkę, wkręciła korkociąg, po czym lekko weń uderzyła, napięła się cała, nawet nogi uniosła i zadrzała, jakby chwycił ją atak padaczki, i mocnym szarpnięciem wyciągnęła korek, który wraz z jej ręką poleciał w górę, podczas gdy jej nogi uderzyły o ziemię. I zaczęła rozlewać wino do kieliszków.

— Skoczę po sweter — powiedział chłopiec wstając.

— Mogę z nim pójść na górę? — spytałem. — Ile płacę?

Machnęła ręką i podniosła nóż kuchenny, uśmiechnęła się i pogroziła mi tylko majchrem niczym szablą. . .

Wyszliśmy na korytarz, a później po stromych schodach wspięliśmy się na piąte piętro jak na chór w kościele, chłopak otworzył drzwi prowadzące na ganek, który ciągnął się nad całym lokalem. Dymu pod sufitem unosiło się tyle, że stoły i goście w dole znajdowali się we mgle. Chłopak otworzył jedno z wielu drzwi, zapalił światło. A ja patrzyłem w dół, przez otwarte okienko widziałem kuchnię, widziałem tłuste ramiona pani restauratorki: podawała talerze z salami i kieliszki wina, widziałem z góry kelnerkę: okulary połyskiwały złotą oprawką na jej twarzy jak odłamki z dna butelki. Postawiła całą tacę przed motorniczym praskich tramwajów, jego włosy jarzyły się żółtym blaskiem, włosy skręcone jak krecie stożki, jak zwoje mózgu, nieustannie trzymał na kolanach trąbkę niczym złote dzieciątko i śmiał się całym ciałem.

— Nie będziemy kupować kota w worku — zdecydowała kelnerka w niebieskiej sukience.

— Tak — dodała druga kelnerka, usiadła obok motorniczego, położyła mu długą rękę na ramieniu, tak że sięgała twarzy, i motorniczy tramwajów, ten, co to miał prawo jeździć po całej Pradze, wachał tę rękę zanurzywszy cały nos w kobiecej dłoni.

— Idziemy tańczyć! Dajcie no tam coś do rzeczy! Wesołego! — zawołał motorniczy i ręce mu wystrzeliły pod sufit, i motorniczy przeciągnął się, tak że aż zawył słodko. I zerwał się, zerwał się też stryjaszek Pepi, podparł się pod boki, gramofon grał fokstrota i stryjcio nie czekał, ale tańczył sam, podskakiwał i podnosił nogi tak wysoko, że zawadził obcasem o wysoki piec, kelnerka w niebieskiej sukience zaatakowała stryjaszka obiema białymi rękami, stryj naprzeciwko niej kłut pięściami powietrze, a potem objęli się i na przemian wyrzucali przed siebie nogi, aby nie kopnąć się w kostkę czy kolano. A motorniczy biegał raz w tę, raz w drugą stronę, pochylał się, ugiął w kolanach i machał rękoma wokół siebie jak postrzelony bażant, ale wkrótce i tego było mu za mało, wziął trąbkę i zaczął trąbić, a ja tam na górze natychmiast pojąłem, jaki z niego muzyk, bo od razu wśliznął się w rytm gramofonu.

— A teraz zrobimy tak zwaną trylogię! — ryknął stryjaszek Pepi, dziewczyna w okularach poprawiła je sobie na nosie i oto już tańczyli we troje, wyrzucali przed siebie nogi i śmieli się wniebogłoso.

— Mój ty chłopaczku! — wołała panienka w niebieskiej sukience.

Chłopak zawołał mnie, odwróciłem się, nie mogłem się oderwać od tego, co widziałem, oparty lekko o balustradę. Odwróciłem się i zobaczyłem oświetlony uzdrowski pokój, w którym znajdowało się łóżko i kanapa, a poza tym duże owalne lustro, poobwieszane widokówkami, kokardami, uschłymi kwiatkami, wygranymi na jarmarcznej strzelnicy różami i małpkami, okna były zamknięte, rolety opuszczone, i to opuszczone na stałe, bo sznur przywiązano mocno do gwoźdźca. Chłopiec uśmiechał się, stał w swetrze, spod kanapy wystawała nie domknięta walizka. Chłopiec uśmiechał się, powietrze w pokoiku pachniało szminkami, zwiędłymi kwiatami i nie wylaną wodą z miednicy. Chłopiec zgasił światło, w milczeniu wyszliśmy na ganek, oparliśmy ręce na balustradzie i patrzyliśmy w dół, na rozbawione towarzystwo.

— Powietrze tu bardzo zdrowe — powiedział chłopak. — Cieszę się, że tatuśowi lżej teraz na piersiach... Tu to on jest zupełnie inny niż w domu: wesoły człowiek... Gdyby mamusia o tym wiedziała, na pewno byłaby bardzo szczęśliwa...

Kelnerki pochylały się i unosiły ręce, i klaskały, i krzyczały ze śmiechu, zasłaniały sobie usta dłońmi, wydawało się, że zemdleją, że umrą ze śmiechu, pani Buriankowa, restauratorka, gięła się i pochylała jak drzewo podczas letniej burzy,

a potem biła się rękami po udach, cała mokra od łez, że też dorośli ludzie potrafią tak się bawić w jej lokalu.

Motorniczy tramwajów, który ma prawo jeździć po całej Pradze, odnalazł ręką trąbkę i zatrąbił capstrzyk, tęskny capstrzyk, głos trąbki schodził po schodach aż ku rzece, aby ostatni ton utonął na dnie lokalu, gdzie królują zabawa i śmiech.

— Idziemy? — spytałem i wyciągnąłem rękę.

# OŚWIETLENIE PUBLICZNE

Nasze miasteczko najpiękniejsze jest w porze zmierzchu. W porze, kiedy oświetlone są wystawy wszystkich sklepów i magazynów, kiedy zaczyna się opuszczać żaluzje, kiedy ludzie pracujący w sklepach jakby pięknieją, bo mają przed sobą wolny wieczór i część nocy. Po każdym ekspedientce i ekspedientce widać, że wprawdzie jeszcze sprzedają, ale ich oczy raz po raz podnoszą się na zegar i uśmiechają się do jego tarczy, która mówi:

— Jeszcze tylko chwilka i koniec pracy! Jeszcze tylko krótka chwilka!

A potem ściąga się hakiem żaluzję, podeszwą przytrzymuje się przy ziemi otwór na hak i przyciska się kolanem żaluzję, żeby szybciej zatrzasnął się zamek.

Wysoko pod jesiennym niebem zegar kościelny wybija godzinę i wszyscy wysypują się ze sklepów i magazynów, i wszyscy są w tym zmierzchu piękni.

Kocham miasteczko, gdzie zapalają się gazowe latarnie, lubię chodzić ulicami w ślad za panem Rambouskiem, który bez najmniejszego zainteresowania unosi przy każdej latarni długi bambusowy pręt i pociąga, a w miarę jak nad miasteczkiem zapada noc, pan Rambousek zapala latarnie gazowe, robi to jakoś powoli, gazowy palnik wzdraga się, w końcu jednak daje się przekonać i zapala się żółtozielone światelko... Pan Rambousek idzie przez miasto, przed nim jest mrok, za nim — światło.

Najpierw obchodzi kolumnę wotywną na placu i zapala cztery kandelabry z czterema gazowymi latarniami, potem zaś zapuszcza się w ulice i uliczki, ciche i malutki, obie ręce wyciąga w górę, tak jakby tyczką zrywał owoce z najwyższych gałęzi. A potem drobnymi kroczkami drepcze dalej w gęstniejący mrok. A ja chodzę za nim, pan Rambousek wciąż powtarza jedno i to samo, a ja wciąż patrzę na rozświetlanie wieczora, jakbym widział to po raz pierwszy. Zimą w szkole codziennie rano czeka już na mnie sześć zapalonych lamp gazowych, do szkoły zawsze przychodzę pierwszy, siedzę pod dwuramienną lampą, a cienie jej światel są zawsze zielone. Siedzę nasłuchując, jak lampy gazowe syczą: tak syczy uchodzące z dętki powietrze, kiedy odkręci się wentyl. Ten sam przyjemny dźwięk wydają jęczyczki płonących lamp, niczego nie pragnąłem bardziej, jak mieć i w domu takie mówiące lampy i siedzieć tylko, i słuchać, nastawiać ręce i dziwić się, zdumiewać niebieskozielonym światłem, które przypomina blask nocy księżycowej,

kiedy to budziła mnie ze snu pełnia, a ja wyciągałem do tego światła ręce i nogi i czułem, że to światło ma także swój ciężar, jakby z góry sypała się mąka albo pył gwiazdny. I wszystko w pokoju jest jakby ze snu, i człowiek chodzi na palcach, bo księżycowa noc budzi lęk.

Siedziałem w szkole, obok przechodzili chłopcy, wpatrywałem się w nich bacznie, czy zauważą, ile jest tu piękna za darmo, ale nikt nie dostrzegał tego gazowego światła, chłopcy bili się i kłócili, i wymieniali bułki na znaczki, nawet kiedy przyszedł pan kierownik, i on nie pochwalił lamp gazowych, i on nie słyszał jak pończoszki nad nami syczą niczym płomyczki Ducha Świętego.

A kiedy wsuwałem nogi pod ławkę, to jakbym zanurzał je w chłodny cień lodowatej wody.

Ale teraz jest wieczór, lampiarz pan Rambousek idzie przez miasto i zapala latarnie gazowe; obszedłem z nim plac i aleję Elżbiety, i ulicę Jeździecką, i Duże oraz Małe Wały, przeszedłem przez plac kościelny i Koźlą, ale najładniejsze latarnie znajdowały się przy Małych Wałach, ukryte wśród drzew i krzewów, na górze paliły się latarnie, w dole odzwierciedlały się w Łabie ich odbicia, jednakże pan Rambousek nie miał na to czasu, szedł tylko i bez najmniejszego zainteresowania podnosił bambusowy pręt, ale nie sprawiało mu to radości, szedł coraz to dalej i dalej, podczas gdy ja zbierałem za nim drobiazgi, okruchy spadające z każdej latarni.

Taka latarnia gazowa, kiedy obudzić ją haczykiem, charczy najpierw niczym stary zegar, musi odkaszlnąć, przetrzeć oczy tak jak ja co rano, kiedy wstaję i nie chcę patrzeć na światło. Niektóre latarnie skwierczą nawet jak tłuszcz na patelni, kiedy smaży się kotlety i dostanie się do niego kropla wody. Potem jednak światła wszystkich latarni gazowych słabną, jedna drugiej dodaje odwagi, bo gdyby nie chciało się im świecić, to pan Rambousek przy co dziesiątej latarni ma przywiązaną na łańcuchu z kłódką drabinę, po której wspina się i po ciemku — tak jak ślepy Hanusz potrafił naprawić każdy zegar wieżowy — tak pan Rambousek naprawia każdą latarnię i zmusza ją do tego, żeby paliła się tak jak wszystkie inne.

Kiedy pan Rambousek skręcał w następną uliczkę, lubiłem się odwrócić i patrzeć przed siebie na szereg światel, każda zapalona latarnia gazowa niczym przejrzysta a delikatna spódniczka przekazuje światło tej drugiej, takie świetliste łańcuchy, które dotykają się i przeplatają jedne z drugimi, tak jak gałęzie czereśni w sadzie przy browarze.

A tam, gdzie ulica załamywała się, przechodziła w drugą, tam znajdowała się na rogu latarnia, która oświetlała obie uliczki, tam i światło skręcało z jednej uliczki w drugą. A wieczorni przechodnie wchodzili w to światło i wychodzili, skrapiani tuszem błękitnozielonego światła, nikomu jednak nie przyszło do głowy, aby zatrzymać się, aby nastawić rękę, tak jak ludzie, zanim wyjdą z domu w pochmurny dzień, nastawiają grzbiet ręki: pada czy też nie pada, nikt nie podziwiał blasku latarni gazowych i nikomu nie przyszło do głowy, aby iść w ślad



za panem Rambouskiem. I ten brak zainteresowania ludzi to była rzecz najdziwniejsza podczas rozświetlania wieczorów.

Mój cień i cień pana Rambouska, i cienie ludzi odgrywały w świetle gazowych latarni takie teatralne przedstawienia, że ogarniało mnie przerażenie. Kiedy wychodziłem z kręgu światła jednej latarni gazowej, kładła ona przede mną swój cień, cień rosnący stale tak długo, dopóki nie wszedłem w krąg światła następnej latarni gazowej, która rzucała mój cień za mnie, on zaś później, kiedy zbliżałem się do kandelabru, tak się za mną zmniejszał, że ku swojemu przerażeniu stawałem na swoim cieniu, tak iż w końcu stałem na sobie samym. A kiedy ruszałem dalej i szedłem do kolejnej latarni, to mój cień przede mną zwiększał się i rósł tak długo, dopóki nie wszedłem pod rąbek spódnicy następnej latarni. I tak się dwa razy przewróciłem, odwracając się i szukając swojego cienia, który kroczył przede mną, za mną, na który stawałem, na który mógł i musiał stąpnąć każdy wieczorny przechodzień idący uliczką oświetloną światłem latarni gazowych, ale nikt się nie przewrócił, nikt nie zwracał uwagi, gdzie zaczyna się jedna, a kończy druga tajemnica, jaką z całkowitą obojętnością i za darmo roznosi po miasteczku lampiarz pan Rambousek, blask latarni gazowych, świecących na odległość machnięcia żółtych skrzydeł, tak jak gołębie siedzą na gzymsach browaru na odległość swoich skrzydeł, aby — jeśli zechcą się w nocy przeciągnąć albo jeśliby obudziły się z jakiegoś niedobrego snu — machaniem swoich skrzydeł nie obudzić sąsiadów.

Kiedy padał deszcz, kiedy panował mrok i deszcz słyszało się tylko na ubraaniu, czuło się tylko na twarzy, pan Rambousek zapalał każdą latarnię gazową i od razu było widać, jak bardzo pada. W blasku lamp padało nawet bardziej, niż padało w istocie, każdą szybkę latarni świecącej na wszystkie cztery strony świata deszcz cieniował kreskami, jakby w każdym tym oświetlonym żółto okienku wyświetlano stary film. A kiedy było zimno i padał zaduszny deszcz albo mokry śnieg, z każdej zapalanej latarni gazowej unosiła się para, mały obłoczek dymu. A na kocich łbach bruku gazowe światło smarowało kamienie masłem, cienie znikwały i z ulicy miasteczka robiła się stalaktytowa jaskinia i wykuta w wapieniu pieczara. Na rynku i na głównej ulicy przechodnie rozdeptywali to chłodne lśnienie, ale w uliczkach pełnych kałuż łby błyszczały jak łyse czaszki pobożnych starców, kiedy uklękli w kościele i ksiądz wkładał im do ust przenajświętszą hostię.

Kiedy padało, pan Rambousek nosił melonik i jego czarna ceratowa peleryna lśniła od deszczu, pan Rambousek co chwila pochylał się do przodu i z ronda jego melonika wylewała się woda, która w świetle latarni gazowych połyskiwała jak rtęć. Kiedy dął ostry wiatr, to pogwizdywał tylko w mruczących cicho latarniach, jedynie wichura poruszała przystrzyżonym krótko płomykiem. Deszcz, który ściekał po szybkach latarni, przyciemniał uliczki i przechodnie z pochylonymi głowami przedzierali się do domów albo gospod. Ale ja kroczyłem za panem Rambouskiem z podniesioną głową, jakbym sam był latarnią gazową. Szedłem za

nim i cieszyłem się na myśl, że jak pan Rambousek się znów pochyli, to pocieknie mu z głowy i chluśnie na ziemię srebrzysta rtęć.

W któryś z takich wieczorów poprosiłem pana Rambouska, aby mi pozwolił zapalić choćby tylko jedną jedyną latarnię gazową. Podał mi bambusowy pręt, uniosłem twarz w deszcz, malutkie światełko tliło się na dnie lampy, ale ręce tak mi drżały, że haczyk szcząkał, a ja nie mogłem trafić w ten haczyk w latarni. Roztrzęsiony oddałem panu Rambouskowi bambusowy pręt, a on, nie spojrzawszy nawet, wyprostował się tylko, pociągnął i już szedł do następnej latarni. . . Deszcz i łzy spływały mi po twarzy i byłem tego wieczora okropnie nieszczęśliwy. Ale zakochałem się w gazowych latarniach jeszcze bardziej. I kiedy leżałem w łóżku, przyszło mi nagle na myśl, że musi to być jeszcze piękniejsze, kiedy pan Rambousek idzie rano przez miasteczko i te latarnie gazowe gasi. Ale za każdym razem budziłem się, kiedy się już rozedniało. Pewnego razu jednak udało mi się wstać jeszcze przed brzaskiem, ubrałem się po cichu i wymknąłem się w noc. Kiedy szedłem mostem, latarnie gazowe świeciły na tle jasnoblękitnego nieba, na którym drżały błyszczące gwiazdy. Tu i ówdzie ktoś wracał z pracy albo dopiero do pracy się udawał, kilku rybaków z bambusowymi wędkami wybrało się na ryby i zesłi nad rzekę. Zanim przeszedłem most, niebo pojaśniało, a mnie ogarnęła radość, że widzę, jakie to piękne: patrzeć na jasnoblękitne niebo przed świtem i latarnie gazowe świecące na filarach mostu, patrzeć na rząd latarni przy ulicy Mostowej.

Na placu kościelnym niebo pojaśniało i rozpękło się na wschodzie, i różowy blask objął katedrę Świętego Idziego z czerwonej cegły, latarnie gazowe świeciły teraz tylko dla samych siebie, błękitnoróżowy blask nadciągał od rzeki i spadał z nieba w ulice i na place, lampy gazowe świeciły tylko i wyłącznie dla siebie.

Nagle ujrzałem pana Rambouska: zbliżał się od Furty, szedł i wkładał przy tym w mosiężne nasadki pręty, z których, nim doszedł na plac kościelny, powstała tyczka. I szedł od jednej latarni do drugiej, drobnutki, w meloniku, grzebał haczykiem we wnętrzościach latarni i gasił jedną po drugiej, tak jakby tylko skręcał knot lampy naftowej. Teraz dopiero zauważyłem, że latarnie gazowe mają malutki płomyczek palący się przez cały dzień. Widziałem, że lampy gazowe udają się na odpoczynek, że idą spać, tak jak człowiek. I tak obszedłem uliczkami całe miasteczko wzdłuż murów obronnych, przez otwarte okna widać było, jak ludzie wstają, ulicami przejeżdżały wozy z mlekiem, piekarze nieśli w koszach bułki, a pan Rambousek gasił resztki nocy. Latarnie gazowe stały na baczność i każda z nich miała w swoim oszklonym brzuchu zarodek wieczora. Przy ostatniej latarni pan Rambousek odwrócił się, ja zaś zatrzymałem się w odpowiedniej odległości, patrzyłem, jak pan Rambousek wyciągnął rękę i trzymał bambusową tyczkę. Kiwnął głową i potrząsnął tyczką. Podeszedłem, jakbym się zbliżał do ołtarza. Wziąłem tyczkę, uniosłem oczy. Niebo było ledwie błękitne, żółta pończoszka w latarni gazowej nie była większa ani jaśniejsza niż skrzydła bielinka.

I widziałem haczyk na końcu tyczki, widziałem haczyk pod palnikiem i usiłowałem zaczepić jeden o drugi. Sam pan Rambousek stał bez reszty pochłonięty tym, co widział, a ja pociągnąłem bambusowy pręt i miałem wrażenie, że zgasilem całe niebo. Twarz pana Rambouska przecinały zmarszczki, mnóstwo drobniutkich zmarszczek, które w falach rozbiegały się od nosa po całej twarzy aż za uszy, twarz pana Rambouska uśmiechnęła się do mnie.

Ucałowałem bambusową tyczkę i zwróciłem ją. I wiedziałem w tej chwili, że pan Rambousek, który rozświecła wieczór i gasi noc, nigdy nie może się rozchorować, bo jego praca niczym się nie różni od Gwiazdy Wieczornej i Gwiazdy Zarannej.

Wiedziałem, że jeśli kiedyś rano, gdy będę szedł do szkoły, albo jeśli kiedyś w południe, gdy będę ze szkoły wracał, a jeszcze świecić się będą wszystkie latarnie gazowe w naszym miasteczku, będzie to oznaczało, że pan Rambousek w nocy, nad ranem zmarł.

# MYSZ UKRADŁA DZIECKU SMOCZEK

Pan piwowar był kiedyś w browarze mielcerzem, później pracownikiem komory piwnej, by w końcu zostać piwowarem. Wpisywał do notesu dniówki robotnikom, a także godziny nadliczbowe, składał w administracji browaru raport o gospodarce godzinami pracy i tak bardzo się z tego cieszył, że każdy już z daleka odczytywał z jego twarzy, jak bardzo sam siebie poważa i jak bardzo jest z siebie zadowolony. Okropnie się cieszył, kiedy któryś z robotników przyszedł późno do pracy, mógł go zwymyślać, wpisać uwagę do notesu, mógł mu nawet pogrozić, że na każde miejsce w browarze czeka pod bramą dwudziestu bezrobotnych z czapkami w ręku.

Stryjaszka Pepi pan piwowar nie lubił. Z jednej strony dlatego, że stryjaszek tak się wydzierał, przede wszystkim jednak z powodu, że mogąc zwymyślać stryja, pośrednio wymyślał mojemu ojcu, kierownikowi browaru, któremu zazdrościł. Kiedy więc Pepi wrzeszczał, pan piwowar, aby pozbyć się jego głosu, posyłał stryjaszka do pustego kotła, gdzie stryjaszek oświetlony żarówką i spowity kablem obtłukiwał kamień wodny, kamień kotłowy. Wciśnięty w kocioł, stryj przez dwa tygodnie leżał, nienaturalnie zwinięty, i młotkiem obtłukiwał grudę za grudą, otoczony żółtym pyłem, pyłem miałkim jak kakao, ale stryjaszek Pepi mimo to śpiewał, zgięty albo też leżąc na wznak, jego głos unosił się nad kominem browaru. A kiedy przestawał śpiewać, każdy robotnik, który wchodził do kotłowni, pochylał się i patrzył w ten różowy pył, choć stryjaszka Pepi wcale w nim nie było widać. . . I każdy ryczał w głąb tego kotła to, co mu przyszło do głowy:

— Czy to prawda, Pepi, żeś na froncie kozy pasał?

I szedł dalej, bo to wystarczyło, żeby stryj tłukł młotem ze wszystkich sił, tak że kamień kotłowy odskakiwał i rozlatywał się na wszystkie strony jak emalia z roztrzaskanego polewanego garnka, i stryj krzyczał:

— A cóż ty sobie myślisz, ośle jeden, że na froncie kozy mogą sobie biegać, gdzie się im podoba?! Koza, ty ośle, kiedy usłyszysz strzały, bierze nogi za pas! A zresztą kiedy świszczą kule i granaty, czyż wtedy, ty ośle, austriacki żołnierz ma czas na zabawy z kozami?

Mechanik otworzył wentylatory i klapy kotła i głos stryja wystrzelił nad browar jak pień potężnej wierzby płaczącej, potem zaś po gałązkach spadał i ściekał, kapał na ziemię, na okna biura i na dziedziniec, i pan piwowar biegł, każdy widział po nim, jak bardzo się gniewa, jak w biegu otwiera notes, po czym wpada do maszynowni, przyklęka i krzyczy wprost w jasny obłok w pustym kotle:

— Niech pan sobie, panie Józefie, nie wyobraża, że jeśli pana brat jest kierownikiem browaru, to może pan sobie na wszystko pozwalać! Ja mogę pana wyrzucić z godziny na godzinę, bez wymówienia! Ma pan u mnie krechę!

Pan piwowar rozejrzał się po robotnikach, ale wszyscy patrzyli przez niego, jakby był przezroczysty, jakby go w ogóle nie było. A stryjasek Pepi śpiewał już w kotle arię z operetki: *Mam dziewięć kanarków*. Kiedy praca w kotle dobiegła końca, pan piwowar polecił stryjaskowi Pepi oczyścić browarniane kanały. No i stryj stał na drabince, która wiodła w głąb kanału, stał tam aż po pas i uśmiechał się, i salutował jak dowódca łodzi podwodnej. A robotnik stał przy włączniku do kanału i spuszczał w dół wiaderka, zaś stryjasek Pepi, po kolana w bagnie, sypał łopatą brud i cuchnące błoto; kiedy wiadro było pełne, pociągał za sznur i wiaderko unosiło się w górę, i ciągle groziło niebezpieczeństwo, że runie niczym miecz Damoklesa. Ale stryjasek Pepi cieszył się z pracy w ten sposób, że straszliwie na nią wymyślał.

Do wagowni szedł mistrz bednarski, nagle zatrzymał się, zwinął dłonie w trąbkę i zawołał w dół:

— Była tu Janeczka i powiedziała, że szyje sobie piżamkę na noc poślubną!

I ruszył przed siebie, a głos stryjaska zabrzmiał z kanału niczym przez megafon i wzniósł się ponad dziedziniec browaru:

— Coś podobnego! Do licha! Taki babsztyl! Chodzi to, jakby między nogami miało wymię, i ja, taki przystojny mężczyzna, który dostaje od pańienek same piątki, ja bym miał się z nią żenić? Niedoczekanie, psiakrew!

I głos jego wznosił się wysoko nad browar niczym wodotrysk, kiedy dosięgnął chmur, załamywał się i spadał w dół, lał się na wszystkie strony, robotnicy na budowie nadziemnej linii kolejowej przelękli się, ktoś też może na nich krzyżeć z góry, i wpatrywali się w niebo jak apostołowie, kiedy przemówił do nich głos boży.

I już nadbiegał pan piwowar, i już w biegu otwierał notes, i ukląkszy na gazecie obok kręgu pełnego błota i brudu, krzychał w dół:

— Niech się panu nie wydaje, że jeśli pana brat jest tutaj kierownikiem, to będziemy znosić wszystkie pana wybryki! Czemu wydziera się pan w godzinach pracy i wpływa demoralizująco na innych?

I klęcząc wpisywał coś do notesu, po czym rozglądał się, ale robotnicy pracowali nadal, każdy pilnował swojej roboty, patrzyli przez pana piwowara, tak jakby był przezroczysty, jakby go w ogóle nie było.

Kiedy nadszedł czas i rzekę skuły lody, rozpoczęło się rąbanie lodu. Tak jak kotła, tak jak kanału, tak samo rąbania lodu bali się mielcerze i inni robotnicy w browarze. Oczywiście jako pierwszego do tej roboty wyznaczył pan piwowar stryjaszka Pepi.

W ciemnościach wyrąbywali „lodziarze” tafle ze stropu rzeki, ciągnęli je hakami do brzegu, po deskach wydobywali na brzeg. Inni „lodziarze” cięli lód na bryły, a potem brali je fioletowymi rękawicami niczym przejrzyste tafle szkła sklepowych wystaw i rzucali na fury dopóty, dopóki wóz nie był wyładowany kopiasto, ale tego było jeszcze za mało, ponieważ lód ważono, chłopci stawiali wsporniki z lodowych brył, takie przezroczyste bale, żeby lodu było jak najwięcej na wagę. A kiedy na mroźnym niebie wschodziło czerwone słońce, każda fura lodu rozbłyскиwała, lśniła na krawędziach wszystkimi kolorami, takie tu i ówdzie mieniające się tęcze. A kiedy fura ruszała w stronę browarnianej lodowni, w mroźnym powietrzu i w słońcu lód trzeszczał i skrzypiał, kołysał się na nierównej drodze i błyszczał jak huta szkła. I tak fura za furą, cały łańcuch fur zdobił drogę do browaru, z koni dymiło się, a woźnice w wysokich butach okręconych słomą i owijaczami z worków na chmiel, w baranich czapach na głowach, w fioletowych rękawicach, szli przy łbach koni. A koło ładowni wysokiej na osiem pięter, tam pracowały już dwa wyciągi wiaderkowe, które z kruszarki unosiły rozkruszony lód na górę, gdzie na ostatnim piętrze wyciąg obracał się wysypując zawartość wiaderka i pusty wracał na dół po kolejną porcję lodu.

Zawsze, ilekroć szedłem na ślizgawkę, zawsze, ilekroć przykręcałem kluczem łyżwy, zawsze, ilekroć patrzyłem przez chwilę, jak dzieci usiłują się ślizgać i raz po raz padają, i znów się podnoszą, ilekroć widziałem, jak gimnazjaliści na lodowisku zakręcają kółka... widziałem za nimi przez cały przybrowarniany sad, jak pracuje wyciąg, a ilekroć widziałem, jak fury ustawiają się w kolejkę przy wyciągu, zadawałem sobie pytanie:

— Co ty tu robisz?

I kluczem od komina odkręcałem łyżwy, zarzucałem je na ramię i wracałem do fur, wyładowanych kopiasto taflami przezroczystego lodu. Stryjaszek wybił kłonicę i boczna ściana ustąpiła, i bryły lodu zaczęły spadać wprost do leja kruszarki, „lodziarze” stali z boku i pomagali lodowi zsypywać się pomiędzy stalowe zęby, które chrupały lód niczym cukierki. Dwaj stali na wozie i hakami ostrymi jak bagnety z góry kłuli lód niczym święty Jerzy, dobijający z konia smoka.

Stałem z łyżwami przewieszonymi na rzemyku przez ramię i nie wiedziałem, na co wpierv spojrzeć: na „lodziarzy” okutanych kolorowymi szalami i słomianymi chochołami jak pompy czy na otwarte i oświetlone drzwi małego domku przylepionego do lodowni, gdzie składano na noc drogocenne pasy, a gdzie teraz była rozpalona bez chwili przerwy płyta kuchenna, na której gotowała się woda na herbatę i grog. Nie wiedziałem, czy mam patrzeć w górę, jak przez oszalowanie spadają z wyciągu wiaderkowego drobne odłamki lodu, czy trzymać się metalo-

wej osłony i patrzeć na przeraźliwie żarłoczne zęby kruszarki, które z rosnącym z chwili na chwilę apetytem chrupią te szkliste kawałki zamrożonej tafli rzeki... Groźna jest ta kruszarka, kiedy „lodziarze” się zagapiają, z tym samym apetytem pałaszują haki razem z drewnianymi uchwytami, tak że drzazgi się sypią, a połamane styliska grożą zranieniem...

Ze ślizgawki na rzece dobiegała muzyka gramofonu i skrzywienie łyżew rysujących kółka na lodzie, tu jednak stryjasek Pepi uzbrojony w hak zмагаł się z lodem, atakował nieposłuszne bryły kry, pokrzykując przy tym jak na froncie:

— *Links pariert! Rechts pariert! Einfacher Stoss!*

I buch go! Hak stryja rozminął się z bryłą lodu, ale „lodziarz” chwycił go za rękaw, żeby stryjaska nie zmiażdżyło razem z lodem. Wszyscy „lodziarze” przewyższali stryjaska o głowę, ale Pepi, kiedy nie mógł zмагаć się z lodem, walczył i bił się hakiem z „lodziarzami”. Kiedy i tego było mu za mało, brał się z nimi za bary, odrzucali haki i mocowali się, „lodziarze” tak od śmiechu osłabli, że dawali się położyć na łopatki, inni zaś klękali, a kiedy stwierdzali, że „lodziarz” został powalony na łopatki, podnosili stryjaska jak dziecko, bo z każdego był chłop jak dąb. Wyciąg wiaderkowy również odpoczywał, wiaderka pobrzękiwały jasno i wesoło, a stryjasek Pepi krzyczał:

— W ten oto sposób Fryszteński odniósł wspaniałe zwycięstwo nad Murzynem!

I odgłos kruszarki, i pobrzękiwanie pustych wiaderk na wyciągu, i dźwięk łopat rozbrzmiewały radośnie nad lodownią. Ta maszyna lubiła swoje na swój sposób odpocząć. Kiedy mróz ścisnął mocniej, „lodziarze” przynosili dwie blaszane beczki, hakami przepijali z boku dziury i palili drewnem. Polana stała na baczność i płonęły; w pochmurny wieczór czerwono-fioletowe płomienie żywiły się drewnem i tchnęły ciepłem, aby ogrzać ludzkie ręce, śmierć drewna wydawała blask i żar i praca stawała się znośniejsza.

Ni stąd, ni zowąd stryjasek Pepi zaśpiewał:

Na brzegu jeziora, gdzie wysokie drzewa,  
słowik ukochanej o miłości śpiewa...

I „lodziarze” ogrzali się śpiewem. Znad rzeki, ze ślizgawki, słychać było muzykę gramofonu, gimnazjaliści z panienkami tańczyli walczyka na łyżwach... Już miałem iść do domu i pisać nadobowiązkowe wypracowanie domowe, ale tu koło lodowni na tyłach browaru wszystko było piękniejsze niż obrazki w wypisach... *O dziecku-sierotce...* Nie chciało mi się iść do domu, zresztą już od południa mamy w domu gości, grupkę ludzi z miasteczka, którzy szyją kostiumy na urządzany przez „Sokoła” bal maskowy, ludzi, którzy bez przerwy piją piwo i śmieją się z tego, z czego nie wolno się śmiać, jedzą ogromne pajdy chleba ze smalcem, a ponieważ piją tyle piwa, nieustannie biegają do klozetu tuż koło szpitala.

Kiedy tak stojąc nieopodal lodowni patrzyłem na owinięte słomą i workami od chmielu buty „lodziarzy” i furmanów, myślałem o tym, że zgromadzeni u nas goście przywiązują ogromną wagę do tego, żeby każdy miał małą nogę, kupowali sobie zawsze buty o numer mniejsze niż wielkość stopy, bo mieć małą nogę należało do dobrego tonu. Ileż to razy widziałem, jak wyruszając z miasteczka w drogę do browaru przez pola co chwila opierali się o płoty, później zaś o mur browaru i przez wierzch buta masowali sobie podbicie, żeby krew dopłynęła do palców w ciasnym buciku.

Stałem tak oto w pochmurny wieczór, pięć fur czekało przy wyciągu, aż przyjdzie na nie kolej, furmani zarzucili derki na kłęby koni, chodzili tam i z powrotem przytupując z zimna albo grzali się przy blaszanych beczkach, w których płonęły polana, od rzeki niosła się muzyka gramofonu i zapach ponczu, gimnazjaliści jeździli na łyżwach i skakali obracając się wysoko w powietrzu, wśród zmierzchu błyskała łyżwa, lód skrzypiał i jedna łyżwa rysowała na lodzie spiralę, a druga błyszcząca łyżwa zakreślała łuk w powietrzu, pociągi w oddali dudniły tak głośno, że pomyślałem sobie, że wkrótce spadnie deszcz i nadejdzie odwilż, kruszarka nadal chrupała lód jak karmelki, wiaderka unosiły w górę odłamki lodu, aby wyspać je z góry do lodowni, gdzie lodowa góra wznosiła się do wysokości ośmiu pięter, tworząc wysoki graniasty lodowiec, z którego od wiosny do późnego lata rozwozi się później lód po gospodach i restauracjach, aby piwo i lemoniada były chłodne, do szpitali, aby nie brakło lodu na okłady przy gorączce. Ale właściciele gospod, którzy bywali też rzeźnikami, mieli swoje lodownie w piwnicach, lód rozbijali tylko wielkimi drągami, a z tego lodu, co pozostał, budowali pod konarami drzew ogromną przymę, która przykryta żytnią słomą wytrzymywała aż do lata, a niekiedy nawet do czasu, kiedy zaczynał padać pierwszy śnieg...

Nie chciało mi się jeszcze wracać do domu, szedłem więc opustoszałą drogą w stronę zagajnika, a kiedy dotarłem do folwarku na odludziu, poczułem nagle pragnienie. Wszedłem na podwórze, nigdzie jednak nikogo nie dostrzegłem, ani w ciepłych stajniach, ani na podwórzu, ani w stodole. Pewnie wozili fury lodu, furman, szafarz i gospodarz. Dmuchał wiatr, unosząc źdźbła słomy i ziarnisty śnieg, wszedłem więc do czworaków obok chlewu. Drzwi otwarły się same pchnięte przeciągiem, stałem w sieni, a potem nasłuchiwałem przywarłszy niemal uchem do następnych drzwi, w których były sęki i szpary, tak że można by w nie włożyć palec. Nasłuchiwałem jak ogar, z jednym bucikiem uniesionym w podbiciu i uchem zwróconym w kierunku szmerów tam wewnątrz.

Potem przyłożyłem oko, a kiedy rozejrzałem się po mrocznej izbie, spostrzegłem, że na tle okna siedzi w łóżku dwoje dzieci i nasłuchuje. Z wolna otwarłem drzwi i wszedłem cicho do izby. Małe dziecko i chłopiec siedzieli na słomie na łóżku, owinięci pierzyną, na ramionach zaś mieli wełniane chusty związane rogami na plecach.

— Chciałbym się napić — powiedziałem.



— Tam koło pieca stoi wiadro! — wskazał chłopiec.

Z wyciągniętymi rękoma ruszyłem w kąt izby, krawędzie pieca kuchennego lśniły, drzwiczki pieca były otwarte, w palenisku było ciemno. Na haku wisiała ogromna chochła, a kiedy chciałem nabrać z wiadra wody, trafiłem na lód. Tłukłem chochlą, aż cienka skorupa lodu pękła, nabrałem wody i napiłem się. Małe dziecko zaczęło płakać. Obróciłem się w drzwiach.

— Co się stało? — spytałem.

— Mysz mu ukradła smoczek — odparł chłopiec.

— A to ci dopiero! — powiedziałem.

Wyszedłem do ciemnej sieni, drzwi za mną zamknęły się same. Szedłem drogą wśród pól, browar przede mną jaśniał i błyszczał niczym dworzec. Kiedy minąłem bramę, w sześciu oknach trzech pokoi płonęły żarówki w trzech żyrandolach, za firankami migały sylwetki naszych gości. Przez chwilę stałem i patrzyłem przez okno do kuchni. Ojciec pił z garnuszka białą kawę i w zamyśleniu przegryzał chlebem. Na płycie kuchennej stało mnóstwo kolorowych garnków i rondli, pan kierownik szkoły śmiał się szczerząc zęby, pochylał się i mieszał patyczkiem w każdym naczyniu, matka kroїła z jedwabiu białe chusteczki, ksiądz dziekan związywał je nitkami w połowie, a każdą połowę znowu w połowie i ścisnął ten jedwab, tak jak otwiera się kwiat maku. Pan kierownik zanurzał te szmatki na przemian w kolorowych miseczkach, wszyscy bawili się jak dzieci, nawet pan aptekarz.

Nie umiałem sobie wytłumaczyć: po co to wszystko? Na co się to może przydać?

Wkrótce jednak zrozumiałem to.

Kiedy rozwiązało się nitki i potrzęsnęło każdą gorącą szmatką, z tych gałganków rodziły się piękne batystowe chusteczki i pan aptekarz natychmiast je prasował, zawiązawszy sobie przedtem przy akompaniamencie wybuchów gromkiego śmiechu mamusiny fartuszek. I już na sznurze nad płytą kuchenną suszyły się te chusteczki niczym pawiki, niczym skrzydła rusałki sadownika, metalicznie błękitne i zielone, i czerwone kolory w symetrycznych kręgach jak barwne tarce. I już powiewały te chorągiewki w ciepłych powiewach unoszących się znad rozpalonej płyty.

Potem pan aptekarz wziął centymetr krawiecki i zaczął każdemu mierzyć nogi i obwód w pasie, i ręce zgięte w łokciu, i wszystko to zapisywał na papierowej torebecie po mące, w końcu ksiądz dziekan tym samym centymetrem wymierzył pana aptekarza, a kiedy mierzył go w kroku, wszyscy śmiali się do łez.

A ja przez kuchenne okno patrzyłem dalej: matka z ogromnym zapalem wysunęła maszynę do szycia i zasiadła przy niej, a mężczyźni podawali jej te chusteczki, mamusia zaś, pochylona, obu nogami naciskała pedał, i maszyna terkotała, i z drugiej strony wyciekały pasma zszytych chusteczek, i mężczyźni наносили centymetrem wymiary, każdy siadał na krześle i szył. Niczym jakieś szwaczki szyli

ci mężczyźni, popijając wciąż piwo i śmiejąc się z byle powodu, wszystko budziło ich śmiech.

Odwróciłem się: za sadem wznosił się browar niczym tajemniczy zamek, a na tyłach ciągle jeszcze pracował wyciąg wiaderkowy lodowni, świeciły tam żarówki i lampy, zarysy słodowni wydawały się siarkowożółte, a niebo fioletowe, oświetlona zaciernia lśniła wszystkimi okienkami, całe ściany składały się z samych tylko żółtych okienek, warzelnicy chodzili wokół kadzi, opierali się o balustradę, pochylali się nad otworem i obserwowali zacier, wokół ich głów unosiła się para i łączyła się nad kotłem niczym łodyga cebuli, fury lodu stały w kolejce i lód był błękitny z czerwonymi odcieniami żarówek oświetlających zaciernię z zewnątrz. Wszystko to wyglądało razem jak obraz Sądu Ostatecznego, który wisiał na plebanii w postaci oleodruku, a tymczasem z terkocącej maszyny do szycia wyciekały nogawki ze zszytych batystowych chusteczek. Ojciec odstawił garnuszek, on również patrzył na rozbawione towarzystwo podobnie jak ja, ale po chwili wszedł do pokoju i również pozwolił zmierzyć się tam żółtym krawieckim centymetrem. Po cichutku wśliznąłem się do sieni do kuchni, wszyscy w pokojach zajęci byli zszywaniem batystowych chusteczek, zgasilem światło i usiadłem na krześle przy oknie, i spoglądałem w półmroku w głąb oświetlonych pokoi, w amfiladę trzech oświetlonych pokoi, kropionych z góry, z żyrandoli, lśniących mosiądzem, wysokie polakierowane na biało drzwi w obu swych skrzydłach odbijały niewyraźnie światła i postaci gości, którzy zręcznymi palcami szyli z chusteczek jakieś bluzki, jakieś powiewne kaftany. Ksiądz dziekan przyszywał do dziurek na guziki ogromne czarne pompony, usypiałem, ale kiedy uniosłem powiekę, widziałem wciąż, jak praca przy szyciu kostiumów posuwa się naprzód. Mama ruszyła się z miejsca, wyciągnęła z kredensu i przyniosła na środek pokoju ogromną papierową torbę i wyjmowała czarne czapki, do których ksiądz dziekan przyszywał długie pawie pióra, po czym rozdawał je natychmiast każdemu, kto nastawił głowę.

Usnąłem, spałem z założonymi rękoma jak bileter w kinematografie; obudziła mnie nagle cisza. Wyciąg wiaderkowy przestał pracować, ale najpierw przez jakiś czas pobrzękiwały puste wiaderka, nawet ten wyciąg uda się na spoczynek, pójdzie spać, zaciernia wciąż jeszcze była cała oświetlona, ale znad kotła nie unosiła się już para, nikt nie chodził już po krużganku z żelazną poręczą, zaciernia była czysta, pełna mosiądzu oraz instrumentów do pomiaru temperatury, sto okienek, które dzieliły szklaną ścianę zacierni, przypominało zszyte chusteczki ze szkła. Ze ślizgawki wciąż jeszcze słychać było szmer łyżew, najpierw odgłos dotykającej lodu łyżwy, po czym długie pociągnięcia ostrza i znów spieszny ruch nogi, łyżwa zakreśla krąg i łyżwiarz rozkłada ręce, jakby grał i rozciągał na całą długość miech harmonii.

Kiedy uniosłem zmęczone powieki i zajrzałem do pokoju naszego służbowego mieszkania, snuli się tam pierroci, arlekini czy też trefnisie. Mieli rzeczywiście piękne luźne stroje pełne pawich ok, nawet ojciec miał na sobie stój pierrota, gło-

wę zdobiła mu czarna obcisła czapeczka i wspaniałe pawie pióra sterczały mu z głowy; co więcej — byli upudrowani i wyniośle przechadzali się tam i z powrotem.

Mamusia, przebrana za pierrota, dreptała tu i tam drobnymi kroczkami, oblał mnie war, bo nie lubiłem mamusi właśnie za to, że nie wyglądała jak matka, ale jak moja starsza siostra. Nie przepadałem za nią, bo ciągle chciała być młoda, bez mała młodsza ode mnie, lubiła bawić się w teatr i chętnie mówiła tak jak w teatrze, a ja tego nie chciałem, bo ja chciałem, żeby mama wyglądała jak moja chrzestna Nany, żeby była odrobinę tęgawa, żeby już zbytnio o siebie nie dbała, żeby nie zastanawiała się, co na siebie włożyć, żeby nawet nie czytała, co tam nowego w świecie mody, żeby nieustannie pachniała kawą i chlebem i żeby wciąż była w domu, i żeby była zmartwiona i nieustannie zatroskana o rodzinę i ogród.

Moja mama wraz z księdzem dziekanem przynieśli duże owalne lustro i każdy pierrot chciał się przejrzeć, ale każdy chciał być widziany zupełnie inaczej niż przedtem, zanim wszedł w lustro. Spostrzegłem, że nawet ksiądz dziekan stara się wyglądać ładniej i bardziej stanowczo — i że właściwie każdy boi się siebie samego. Ojciec tak był tym przejęty, że stanął w ten sposób, iż jeden bucik, teraz zauważyłem, że wszyscy mają nowe czarne lakierki z czarną kokardą na podbiciu, postawił na niskim stołeczku, pochylił się i zgięty łokieć oparł o kolano, i głowę złożył na dłoni, i stał tak zamyślony; mama wybiegła i przydreptała z powrotem niosąc kubek, i postawiła ten kubek na podłodze pod ustami zamyślnego taty, jakby za chwilę miał zacząć wymiotować. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ale wkrótce ucichli, bo każdy pragnął zobaczyć, czy mu do twarzy w kostiumie pierrota. Tatusiowi było w nim najbardziej do twarzy, nie pragnął jednak popatrzeć na siebie, nie marzył o tym, chciał być taki, jaki jest. Tatuś był bardzo przystojnym mężczyzną, znacznie przystojniejszym niż ktokolwiek inny spośród gości, ale w gruncie rzeczy był biedny, bo najchętniej czytał *Bankructwo sklepikarza* i uważał się za owego nieszczęsnego sklepikarza.

Mama klasnęła w dłonie i zawołała radośnie:

— A teraz zrobimy powtórkę tej sceny zbiorowej do przedstawienia o północy!

Mrugałem oczyma, ale im bardziej chciałem nie wierzyć własnym oczom, tym wyraźniej widziałem: nasi goście ustawili się w ostatnim pokoju i weszli w nogę do pierwszego pokoju, widziałem i to, jak uczyli się stapać tak, żeby buciczki z czarną kokardą równocześnie klasnęły o podłogę, widziałem, jak pierroci stali w szeregu, jak uginali kolana, tak samo pochylali się do przodu i każdy z nich paluszkami dotykał policzka i obracał ciekawą główkę. A potem każdy z pierrotów zakładał ręce na karku zwracając się raz na prawo, raz na lewo. A w końcu cały szereg pierrotów dreptał drobnymi kroczkami i podskakiwał tak wysoko, żeby na przemian dotknąć kolanem małego palca u ręki.

A ja wstydziłem się i doznałem nagle wrażenia, że okropnie się zestarzałem, że jestem starszy niż wszyscy ci pierroci.

Pan kierownik klasnął w dłonie, pierroci nasunęli na oczy czarne maseczki i zaczęli krążyć po całym mieszkaniu, przechodząc z pokoju do pokoju: wszyscy przy tym udawali, że się nie znają, kłaniali się, śmiali i żartowali jak na scenie teatralnej, podczas gdy w gazecie, która leżała na stole, wydrukowano tłustym drukiem wiadomość, że jak tak dalej pójdzie, to chyba znów wybuchnie wojna światowa.

## TAKA PIĘKNA ŻAŁOBA

Jesienią co sobota i niedziela rozlegały się strzały z broni myśliwskiej. I tak biegnąc ze szkoły do domu, oślepiiony wrześniowym słońcem, potykałem się w ciemnej sieni o stos kuropatw, kiedy indziej znów o kilka zajęcy. Restauratorzy, dla których ojciec sporządzał zeznania podatkowe, przynosili w dowód wdzięczności dziczyznę. Matka wieszala zające pod belkami na strychu, kuropatwy w drewni. Jedne i drugie — głowami w dół. A kiedy zającom krew zaczynała kapać z nozdrzy i kiedy kuropatwy zaczęło opuszczać robactwo, dopiero wtedy mama odzierała je ze skóry, dopiero wtedy je skubała. I wszyscy cieszyliśmy się, najbardziej nasi goście z miasteczka, na myśl o przysmakach z dziczyzny.

Mamusia układała najpierw kuropatwy w wielkiej brytfannie i piekła je na słońcu z ostrymi przyprawami. Na ogromnej brytfannie mieściło się osiem kuropatw i wieczorem w całym naszym służbowym mieszkaniu unosił się przyjemny zapach: nawet ojciec jadł pieczone kuropatwy, a to już coś znaczy. I goście — chociaż znałem każdego spośród nich, dla mnie to byli goście. Chwalili u nas zawsze to, co chwaliło się samo. Pili dobre piwo, które nie mogło nie być dobre, bo przynoszono je wprost z piwnicy, ale co najważniejsze, jedli i pili za darmo.

Siedziałem, jadłem powoli, ilekroć zaś któryś z gości brał kolejną kuropatwę, patrzyłem na tę kuropatwę — i każdy gość wybuchał śmiechem, i śmiał się tym bardziej, im ja z powodu tego wszystkiego byłem smutniejszy. Jednakże sytuację zawsze ratowała mama: lubiła jeść. Kiedy rozkroiła kuropatwę i wzięła do ust pierwszy kęs, nagle podnosiła się i zaczynała krzyczeć, i wybiegała na podwórze, i krążyła po podwórzu, i krzyczała wniebogłosy, goście bali się że połknęła kostkę, ale przy trzeciej kuropatwie, kiedy przekonali się, że jest to mamusine rekiem za dobrą kuropatwę, śmiali się, stali w oknie, trzymali w palcach pieczoną kuropatwę, obgryzali kostki i cieszyli się zupełnie tak samo jak mama, która już znowu siedziała przy stole i gryzła mięso, i maczała kęski kuropatwy w sosie, i oblizywała się jak małe dziecko. A to wszystko dlatego, że lubiła jeść, a przede wszystkim dlatego, że lubiła grać, i to nie tylko na amatorskiej scenie miasteczka, ale i gdzie indziej — w życiu, po prostu nie mogła żyć bez teatru.

Ojciec wiedział o tym i ciągle dręczył się w duchu, milczał tak samo jak ja, ale nic się nie dało zrobić, bo nasza mamusia miała to we krwi, a zresztą gdyby

mamusia nie była taka, byłoby u nas bardzo smutno, bo tatuś ciągle czytał *Ban-  
kructwo sklepikarza* i nikt nie zdołałby go przekonać, że ten nieszczęsny kupiec  
to nie on.

Kiedy mamusia napiła się piwa i stała trzymając w jednej ręce kufel, drugą  
założywszy do tyłu, aby zachować równowagę, wyglądała niczym jakaś reklama  
dobrego piwa, ale i tego było jej za mało. Kiedy wypita pół kufła, zrywała się  
nagle, odstawiała kufel i znów wybiegała na podwórze i krzyczała, i wołała wnie-  
bogłosy, jak to jej ten napój smakuje, i z powrotem wbiegała do domu, siadała  
za stołem i bębniła pięściami w jego płytę tak długo, aż wychyliła kufel do dna.  
Czasami, kiedy padał deszcz, a mamie smakowało jedzenie i piwo, podnosiła się  
i tak mnie i tatusia waliła w plecy, jakbyśmy zakrztusili się kostką, ba, nieraz wa-  
liła także w plecy gości i wszyscy śmiali się tak, że im piwo albo jedzenie trafiało  
do „niebieskiej dziurki” i wówczas musiała mama tak długo walić mocno gości  
w plecy, aż im ten kąsek wyskoczył z dławiących się ust.

Dziś wieczorem, kiedy mamusia nałożyła sobie trzecią kuropatkę i chciała  
wybiec na podwórze, zatrzymała się nagle w progu i podniosła rękę do zatłusz-  
czonych ust.

— A ty tu skąd, Wincenty? Wejdz, proszę! — zawołała.

Usłyszawszy to, ojciec przestał jeść i zbladł. Po raz pierwszy od miesiąca  
nałożył sobie kawałek mięsa, ale kiedy usłyszał, że za drzwiami jest szwagier  
Wincenty, położył na talerzu na krzyż nóż i widelec na znak, że już nie ma ochoty,  
że nie może już jeść.

Goście podbiegli do okna i oto, co ujrzałem:

Pod oknem stały w mroku dwa białe konie wierzchowe, na jednym z nich sie-  
dział Wincenty w żółtych butach z cholewami, w beżowych rajtkach i czerwonym  
fraczku, na głowie miał czarną aksamitną czapeczkę z ogromnym daszkiem, śmiał  
się i szczyrzył zęby, salutując zgromadzonemu przy oknie towarzystwu. Potem  
pochylił się, tak że niemal spadł z konia, a matka uniosła rękę, którą on z galante-  
rią ucałował. I natychmiast gestem hrabiowskiej dłoni wskazał amazonkę w iście  
hrabiowskim stroju, w aksamitnym kapelusiku, przy którym sterczało ukośnie pa-  
wie pióro.

— Moja narzeczona! — przedstawił Wincenty i zeskoczył z konia, rozstawia-  
jąc szeroko cholewy.

Goście przy oknie nie mogli ukryć zdumienia.

— Czyż to nie sam hrabia Thurn Taxis el Torre e Tasso? — wymamrotał pan  
aptekarz.

Ale mamusia prowadziła już Wincentego za rękę i przedstawiła ich oboje.

Wincenty ściągnął białe rękawiczki i poklepał nieszczęsnego ojca po plecach.

— No i co, szwagierku! Nie możesz się nadziwić, co? A tysiąccki rzeką po-  
płyną. . . Mamy już umowy. Wiedeń i Budapeszt!

Mama nie posiadała się wprost ze szczęścia, natychmiast podała talerze, przyniosła ostatnią ogromną brytfannę z ośmioma kuropatwami.

Wincenty najpierw z galanterią włożył jedną kuropatwę na talerz swojej narzeczonej, po czym nasadził monokl, rozłożył ręce i zaczął śpiewać:

Ja do „Maksyma” mknę,  
gdzie szampan pieni się. . .

Śpiewając podniósł się z krzesła, jego miły tenor niósł się nad zapachem pieczonych kuropatw, goście przestali jeść i wzruszonym wzrokiem śledzili śpiewającego, kiwali głowami i omal nie płakali. Matka dławiała się ze szczęścia. Na dworze rżały konie, pasły się w sadzie owocowym, słychać było, jak wesoło skubią całe gałęzie. Ojciec siedział z rozstawionymi szeroko kolanami i pochyloną głową, jakby krew płynęła mu z nosa.

Wincenty skończył śpiewać, rozczuleni goście nie mogli nawet unieść rąk, klaszali, a ze wzruszenia dłoń nie trafiała w dłoń, kiwali z uznaniem głowami. Ale Wincenty już jadł, pił piwo, jadł z ogromnym apetytem, jak aktor. I jego narzeczona zabrała się do drugiej kuropatwy. Wincenty otarł usta serwetką, poprawił monokl w oczodole, popatrzył w dół na swoją narzeczoną i znów pozwolił rozbrzmieć swojemu wspaniałemu tenorowi:

Do tej altanki wejdź. . .

A narzeczona — jej kapelusik leżał tuż przy talerzu — obgryzała kuropatwę trzymając ją za udko i kiwała głową w takt śpiewu.

Ojciec skorzystał z tego, wcisnął się między szafę i ścianę i tam wyrazem twarzy i ruchami rąk dawał do zrozumienia, że to wszystko źle się skończy, że to wstretne oszustwo, i podniósłszy rękę do gardła pokazywał, że najchętniej to by się z tego wszystkiego powiesił.

Narzeczona wstała, w jednej ręce trzymała udko i z pełnymi ustami śpiewała, tuliła się do Wincentego, wznosiła zakochane oczy, a ja z uwagą przyglądałem się tym swoim śpiewającym krewnym i musiałem przyznać, że śpiewem płacą za te kuropatwy więcej, niż zjedli dotychczas i wypili nasi goście. Byłem wzruszony niemal tak samo jak mama, która uśmiechała się, oczy miała zwrócone nie w kąt pokoju, ale gdzieś dalej, gdzieś tam, gdzie znajdują się Wiedeń i Budapeszt, tam gdzie zaangażowano Wincentego i jego narzeczoną.

Na dworze, na łące pod drzewami, jarzyły się w ciemnościach dwa białe konie, zrywały gałęzie i chrupały je razem z liśćmi. Po chwili matka oprzytomniała, podsunęła Wincentemu i jego narzeczonej brytfannę z kuropatwami, oboje z przyjemnością nałożyli je na talerz, a Wincenty nabrał sobie jeszcze trzy łyżki czerwonej kapusty. I oto już jedli oboje tak jak te ich wierzchowce w ogrodzie,

rozdierali kuropatwy obu rękami i wysysali, i gryźli, i połykali mięso i pełne łyżki czerwonej kapusty, tak że naszym gościom udzielił się ich apetyt.

Siedziałem okrakiem na krześle, z głową wspartą na rękach leżących na oparciu i patrzyłem na matkę. Była teraz zupełnie różna od tej, którą znałem dotychczas. Ten Wincenty okazał się dla niej jakby kimś więcej niż ja i ojciec, kimś więcej niż ona sama. Tak się jakoś rozmarzyła, że przeszła jej ochota biegać po dziedzińcu i krzyczeć wniebogłosy, jak cudowne jest piwo i jak cudowne są kuropatwy, nawet to od niej odeszło... był tylko śpiew, a przede wszystkim ten czar, którym tchnął Wincenty, kiedy śpiewał i ruchem ręki zapraszał wszystkich, aby wraz z jego pieśnią podążali do samego jądra tego, o czym śpiewał: a śpiewał o miłości.

Na talerzach przed Wincentym i jego narzeczoną piętrzyły się kostki. Wincenty pochylił się nad brytfanną i widelcem wyłowił łebek kuropatwy.

— O, to dopiero przysmak! — zawołał i zabrał się do jedzenia tej pieczonej główki wraz z oczyma, delikatnie ostrożnymi ząbkami wygryzał mięso z szyjki.

— Szwagierku — zawołał do ojca — z tego kontraktu będą tysiące, dziesiątki tysięcy. Wiedeń i Budapeszt!

Otarł usta, głębiej wsunął monokl, gestem poprosił o chwilę uwagi i rozłożył ręce, pochylił się lekko i zaczął śpiewać, poruszając przy tym ramionami, aby łatwiej wydobyć z siebie frazy słodkiej pieśni:

Na całym świecie chyba nikt  
nie kochał się jak ja i ty...

Śpiewał szczerząc przy tym komplet zębów jak perły.

Ojciec wcisnął się między szafę a ścianę i stamtąd dawał mi do zrozumienia, że Wincenty ma sztuczną szczękę, że wszystko skończy się bardzo źle, i znów pokazał mi, że najchętniej to by się powiesił.

A Wincenty unosił ręce ku główce swojej narzeczonej, która stała przed nim, śpiewał i miał taką minę, jakby miłość do niej zadawała mu ciągłą ranę.

Twych oczu, warg spragnionych tak  
ach jakże brak mi, jakże brak!...

Wincenty śpiewał i palcem obrysowywał jej oczy i usta, i wargi i ręce mu drżały, a w głębokim zmierzchu nasi goście poruszali szczękami, nie mogli zaczerpnąć oddechu, pan aptekarz rozszlochał się, podniósł się gwałtownie i podszedł do wysokiej szafy, uniósł rękę i oparł głowę na rękawie, i przysłonił oczy, tak wzruszył go ten śpiew, który zaprowadził go z powrotem w przeszłość, skąd wyłaniało się jakieś miłe wydarzenie jego młodości. Ale i tego było jeszcze mało! Teraz z kolei narzeczonej Wincentego zaśpiewała mu to, co przed chwilą on jej śpiewał:



Na całym świecie chyba nikt  
nie kochał się jak ja i ty!

I teraz widziałem, że to narzeczona Wincentego, bo wpatrywała się w niego tak namiętnie, jak narzeczona powinna wpatrywać się w narzeczonego, jak powinien wpatrywać się mąż w swoją żonę, moja mamusia w mojego tatulka, teraz wiedziałem, że tatuś nie ma racji, że Wincenty i ta piękna dziewczyna to narzeczeni, że za taki śpiew będą tysiące, dziesiątki tysięcy, że naprawdę ktoś z naszej rodziny wespnie się znowu wysoko, wyżej, niż nam się to udało. Budapeszt i Wiedeń...

A Wincenty, jakby te moje myśli pełne zachwyty dodały mu skrzydeł, przyłączył się teraz do głosu swoje; narzeczonej i obydwa ich głosy rozbrzmiewały jednocześnie, a oni stojąc twarzą w twarz, połączeni głowami, śpiewali komuś oddalonemu, śpiewali:

Na całym świecie chyba nikt  
nie kochał są jak ja i ty!

Widziałem, że ojciec jest wzruszony, że teraz podniósł wzrok na Wincentego, oczarowany bez reszty tym, jak narzeczeni, twarz przy twarzy, policzek przy policzku, śpiewają pieśń o tej samej miłości, widziałem, jak ojciec wstał, głęboko wzburzony spoglądał przez okno w mrok wieczoru, gdzie rżały dwa białe konie zrywając gałęzie i chrupiąc je wraz z liśćmi, matce łyzy ciekły wzdłuż policzków, patrzyła z wyrzutem na plecy ojca rysujące się na tle nieba, jakby to on ponosił winę za to, że matka nie skończyła tak jak Wincenty w operetce, nie przyjechała w odwiedziny niczym angielska lady na białym rumaku, mając w kieszeni bilet kolejowy do wiedeńskiej operetki, do Budapesztu.

Na dziedzińcu browaru zjawiły się dwa reflektory i z samochodu przed naszymi oknami wysiadł jakiś człowiek, który skierował się wprost do białych wierzchowców, poklepał je po szyjach, konie zarżały. Nocny stróż poświecił latarką na schody prowadzące ku naszym drzwiom, rozległ się odgłos kroków w sieni, a potem ktoś otworzył drzwi do kuchni.

— Jest tam kto? — rozległ się dudniący gniewnie bas.

Matka zapaliła światło w pokojach i w kuchni, do której wszedł w zabłoconych butach do jazdy konnej rozgniewany mężczyzna, otarł sobie wąsy, a kiedy spostrzegł Wincentego, wyraźnie się ucieszył.

— Mam pana w końcu!

Wincenty podniósł się, monokl wypadł mu z oka i zadzwonił o talerz.

— Wszystko się wyjaśni! — zawołał i wyciągnął otwartą dłoń, jakby odpychał nieproszonego gościa.

— Gówno się wyjaśni! Konie wypożyczył pan wczoraj na jedno przedpołudnie. I nie zapłacił pan. A oba kostiumy są także z wypożyczalni. Wieczorem przedstawienie, więc jazda: proszę je natychmiast zdjąć!

— Wszystko się wyjaśni! — jęczał Wincenty.

I zdjął kurtkę, czerwony jeździecki frak, położył na nim aksamitną czapeczkę z daszkiem.

— I spodnie też! Natychmiast mi je ściągać, bo spiorę pana pejcem! — krzyczał właściciel wypożyczalni i uderzył biczkiem w cholewę.

Wicek zdejmował wysokie buty, jego narzeczona ściągała suknię zupełnie spokojnie, jakby odegrała sztukę w teatrze, a teraz zrzucała w garderobie kostium.

— A te dwa konie trzeba odstawić do Podiebradów, tam gdzie je pan wypożyczył! — grzmiał właściciel wypożyczalni, po czym pozbierał kostiumy, przerzucił je sobie przez ramię, w palce wzięły buty do jazdy konnej. Matka przyniosła prześcieradło. Wincenty ze swoją narzeczoną siedzieli na kanapie, przykryci obrusem. Teraz owinęli się prześcieradłem.

— Wszystko się wyjaśni — biadolił Wincenty. — Złożę skargę!

— To ja złożę skargę, a jeśli pan nie zapłaci — kryminał! — powiedział właściciel wypożyczalni wychodząc. Na dworze rzucił kostiumy na tylne siedzenie i wyjechał z browaru. Nocny stróż nie szczędząc sił zamknął za nim skrzydła żelaznej bramy.

Wszyscy nasi goście siedzieli w milczeniu, wpatrując się w puste talerze, matka była czerwona aż po korzonki włosów. Jedyne ojciec zacierał ręce, uśmiechał się, nałożył sobie pieczoną kuropatkę i z apetytem zabrał się do jedzenia, jadł tak jak matka, z nie mniejszym zapałem. Kiedy obgryzł ostatnią kosteczkę, goście zaczęli się podnosić, nagle zrobiło się późno, pora spać, z przerażeniem spoglądali na zegar, wyjmowali swoje zegarki kieszonkowe, wkładali je z powrotem do kieszonek i nagle żegnali się pospiesznie.

Tatuś nałożył sobie jeszcze jedną kuropatkę.

— Czy nie została tam jeszcze odrobina czerwonej kapusty? — spytał mamę.

Tego wieczora wcześniej poszliśmy spać. Wincenty i jego narzeczona usnęli w prześcieradle jak małe dzieci. Tatuś podśpiewywał sobie, mama leżała na otomanie i wpatrywała się w ciemność, miała otwarte oczy, nie mrugała powiekami, wpatrywała się w dal.

— Będą tysiące, dziesiątki tysięcy... kontrakt... Wiedeń... Budapeszt... — mamrotał przez sen Wincenty.

Kiedy przebudziłem się nazajutrz, Wincenty już chodził po kuchni, miał na sobie najładniejszy garnitur ojca, miał także jego buty, najpiękniejszy krawat i koszulę. Mamusia właśnie przymierzała narzeczonej Wincentego kostium, ten swój najnowszy kostium, który mamusia miała na sobie zaledwie dwa razy i do którego później jako kolorowe dodatki dobrała torebkę, buciki i bluzkę. Wincenty pożegnał się z nami jak gdyby nigdy nic, widziałem, jak ojciec dał mu pieniądze na

drogę. Wincenty włożył je do kieszeni i jeszcze na podwórzu machał swoją rączką w stronę otwartego okna i wołał:

— Będą tysiące, dziesiątki tysięcy!

I wystrojony w garnitur ojca, pod rękę ze swoją narzeczoną przyodzianą w kostium mamusi, szedł w stronę dworca, wesoły, wypoczęty, aby ruszyć w podróż, która nigdy nie dojdzie do skutku, do Wiednia i Budapesztu. . .

A potem ojciec uspokajał białe konie w ogrodzie. A że za Austrii służył w ułanach, wskoczył na siodło, ujął za uzdę drugiego siwka i wyjechał z browaru. Wzdłuż rzeki skierował się na koniu pod prąd, do Podiebradów, aby zwrócić rumaki i zapłacić wypożyczalni należność za wynajęcie wierzchowców wraz z karą umowną.

Kiedy przyszedłem do szkoły, pan kierownik ubrany był na czarno i widać było, że płakał. Powiedział, że w nocy umarł w Pradze nasz pan prezydent. Już kiedy szliśmy do szkoły, po mieszkańcach miasteczka widać było, że coś się stało. Chodzili powoli, z głowami pochylonymi w bok na dowód tego, że już wiedzą, że pan prezydent nie żyje. Pan kierownik powiedział, że dziś jest dzień żałoby, że jest to dzień wolny, aby każdy mógł oddawać się takiej pięknej żałobie. Na rynku pan Rambousek przy pomocy bambusowej tyczki zapalał lampy gazowe, świeciło jesienne słońce i jego blask był jaśniejszy niż wszystkie latarnie naszego miasteczka razem wzięte. A za nim pracownicy magistratu nieśli drabinę i na każdej zapalanej latarni wiązali czarną kokardę, kir żałobny. Chodziłem za panem Rambouskiem i przez całe przedpołudnie patrzyłem, jak zapala żałobne pończoszki latarni gazowych. Kiedy wróciłem na rynek, tam przy kolumnie wotywniej pracownicy magistratu układali właśnie przy trumnie ogromne szarfy. Właściciel zakładu pogrzebowego miał czarne rękawiczki, wokoło jak okiem sięgnąć w słońcu pogodnego dnia płonęły zapalone latarnie gazowe. Pan kierownik przyniósł dużą fotografię pana prezydenta i umieścił ją w nogach trumny, fotografia ta jednak zsunęła się na ziemię, a potem, kiedy powiał wiatr, upadła w kurz. Właściciel zakładu pogrzebowego podnosił ją za każdym razem i ocierał kurz połą swojego czarnego surduta. W końcu rozzłościł się, wziął gwoździak i młotek i przybił fotografię pana prezydenta do trumny.

A potem podchodzili do tej trumny obywatele, kładli wiązanki kwiatów, które zerwali w ogródkach, składali ręce przy rozporku i stali, oddając się takiej pięknej żałobie, jak to określił pan kierownik. Przez chwilę i ja oddawałem się takiej pięknej żałobie, patrzyłem na fotografię pana prezydenta, był zupełnie siwy i podobny do nocnego stróża, pana Waniatki. Oddawałem się jednak takiej pięknej żałobie tylko dlatego, aby się przekonać, jakie uczucia budzą się w człowieku, kiedy spogląda na pustą trumnę i pochyla się, oddając hołd zmarłemu, który leży w Pradze.

Myślałem, że to oddawanie się takiej pięknej żałobie jest tylko dla dzieci, dla młodzieży szkolnej. I dziwiłem się, że dorośli naprawdę przynoszą kwiaty

i naprawdę stoją przed trumną, i mają takie miny, jakby tam naprawdę leżał nasz zmarły pan prezydent.

Przez chwilę chodziłem po placu, ludzie stali obok siebie pod kolumną wotywną, stali obok siebie najpierw jak niewielki, potem zaś jak ogromny kondukt pogrzebowy. Latarnie gazowe paliły się, płomyczki ledwie były widoczne w słońcu pogodnego przedpołudnia, wystawione jak hostie, jak żółte motyle. Kandelabry i wszystkie elementy latarni wykonane były z czarnego żeliwa, wszystkie zaś okienka latarni gazowych miały czarne obramowanie, przypominające czarne opaski żałobne.

Kiedy zobaczyłem, że z głównych ulic nadchodzą strażacy w mundurach, a z uliczek zbliżają się już legionieści i członkowie „Sokoła” w swoich odświętnych strojach, że wszyscy spieszą się, a potem na rynku zmieniają krok, by z wolna, jakby każdy niósł na ramionach ciężką trumnę z prawdziwym nieboszczykiem, zbliżyć się do pustej trumny i oddawać się takiej pięknej żałobie przed fotografią pana prezydenta, wolałem wrócić do domu.

Siedziałem właśnie w słońcu na progu i patrzyłem, jak mielcerze przed magazynem podłogowym strącają drągami orzechy, kiedy pieszo, bez koni, wrócił ojciec. Szedł na ugiętych w kolanach nogach, jedną rękę trzymał na biodrze, podpierał sam siebie pod boki i włókł się kulejąc prosto za szopę z węglem.

— Wody! Wiadro wody. Miednicę! — zawołał.

Wbiegłem do kuchni, nalałem pełne wiadro wody i wziąłem miednicę. Kiedy przyniosłem wodę i miednicę za szopę, tatuś miał już spuszczone spodnie i dawał mi znaki, żebym natychmiast dawał tę wodę, żebym się pospieszył. I nalał do miski tyle wody, że aż się przelewała przez brzegi, odrzucił wiadro, uniósł koszulę i z wielką przyjemnością usiadł w misce. A potem uniósł oczy, a kiedy je otworzył, był uradowany i szczęśliwy, że siedzi w wodzie.

— Ten Wincenty to świnia — powiedział.

## OWCZE PYSZCZKI

Między mieszkaniem służbowym a słodownią rozciągał się ogromny sad owocowy. Szeregi renklod i lubaszek, bośniackich śliw, dalej szeregi kronelskich jabłek, które dojrzewały pod jesień i miały smak zgniecionego pachnącego śniegu, szereg „grzechotek beczkowych” (rzeczywiście, kiedy dojrzewały, pestki wewnątrz grzechotały), jabłka skórzane, które dojrzewały dopiero na wiosnę, szeregi letnich jabłonek astrachańskich, czerwonych i żółtych, które dojrzewały tak jak jabłka cieplarniane dojrzewające już przed świętą Anną. A głębiej szereg gruszek, zwanych „boskowymi butlami” (urywało się szypułkę, a kiedy dojrzały w sianie, wypijało się je), za nim zaś rosły „muszkateli”, pachnące cynamonem i goździkami; ostatni szereg, tuż przy samej słodowni, stanowiły orzechy, które jesienią strącano długimi drągami, im więcej było orzechów, tym bardziej gałęzie były poobijane.

Z największym smakiem zajadałem się orzechami, kiedy były jeszcze zielone, kiedy każdy orzech musiałem otwierać nożem i skorupa wydzielala żółtozielony sok, tak że ręce miałem ciągle jak od tytoniu. Te owoce były najsmaczniejsze, jądra miały na sobie żółtą koszulkę, która dawała się ściągnąć.

Jednakże najmilsze drzewo było tylko jedno. Rosło pośrodku ogrodu, była to jabłoń, a jej owoce nazywano „owcze pyszczki”. Drzewo to rosło niczym wierzba, już w samej koronie gałęzie obracały się w dół i zamiast jak u innych jabłoni rosnąć w boki i w górę, kierowały się ku ziemi i koniuszki gałązek pałętały się w trawie. Dojrzewające jabłka były zawsze żółte i przy szypułce miały skórkę tak pomarszczoną, że naprawdę przypominały owczy pyszczek składający się w ciup i delikatnie chrupiący, to znów skubiący trawę. I pod tą koroną gałęzi, naprawdę niczym pod wierzbą płaczącą, powstała taka duża altana, przestronna jak ogrodowy pawilon, i przypominała ogromną przezroczystą kobiecą spódnice. Przynosiłem tu w lecie stół, stawiałem krzesło i ukryty bez reszty widziałem stąd doskonale, kto idzie drogą do browaru i słodowni, widziałem, jak browarniane wozy rozwożą piwo, widziałem drzwi naszego mieszkania i kto idzie do biura. Tu pisywałem swoje nadobowiązkowe wypracowania, siedząc w sercu konarów, z których aż do trawy zwisały jabłka w liściastych gałązkach, kosy wygwizdywały ostrzegawcze sygnały, że przez łąkę zbliża się kot Celestyn albo Militka czy

zdziczały Tatulek. A ja siedziałem ukryty i nie mogłem się nadziwić, jak pięknie jest w tej altanie, wystarczy rozgarnąć gałęzie, jak opadające na oczy włosy i patrzeć, kto idzie drogą.

Było popołudnie, siedziałem z rękoma nad otwartym zeszytem, słońce świeciło i ja, i stół, i zeszyty byliśmy nakrapiani jak letnie jabłka astrachańskie. A po drodze do słodowni szła panienka z biura, niosła przerzucone przez łokieć ręczniki, miała żółte włosy, kochał się w niej po uszy członek rady nadzorczej pan Dymaczek, ten, który przez całe swoje życie hodował prosięta, tak że w ciągu wszystkich tych lat stał się do nich podobny, miał wysuniętą brodę i takie dziwne zęby, zupełnie takie jak jego rozplodowe knury. Pewnego razu przyszedł i poprosił mnie, żebym zaniósł liścik panience z biura, spieszył się, bo właśnie maciora mu się prosiła, a w biurze byli mój tatuś i pan przewodniczący. Wziąłem więc liścik i kiedy ten liścik trzymałem, uległem pokusie i najpierw zaniósłem go pod spódnicę jabłonki, pod owcze pyszczki, i przeczytałem pod słońce:

„Kochany Świetliku. . .”

Dalej pismo pokrywało się literami na drugiej stronie, więc nie zdołałem przeczytać, bo liścik był zamknięty czerwoną pieczęcią. Ale przeczytałem zupełnie wyraźnie, że pan Dymaczek, który hodował wieprze i miał rozplodowe knury, tak że się do nich upodobnił, że ten starszy pan podpisał się:

„Twój Aladyn”

A teraz ta dziewczyna, Świetlik, szła do słodowni, niosła przewieszzone przez łokieć ręczniki, ja zaś chciałem pisać nadobowiązkowe wypracowanie domowe. Smarowałem piórem, malowałem serca i wężykowate linie, a potem bazgrałem rozmaite krzyżyki, lecz nagle odłożyłem pióro i spojrzałem w okienko, małe okienko wysoko nad łazienką w ciemnym korytarzu słodowni, okienko to miało przymknięte powieki, na wpół opuszczone żaluzje wywietrznika. I rozgarnąłem gałązki owczych pyszczków, miałem w rękach wrażenie, jakbym dotykał dużych dzwonek zwisających z uprzęży, dziesiątków dzwonek uprzęży, pobrzękujących w rytm klusa, i przebiegłem pod gałęziami jabłoni, i serce mi biło, gdy otworzyłem drzwi słodowni i cicho je za sobą zamknąłem.

Panowała tu cisza, tylko w pomieszczeniu, gdzie się szlifuje zielony sód przed suszeniem, trzaskało nieustannie otwarte, pokrzywione i pozbawione szyb okienko i powiew niósł zapach siodu i jęczmienia. Korytarz był ciemny, a że przyszedłem ze słońca, musiałem posuwać się dotykając rękoma ścian. A potem przez otwarte wrota błysnęły niewyraźne mokre schody, dalej zaś jeszcze jeden korytarz. I tam dostrzegłem w ciemnościach, że pod samym sufitem widnieje wentylator łazienki, kreskowany uchylonymi listewkami. Pod mroczną ścianą korytarza lśniła pomalowana na biało drabina. Ja jednak ukląknąłem przy dziurce od klucza. Wahałem się długo, w końcu jednak odważyłem się spojrzeć. Ale przez dziurkę od klucza nic nie widziałem. I nagle podniosłem wzrok na tę drabinę, w słodowni panowała cisza i tylko okienko na ostatnim piętrze koło słodowni trzaskało, wzię-

łem więc tę białą drabinę i postawiłem ją pod oświetlonym okienkiem, po czym zacząłem wchodzić po szczeblach i ciekawość ciągnęła mnie w górę, bo słyszałem, jak z kurków płynie do wanny woda. A kiedy położyłem palce na mokrej żaluzji wentylatora i wspiąłem się o szczebel wyżej — pode mną otworzył się widok wprost na wannę. Najpierw przestraszyłem się. Myślałem, że panna z biura zemdląca. Nie leżała wyciągnięta w wannie, ale jakoś tak dziwnie: w poprzek. I głowę miała obwiązaną, i włosy jej zwisały przez krawędź wanny, na twarzy była czerwona jak letnie jabłko astrachańskie. Ręce miała rozrzucone i obrócone dłońmi w górę. Tak tam leżała dziwnie skulona i jej ciało, usiłowało się podnieść, jakby chciała wstać. I widziałem jej odrzuconą do tyłu twarz, jej ramiona unosiły się, oddychała ciężko, jakby szła pod górę albo niosła ogromny ciężki przedmiot, jakby jechała na rowerze albo siedząc w miejscu naciskała pedał maszyny do szycia.

Chciałem pospiesznie zbiec z drabiny i zawołać mielcerza, aby przyszedł jej z pomocą, ale nagle panienka wyprostowała się cała, po czym złamała się, głowa opadła jej pomiędzy obojczyki i jej twarz zniknęła, a przerzucone przez krawędź wanny włosy osunęły się, tak że zakryły jej plecy. A ja, kiedy jeszcze byłem ministrantem, widziałem, jak ta panienka klęczała przed ołtarzem, ja zaś podałem księdzu dziekanowi patenę z przenajświętszą hostią, i wtedy ta panna miała odchyloną do tyłu głowę i wysunięty odrobinę język, a kiedy ksiądz dziekan przeżegnał ją hostią i włożył ją do jej ust, panna tak samo właśnie pochyliła pospiesznie głowę, brodę schowała między obojczyki, bo przyjęła ciało Pańskie, zupełnie tak samo jak teraz w wannie strumień wody. I tak tam siedziała, łopatki podnosiły jej włosy w rytm przyspieszonego oddechu, po czym jej ręce rozluźniły się, z wolna zwinęła się, zatkała korkiem otwór zamykający dno wanny i leżała tak, i patrzyła w sufit, poziom wody podnosił się, widziałem, jak unosi jej ciało, widziałem wszystko, była zupełnie taka sama jak syrenka wytatuowana na mojej piersi, tylko na brzuchu miała jasne włoski jak wiecheć słomy. I spostrzegłem, że na klamce wisi jeden z tych ręczników, który niosła ze sobą przed chwilą, i ten ręcznik zasłaniał dziurkę od klucza, i ja wiedziałem, że panienka wiedziała, że ktoś by mógł ją podglądać, że robi coś, czego się nie powinno, tak jak ja nie powinienem na nią patrzeć, bo na to wszystko mógł spoglądać jedynie Pan Bóg, któremu żaden ręcznik nie może w tym przeszkodzić. Ale ja znałem już jej tajemnicę.

Szybko zszedłem z drabiny i postawiłem ją tam, skąd ją wziąłem, i po chwili po mokrych schodach zbiegłem do magazynu podłogowego. Patrzyłem na mokre pola jęczmienia, a kiedy pomyślałem o tym, co widziałem, poczułem, że jest mi przyjemnie, że między nogami mam prawie takie samo przyjemne uczucie, jakie miała panienka z biura. Czułem tu, w magazynie, że oddycham tak samo pospiesznie jak ona w wannie. Powoli wspiąłem się po mokrych schodach, a potem zamysłony szedłem na górę, minąłem izby czeladne, przez otwarte drzwi widziałem, jak śpi mielcerz, z jedną nogą na ziemi, ze zwisającą jedną ręką spał na wznak,

ja jednak szedłem jeszcze wyżej, obok magazynu suchego jęczmienia, który spał w pryzmach. A potem otwarłem drzwi do młynnicy sodu, skąd zmielony dojrzały jęczmień spadał wprost do warzelni, do kotła.

Jednakże najpierw przeszedłem w zadumie po krytym drewnianym mostku, który łączył słodownię z warzelnią, przez okienko wpadał gwałtowny blask słońca, który wprost oślepił, ale ja zamyślony wszedłem do młynnicy. Kiedy wchodziłem do młynnicy, zawsze ogarniał mnie strach; rozejrzałem się po przysypanych jęczmienną mąką motorach i śrutownikach, po białych graniastych rurach, przez które sypał się sól; kiedy dawniej otwierałem drzwi i widziałem ten przysypany pyłem krajobraz księżycowy, musiałem zbierać siły, aby kilku susami dotrzeć do drzwi po drugiej stronie, takim przerażeniem napawała mnie ta młynnica, że niezwykle lekko dotykałem posypanej białym mącznym pyłem podłogi, nie ważyłem więcej niż pięć kilogramów, tak że się niemal unosiłem nad podłogą, zupełnie tak samo jak w zimie, kiedy lody ruszały na rzece, tak właśnie lekko przebiegałem na drugi brzeg rzeki: szybkimi skokami.

Teraz jednak stałem pośrodku młynnicy i przestrasch ustąpił. Patrzyłem spokojnie na przysypane mąką motory, na koryta z lipowego drewna, na przysypane składy i nie potrzebowałem już skrzydeł strachu, aby mnie przeniosły, bo to, co zobaczyłem w łazience, uczyniło mnie nagle o kilka lat starszym. Stało się ze mną zupełnie to samo co z Szawłem, kiedy uderzył grom z jasnego nieba i zrzucił go z konia...

Zadumany zamknąłem za sobą cicho drzwi, zstępowałem po mokrych schodach na dół, ze światła w półmrok, wyszedłem ze słodowni i w podmuchach wiatru kroczyłem przez trawę pod orzechami, potem zaś pod gruszkami i pod jabłonią, przez chwilę stałem przed altanką, jaką tworzyły zwisające aż ku ziemi obsypane owczymi pyszczkami gałęzie jabłunki. Patrzyłem, jak przez zwieszony gałęzie prześwituje stół, na nim otwarty biały zeszyt, wewnątrz tej żywej altany, która ma w środku kwiat, przypominający duży okrągły szklany pocisk. Rozgarnąłem gałęzie jak koraliki, jakie zamiast drzwi ma w lecie fryzjer pan Bodzio Czerwonka, usiadłem, a kiedy spojrzałem na zeszyt i pióro, powiedziałem sobie, że powinienem o tym wszystkim, co widziałem, napisać nadobowiązkowe wypracowanie domowe...

Zza rogu słodowni wyszła teraz panienska z biura, powiew unosił jej w górę ręczniki, tak jak unosiły ogony spłoszone woły, musiała się odchyłać do tyłu, aby podmuch nie zmusił jej, by zaczęła biec i biegła dopóty, dopóki mocne uderzenie wiatru nie rzuci jej na kolana.

Oto wyszła z wiru wichury i szła tak pokornie, z głową odrobinę przechyloną, jakby zbliżała się do ołtarza. A ja siedziałem pomiędzy tymi owczymi pyszczkami jak pod zdobioną jabłkami spódnicą i patrzyłem na oddalającą się panienskę, do której miłosne liściki pisuje pan Dymaczek, ten, co hoduje wieprze i ma knury



rozpłodowe. Wiedziałem, że pisze do panienki, i że w listach zwraca się do niej Świetliku, a sam podpisuje się jako Aladyn.

Nagle ogarnął mnie smutek i wiedziałem, że będę musiał uważać, aby w nocy nie krzyczeć przez sen.

# KIEDY UMIERA GOSPODARZ, NAWET BYDLĄTKA PŁACZA

Za browarem znajdowało się kilka budynków i — jako ostatnia — rozpadająca się wiejska zagroda. Tu mieszkał Owczy Król. Nazywał się zupełnie inaczej, ale my nazywaliśmy go tak: Owczy Król, bo miał owce i tak te owce kochał, że z nikim już nie potrzebował się przyjaźnić. Przebąkiwano nawet, że on ponoć z tymi owieczkami sypia. Nędzne było to jego domostwo, w rynnach kwitła trawa, a z belek podtrzymujących wrota wyrosły dwie brzoźki. Wrota te nigdy nie stały otworem; i one także zarosły trawą. Obok wrót znajdowała się w murku furtka, przez którą wieczorem owce — jedna za drugą — wracały z pastwiska. Jako ostatni wchodził na podwórze Owczy Król.

Paś owce od wiosny do jesieni, a kiedy zima była łagodna, paś je, nawet gdy padał śnieg. Stał oparty o kij i wyglądał zupełnie jak biblijny dobry pasterz. Wyglądał tak jak jego domostwo. Miał siwy, niemal biały zarost, miejscami zielonkawy niczym mech, taką brodę, której się nigdy nie strzyże ani nie czesze. Nosił długi szynel, który włókł się po ziemi, i jak szedł, to ten płaszcz szlifował się o ziemię tak jak i jego broda. W zimie owijał tą brodą szyję niczym szalem. Jego długi szynel miał kolor pastwiska, tak że gdy położył się na trawniku, ten szynel zlewał się z kolorem łąki. Owce pały się. Owczy Król zaś leżał na miedzy i podparłszy ręką głowę patrzył na te swoje owce, owce patrzyły na niego, co chwila któraś z nich przybiegała, przytulała się do niego, oblizywała mu tę jego brodę i twarz, a Owczy Król przymykał oczy i podnosił czoło, i nagle stawał się młody. Nieraz widziałem, jak w blasku słońca błyszcząły mu w oczach łzy. Owieczka odbiegała i pasła się nadal, potem przychodziła następna i tak się te owieczki zmieniały, i za każdym razem Owczy Król był wzruszony.

Ludzie mówili o nim, że jest poganinem, że nie należy dopuszczać zwierząt tak blisko do siebie, że w końcu trudno człowieka od owcy odróżnić, tak się z nim stapia. Ja jednakże byłem Owczym Królem wprost oczarowany i chciałem o nim wiedzieć jak najwięcej.

Że Owczy Król jest poganinem, o tym się sam przekonałem. Dzierżawił łąkę, skosiwszy i osuszywszy siano zwoził je potem na taczkach do domu. Pewnego

razu zaczęło padać, a potem lało jak z cebra. Owczy Król stał w tej ulewie przy naładowanych taczkach, a potrafił je tak wysoko wyładować sianem i ściągnąć powrozem, że kto szedł naprzeciw niego, widział tylko jadący stóg siana. Lało bez przerwy i błyskawice raz po raz przecinały niebo, Owczy Król zaś krzyczał w górę:

— Nie mogłeś z tym deszczem poczekać? Takie piękne siano!

I znów się błysnęło, i Owczy Król wziął widły, nabierał mokre siano i rzucał je w niebo krzycząc:

— Masz, nażryj się!

Tak o nim mówili ludzie. Powiadano, że kiedy Owczy Król był młodszy, miał parę koni i trzy krowy, że miał najlepszą kapustę w okolicy, bo tę kapustę nawoził zawartością miejskich wychodków. Czerpał z tych wychodków kubłem na długim drążku i łopatą. Ja jednak znałem Owczego Króla już jako starca.

Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i od tyłu zbliżyłem się do jego zagrody. Przy murku rósł tam wysoki krzak bzu, tak ogromnego dzikiego bzu nigdy nie widziałem. Wsunąłem się w konary tego drzewa i czekałem, liście i gałęzie zamknęły się za mną i patrzyłem na podwórze. Wkrótce otworzyła się furtka i owieczki zaczęły wchodzić jedna za drugą, stanęły obok rozpadającego się wozu drabiniastego, który nie miał przednich kół, i wpatrywały się w furtkę, dopóki nie wszedł przez nią Owczy Król. Zamknął, po czym wyciągnął ręce, owce przybiegły i lizały mu dłonie. I ja widziałem, jak piękny jest Owczy Król, promieniował blaskiem, widziałem po prostu, że otacza go aureola, widziałem wśród zmierzchu, że także owce tchną wyraźnie radością i szczęściem, dotykają się nawzajem mordkami i całują go jedwabistymi wargami. I Owczy Król ukląkł, podał im swoją twarz i owieczki lizały go, i ja widziałem, że Owczy Król jest tak samo czuły jak jego owce, że wcale nie jest taki straszny, jak ludzie mówią.

Kiedy w jakimś domu dzieci były niegrzeczne, dostawały w skórę. Jeśli to nie pomogło, tatuś podejmował decyzję, że dziecko będzie musiało opuścić dom, że ojciec zaprowadzi dziecko do Owczego Króla i odda mu je. To już wystarczało, żeby dzieci były grzeczne. Kto jednak nadal dokazywał, temu ojciec przygotowywał koszulę na zmianę, łądował mu do tłumoka koc, smarował dwie kromki chleba, a kiedy się ściemniało, ojciec groził mu, że jeśli dziecko nie uklęknie i nie przeprosi, to pójdzie na służbę do Owczego Króla. A jeśli dziecko nadal buntowało się i nie chciało paść na kolana, to kiedy zapadł zmrok, tatuś wkładał dziecku plecaczek na ramiona, brał za rękę i prowadził przez całe miasto i obok browaru za miasteczko, drogą w pole. Większość dzieci nie doszła dalej niż do pierwszych zabudowań. Tylko kilku chłopców okazało się na tyle krnąbrnymi, że pozwolili się doprowadzić aż pod dom Owczego Króla. Tam ojciec stawiał chłopca wśród pokrzyw i lebiody, wiatr dął od pola, mrok, a z rozwalonego dachu Owczego Króla unosił się dym i w okienku paliła się latarnia. Tylko jeden chłopak to wytrzymał, stał tam, jego ojciec dochodził już do browaru, ale w końcu chłopaka ogarnęło

przerażenie i rzucił się do ucieczki, i koło browaru padł przed ojcem na kolana, że będzie już grzeczny, i pocałował tatusia w rękę, i zmieniony nie do poznania wrócił do domu, bo nikt nie wiedział, że Owczy Król to właściwie dobry człowiek.

Widziałem to spośród liści dzikiego bzu, owce dotykały go jak szprychy osi i wokół panowała cisza, jakby wszystko skamieniało. A ja wisząc na jednej ręce wśród gałęzi, drugą rozgarniałem lekko listowie i patrzyłem na tę betlejemską szopkę. A potem Owczy Król podniósł się, podszedł do pompy i zaczął pompować świeżą wodę do koryta, i owce piły, potem wszedł do domostwa i wrócił z krzynówkiem, i rozdawał z niego jabłka i ziemniaki. W końcu przyniósł ogromny bochen, pokrajał go na kromki i każda owieczka dostała posypany solą kawałek chleba. Po podwórzu przebiegały cienie, gospodarz zapalił świeczkę w latarni i nagle omal nie spadłem z konarów dzikiego bzu: całe domostwo jakby westchnęło, belki trzasnęły i dach osiadł. Ale Owczy Król wszedł z latarnią do sieni, owce zaś szły za nim, przyświecał im, a one jedna za drugą weszły do sieni, a za nimi zaś sam gospodarz ze światłem; przez chwilę było ciemno, po chwili jednak rozbłyśły słabo okienka. Panowała cisza, gdzieś w ścianach domu osypywał się piasek, belki stęknęły, siedziałem w gałęziach dzikiego bzu, oparty o rozpadający się kamienny murek.

Wiedziałem, że muszę znaleźć w sobie dość siły, żeby odważyć się podejść bliżej i zobaczyć, jak Owczy Król mieszka. Ostrożnie postawiłem nogę na rojniku, próbowałem murku, jakbym badał, czy lód mnie utrzyma. Odsunąłem gałązki bzu, drugą nogą wymacałem dyszel wozu drabiniastego, po czym zeskoczyłem na ziemię. Na palcach podszedłem do okienka, serce waliło mi w piersiach jak młotem i przytrzymując się ściany, jednym okiem spojrzałem w głąb niskiego pokoju z belkami, na jednej wisiąca na haku latarnia, aż do wysokości okien pokój pełen był gnoju, który przykrywała z wierzchu słoma, a na niej spoczywały zwinięte owce. Owczy Król leżał na szynelu i wpatrywał się w sufit, żuł źdźbło słomy i miał szeroko rozrzucone nogi. W kącie stał kafłowy piec, rury były wyrwane z komina, a na płycie leżał baran. W suficie otwierała się ogromna dziura, pod którą ułożono na podłodze czarne kamienie, pośrodku paleniska stał trójnóg, a na nim wisiąca kociołek. Zwinięte owce leżały wokół swojego pasterza i spały, gnój był zaparzony i dym płynął pod sufit, i poprzez otwartą dziurę unosił się ponad załamany dach. A ja wiedziałem, że każde krnąbrne dziecko, które tatuś doprowadził w ciemną noc aż pod furtkę, każde, które miało iść na służbę do Owczego Króla, miałoby piątkę ze sprawowania, gdyby tylko zajrzało do pokoju, w którym mieszkał wraz z owcami Owczy Król.

Nazajutrz aż do szkoły dotarła wiadomość, że przy drodze za browarem leży nieżywy Owczy Król. Autobus przejechał mu na śmierć najulubieńszą owieczkę i Król, widząc to, zmarł na atak serca. Wybiegłem ze szkoły, pan kierownik krzyczał za mną, żebym natychmiast wracał, ale ja już biegłem przez most, nie zwalniając ani na chwilę biegiem aż do browaru.

Zobaczyłem to już z daleka. Na drodze stał autobus, wachmistrz policji pisał raport, za autobusem leżała przejechana owca, w rowie, wciąż jeszcze w swoim długim szynelu, leżał na wznak Owczy Król, wąsy zjeżyły mu się z przerażenia i sterczały w niebo jak miotły. Owieczki otaczały Króla kręgiem i lizały mu ręce. Potem przyjechał lekarz powiatowy i wachmistrz policji poprosił go, żeby obejrzał pasterza, czy można by jeszcze coś dla niego zrobić. Policjant musiał w końcu płazem szabli rozpędzić owce. Pan doktor rozpiął płaszcz, ale nagle się cofnął. Owczy Król miał rozchełstaną brudną koszulę, pod tą koszulą jednak piętrzyły się warstwy podkoszulków i koszul. Właśnie przejeżdżał na rowerze pan Praus, mistrz blacharski, z narzędziami, wachmistrz policji poprosił go o pożyczenie nożyc do cięcia blachy. Pochylił się nad Owczym Królem i przeciął wszystkie te nawarstwione na sobie i zlepione potem koszule i podkoszulki, po czym ujął tę warstwę, pod którą znajdowało się serce, i musiał ją oderwać wraz z włosami, a koszule i podkoszulki zwinęły się jak papa. Potem lekarz powiatowy włożył sobie wężyki do uszu, pochylił się, a kiedy się uniósł, okazało się, że to prawda. Owczy Król był urzędowo nieżywy. Owieczki wiedziały o tym, stały ze zwieszonymi łebkami i drżały. Po chwili przyszedł ktoś i narzucił na umarłego koc. Autobus i lekarz powiatowy odjechali, wachmistrz policji zwrócił blacharzowi nożyce do cięcia blachy i obaj z panem Prausem odjechali na rowerach. Później zjawił się człowiek, który biczem pognął owce po drodze aż do ostatniego domostwa, otworzył furtkę i zapędził je na podwórko Owczego Króla.

Nazajutrz, kiedy Owczy Król leżał już w trumnie w kostnicy, przyjechali rzeźnicy. Patrzyłem, jak siłą wyważyli wrota i wjechali samochodem na podwórze. Z szopy przynieśli kozioł do rżnięcia drzewa, ułożyli jedną obok drugiej dwie deski, a potem wyprowadzali jedna po drugiej owieczki i zarzynali je. A każda owieczka, zobaczywszy rzeźników, sama podbiegała, kładli ją na grzbiecie między te dwie deski na koźle do rżnięcia drzewa, owieczka sama wyciągała szyję — i błyskał nóż, i tryskała krew. Za ostatnią owcą wybiegło jagniątko. Kiedy owcę położono na grzbiecie, to jagnię wspięło się i zaczęło ssać. Ale rzeźnicy jednym pociągnięciem ostrego noża poderżnęli gardło także i tej ostatniej owcy. A jagnię nadal ssało. Jeden z rzeźników pochylił się i chciał zarznąć również i to jagniątko, ale drugi rzeźnik powiedział:

— To sobie zostawimy, to baranek, weźmiemy go ze sobą.

A potem energicznie zabrali się do patroszenia owiec. Jagnię biegło za nimi.

W końcu otwarli burty, wrzucili owce na wyłożoną blachą skrzynię samochodu, wskoczyli do szoferki, wzięli to jagnię między siebie i odjechali.

A ja powróciłem do browaru i dopiero teraz zobaczyłem na własne oczy, dlaczego Jezus powtarzał nieustannie przypowieści o owcach i baranku bożym. I łamałem sobie głowę: po co im tam w holeszowickiej rzeźni jagnię?

Owczego Króla pochowano. Na jego pogrzeb przybyło nas tylko trzech: ja, brat Króla i grabarz. Jesienią, kiedy zaczęły się ulewy, całe domostwo Owcze-

go Króla zwałiło się i rozsypało w gruzy. A o Owczym Królu tylko ja z całego miasteczka potrafiłem tak pięknie opowiadać. Potem nadeszło lato i do naszego browaru przyjechał w odwiedziny pan Rybin, rzeźnik z holeszowickiej rzeźni, przyjechał w odwiedziny do mistrza bednarskiego, a ja oprowadzałem go po browarze. Była niedziela, pokazałem mu słodownię i warzelnię, otworzyłem nawet żelazne drzwiczki lodowni, gdzie piętrzyła się wysoka na osiem pięter góra lodu, istny lodowiec w budynku bez okien. Wyjaśniłem panu rzeźnikowi Rybinowi, jak warzy się piwo, a przy tym usiłowałem zdobyć się na odwagę, aby zapytać, czy tam, do holeszowickiej rzeźni, nie przywieźli w zeszłym roku jagniątka z naszego miasteczka. Ale nie miałem dość siły i odwagi, więc pożyczyłem jeszcze klucze i pokazałem panu Rybinowi, jak w stolarni robią beczki. A kiedy już zamknąłem, obróciłem się.

— Proszę pana — spytałem — czy rzeźnicy z holeszowickiej rzeźni, ci dwaj, co tu w zeszłym roku zarznęli stado owiec, nie przywieźli ze sobą małej owieczki, nie przywieźli baranka?

— Przywieźli, chłopcze — odpowiedział pan Rybin. — No, teraz to już z niego nie lada zuch! Biega po rzeźni i ma czerwoną obrózkę, a na niej duży mosiężny dzwonek.

— Bardzo się cieszę — powiedziałem — ale, proszę pana, czy tego baranka trzymacie ot tak sobie, dla zabawy?

— Skądże znowu, chłopcze, ma on w rzeźni swoje obowiązki! Czy ty wiesz, ile owiec zabija się w ciągu tygodnia? Setki, a bywa, że i tysiące. A owce przed ubojem muszą być w kojcach, żeby się im wnętrzności wyczyściły, i tak są osłabione z tęsknoty, że trzeba niemało wysiłku, żeby je zapędzić pod nóż. A więc puszczamy baranka z dzwonkiem i on chodzi od jednego kojca do drugiego, tak długo, jak potrzeba, a owieczki, słysząc wesołe brzęczenie, podnoszą się i idą za nim, a on nam je przyprowadza wprost pod nóż. I za każdym razem dostaje kromkę chleba posypanego solą. On to bardzo lubi. I to jest nagroda za jego pracę. Rozumiesz, chłopcze?

— Nie rozumiem, proszę pana — powiedziałem. — Ale jak dorosnę, to na pewno zrozumiem.

# CZERWONA KONICZYNA

Ksiądz dziekan Spurny, ilekroć wykladał nam historię biblijną, umiał mówić tak cicho i łagodnie, że my zawsze mieliśmy wrażenie, że ksiądz dziekan nawet duchem nie przebywa w klasie ani w naszym miasteczku, ale zupełnie gdzie indziej, tam gdzieś w ziemi Kanaan, że płynie po Jeziorze Genezaret albo jest w Tarsie.

Ze wszystkich cudów, jakie się wówczas zdarzyły, najpiękniejsza była historia świętego Pawła. Wzruszała mnie myśl, że oto jadę na rowerze i nagle uderza grom z jasnego nieba, ja spadam z roweru i staję się naraz zupełnie kimś innym, całkiem odmienionym człowiekiem.

Ksiądz dziekan zapewne chętnie opowiadał o świętym Pawle dlatego, że sam pewnego popołudnia wioził w swoim aucie baronową z Cyprysów i kiedy jechał główną ulicą i zmieniał biegi, zamiast za dźwignię zmiany biegów chwycił za kolano baronową z Cyprysów i wpadł na wystawę sklepu pana Milana Hendrycha, który sprzedawał cudowne koszule, a więc prócz rozbitego szkła z przedniej szyby na koszulach na wystawie nic się nie stało ani jemu, ani nawet pani baronowej z Cyprysów. A ja wierzyłem świącie, że tylko cudem uszedł z życiem, bo wszystkie koszule, jakie sprzedawał pan Milan Hendrych, przynosiły szczęście.

Co tydzień za szybą wystawy i w „Gazecie Obywatelskiej” rzucała się w oczy reklama:

„Podczas bójki na Cygance w Drahelnicach cygański handlarz Lajosz Rózycka został pchnięty nożem w serce, ponieważ jednak Lajosz Rózycka miał na sobie koszulę od Milana Hendrycha, ulica Palackiego 156, nic mu się nie stało. . .”

Co tydzień otwierałem „Gazetę Obywatelską” i znajdowałem tam nowy cud. . .

„Pod rusztowaniem, które się niespodziewanie osunęło, znaleziono czeladnika murarskiego Józefa Bandrę, ponieważ jednak miał on na sobie koszulę od Milana Hendrycha, ulica Palackiego, nic mu się nie stało. . .”

I tak co tydzień coraz to nowy cud. . .

„Przejechany przez pociąg. . .” „Podczas polowania na kuropatwy postrzelony został z bliska myśliwy, ponieważ jednak miał na sobie koszulę od Milana Hendrycha, ulica Palackiego, nic się nikomu nie stało. . .”

A więc i ksiądz dziekan podczas tego wypadku, kiedy chwycił panią baronową z Cyprysów za kolano, miał zapewne na sobie koszulę od Milana Hendrycha, ulica Palackiego, gdy wjechał swoim samochodem na wystawę i nic mu się nie stało. . .

Dwa razy w tygodniu na lekcjach religii miałem na sobie koszulę od Milana Hendrycha, tak zresztą jak cała reszta chłopaków, bo całe miasteczko kupowało koszule nie gdzie indziej, ale właśnie przy ulicy Palackiego.

Ksiądz dziekan chodził między ławkami i jego głos rozbrzmiewał cicho, szedł cicho i oglądał się. . . A Jezus wsiadłszy do łodzi płynął do ziemi Kanaan. . . Zawazal wyrzynał nożem wielkie serce na ławce, pozostali uczniowie słuchali cichego głosu, który płynął wraz z Jezusem do ziemi Kafarnaum. . . i nagle Zawazal uderzył głową w wierzch ławki, nosem rąbnął o drewno, aż krew mu pociekła, i krzyknął, wszyscy uczniowie drgnęli ze strachu, ale ksiądz dziekan nadal chodził cicho. Zawazal wycierał nos, a Pan Jezus mówił do swoich uczniów: „Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary?” I cichy głos księdza dziekana rozlegał się w klasie, ja bawiłem się śrutem z opuszczanej lampy, ksiądz dziekan wyglądał przez okno i nagle dopadł mojej ręki, odebrał mi pełną garść tego śrutu i poszedł dalej, nikt niczego nie zauważył, i ksiądz dziekan nadal płynął po Jeziorze Genezaret do ziemi Kafarnaum. A kiedy zapadła najwspanialsza cisza i głos księdza dziekana unosił się nad wodami, nagle zabolęła mnie straszliwie ostrzyżona do skóry głowa, taki grad spadł na nią z góry, krzyknąłem i chwyciłem się za głowę podziobaną wprost garścią śrutu, którą ktoś z góry cisnął z całej siły na moją głowę. . . krzyczałem, wszyscy obejrżeli się przerażeni, ale ksiądz dziekan szedł już dalej, jego dłoń była pusta, na ziemi walał się śrut, a głos księdza dziekana płynął z uczniami po jeziorze Genezaret do ziemi Kafarnaum. . .

I tak podczas lekcji religii za każdym razem co najmniej cztery razy rozlegał się krzyk któregoś z uczniów, z góry spadał straszliwy cios, który zwałał bawiącego się ucznia na ławkę, za każdym razem jednak ksiądz dziekan nadal się przechadzał i nikomu spośród uczniów nic się nie stało, bo każdy miał na sobie koszulę z firmy Milan Hendrych, ulica Palackiego 156.

Ksiądz dziekan w ogóle bywał taki rozmarzony. W lecie przeprowadzał się z plebanii do wieży w murach obronnych, do wikarówki, która znajdowała się na ostatnim piętrze tej baszty. Trzeba było wspinać się tam po schodach, a kiedy otwartą się drzwi wikarówki, ukazywał się ogromny pokój o zupełnie szerniastych belkach, a trzy niewielkie okienka świeciły we dnie tak jasno, że aż w tym półmroku bolały oczy. Tutaj ksiądz dziekan miał swoją letnią siedzibę, miał tu łóżko i stół, i krzesła, i ławy pod oknami. Tu też raz do roku zapraszał uczniów uczęszczających na lekcje religii, żeby mu wyszorowali schody i wymyli podłogę. I za każdym razem zostawiał nas samych, wiedział bowiem, że wszyscy wiemy ze szkoły, że gdybyśmy robili coś takiego, czego nie powinno się robić, to z góry przyleci cios, takie uderzenie w twarz, które każdego zwałifoby na podłogę albo



ze schodów, ale nikomu nic by się nie stało, bo każdy uczeń miał na sobie koszulę z firmy Milan Hendrych, ulica Palackiego 156.

Dźwigaliśmy więc wiadra wody, na kolanach szorowaliśmy podłogę i patrzyliśmy przez okna, bo otwierał się stąd niezwykle piękny widok na rzekę, widok na pokrytą papą plebanię i na czerwoną katedrę Świętego Idziego. A stare wysokie drzewa sięgały aż po same okna wikarówki. Widzieliśmy ich wierzchołki, poruszające się nieustannie w porywach wiatru, który dął znad rzeki. Ale najpiękniejszy widok otwierał się ze środkowego okna ponad wierzchołkami drzew na płynącą rzekę.

W dole obok przystani wiły się ścieżki na kępę, a tuż pod murami obronnymi i pod basztą rozpościerał się ogromny dekanalny ogród, oddzielony płotem, w krzakach zaś stały ławeczki. Wiedziałem doskonale, i chłopcy też wiedzieli, że ksiądz dziekan siedzi w hotelu „Na Książęcym” i pije wermut, ale ta jego niewidzialna ogromna ręka ciągle unosiła się i groziła, tak że woleliśmy myć schody i podłogę i rozmawialiśmy szeptem. A kiedy byliśmy całkiem pewni, że ksiądz dziekan siedzi „Na Książęcym” i pije wermut, i patrzyliśmy przez okno w dół, na dachy miasteczka, przez drugie okno na rzekę, przez trzecie okno na dekanalny ogród i ławeczki w krzakach pod płotem, nagle pojawił się wśród nas ksiądz dziekan, tęgi i potężny, stał wśród nas, przysunął krzesło do okna, usiadł i spoglądał przez okno na rzekę, wierzchołki drzew kołysały się w słońcu, a ksiądz dziekan powiedział:

— No, chłopcy, możecie już iść, wiadra postawcie koło plebanii.

Ledwie to powiedział, już o nas zapomniał, patrzył na płynącą rzekę, na drzewa, tam, na drugim brzegu wody, patrzył i był piękny. Zbiegaliśmy po schodach o trzy piętra niżej, na dziedzińcu plebanii kurczyliśmy się ze strachu, bo każdy z nas ciągle miał wrażenie, że nagle któryś zacznie krzyczeć i złapie się za głowę, że komuś krew pocieknie z nosa od potężnego ciosu jakiejś wielkiej łapy, która przyleci z góry i powali nas na ziemię.

Kiedy nadeszła późna wiosna, a potem lato, pewnej soboty o zmierzchu przeszedłem przez oświetlony most, potem skierowałem się do młyna i wzdłuż starej restauracji rybnej doszedłem aż do płotu ogrodu otaczającego plebanię. Ludzie spacerowali po moło na przystani, w mroku letniej nocy siedzieli na ławeczkach w krzakach. A ja stałem i patrzyłem w górę na trzy okna wikarówki, widziałem przez mury, jak tam siedzi ksiądz dziekan, siedzi i spogląda na odbijający się w rzece księżyc, pije wermut i jest spokojny i łagodny, mimo iż dysponował tak ogromną siłą, że podnosił w zębach swoje dwie związane obrusem kuchareczki. Widziałem go, jak tam siedzi zupełnie sam, rozmawia tylko ze świętym Pawłem i patrzy przy tym — przez całe popołudnie aż do zmroku — jak zachodzi słońce i jak wschodzi księżyc. A ja stałem na dole, pod płotem otaczającym parafialny ogród, bo wiedziałem, że przyszedł pan Czopryś, maszynista, poznałem go po lśniącej łysinie. I tak co sobota, kiedy wieczór był tak piękny, prznosił ławecz-

kę aż w krzaki pod płotem, po czym siadał z rozstawionymi szeroko kolanami, wyciągał małą harmonijkę ustną, pikolinę, nie większą niż dziecinny kozik, i zaczynał grać z takim uczuciem, z taką siłą, że ludzie zatrzymywali się i słuchali, jakby w krzakach śpiewał lipcowy słowik. W przystani odbijał się księżyc, rzeka falowała niczym srebrna żaluzja w sklepie pana Milana Hendrycha, pan Czopryś grał na harmonijce ustnej, a ja widziałem, jak ksiądz dziekan siedzi na górze przy otwartym oknie, nasłuchuje poprzez wierzchołki drzew, widziałem, jak w oknie zaśnie bielą fartuszek jego kuchareczki, jak wychyliła się z wikarówki, aby lepiej słyszeć ukrytą w krzakach harmonijkę, z której płynęła smutna piosenka, wydmuchiwana i wysana przez małą pikolinę, nie większą niż dziecinny kozik. A kiedy pan Czopryś przestał grać, słychać było, jak tam na ławeczce pod płotem otaczającego plebańską ogrodu oddycha ciężko i odpoczywa, aby — kiedy znów nabierze siły — zagrać *Humoreskę*. To był jego popisowy numer, ta *Humoreska* grana na harmonijce ustnej z takim uczuciem i w ten sposób, że ludzie przestawali się poruszać, aby nawet skrzypienie piasku na ścieżce prowadzącej wzdłuż przystani nie zakłócało tej pieśni. Kiedy pan Czopryś, maszynista, skończył *Humoreskę*, zapadła cisza. Ogromna cisza, słychać było każdą falę rzeki, każdą trzcinę. I z krzaków wychodził pan Czopryś, straszliwie spocony, w blasku księżyca jego twarz wydawała się pociągnięta ręką, miał krzywe nogi, brzusek i taki nos, jak miewają małe dzieci w wózekkach, oddychał ciężko, nabierał w płuca powietrza, bo na tej małej harmonijce ustnej grał całym swym potężnym ciałem.

A ja patrzyłem w górę, tam, w oknie wikarówki, stał biały fartuszek kuchareczki, a ksiądz dziekan siedział w fotelu i patrzył na płynącą księżycową rzekę.

Pewnego razu, kiedy byłem jeszcze ministrantem, szedłem z księdzem dziekanem do pobliskiej wioski, aby udzielić sakramentu ostatniego namaszczenia umierającej wieśniaczce, niosłem w biały dzień zapaloną latarnię; kiedy znaleźliśmy się w polach za lasem, żeńcy kosili żyto. . .

— Chętnie bym sobie trochę pokosił — zwrócił się do nich ksiądz dziekan.

Jeden z żeńców otarł kosę i podał ją księdzu dziekanowi, pozostali kosiarze uśmiechali się pobłaźliwie, ale jak już ksiądz dziekan ujął kosę i stanął w rozkroku, przy każdym mocnym pociągnięciu kosi uśmiechali się coraz mniej. Ksiądz dziekan kosił i żyto po każdym świcie kosi kładło się równiutko i zupełnie tak samo, jakby ksiądz dziekan należał do kosiarzy. Skończywszy swój rząd, odwrócił się i spojrzał na dokonane dzieło, otarł pot, oddał kosę i ścieżką pośród pól niosłem dalej zapaloną latarnię, a ksiądz dziekan dalej niósł w pateniu przenajświętszą hostię, aby dać ją we wsi umierającej wieśniaczce. . .

Widziałem również księdza dziekana, kiedy zwożono żyto: tam, w polu za browarem, zdjął lustrzynowy żakiet, wziął widły i brał po dwa snopy naraz, nikt nie nadążał z ich odbieraniem. Najchętniej ładował żyto na polach panien Szafarzykówien, tam rolę gospodarza pełniła najstarsza córka, która wyglądała jak przebrany mężczyzna, chodziła w butach z cholewami, paliła papierosy i potrafiła

powozić końmi niczym prawdziwy furman. A jej siostra pomagała jej, ta z kolei była taka ładniutka jak kuchareczka z plebanii, ale znała się na wszystkich pracach w polu i w stajni. A potem, straszliwie spocony, z żakietem pod pachą, wracał ksiądz dziekan wzdłuż rzeki do miasteczka. Raz tylko, kiedy odbierał i układał snopy aż do najwyższych pięt wozu, bo nikt nie potrafił tak wzdłuż i wszerz układać snopów jak ksiądz dziekan, spadł z wozu, ale cudem nic mu się nie stało, bo miał na sobie koszulę z firmy Milan Hendrych, ulica Palackiego 156.

Dziś wracałem po południu ze szkoły. Lubiałem wskoczyć na poręcz kamiennego mostu i niczym linoskoczek pan Trzyszka przebiegałem przez most aż na drugi brzeg, na Załabie, gdzie zeskakiwałem z balustrady i szedłem dalej. Dziś wracałem do domu inną drogą, przez most kolejowy. Kiedy wbiegłem na nasyp, zobaczyłem na początku mostu żelazną barierę, która wznosiła się wysoko aż do konstrukcji mostu. Wszedłem na most kolejowy, przede mną ciągnęła się aż na drugi brzeg żelazna kładka usiana nitami, gdyby jechał pociąg, mógłbym dotknąć komina, pode mną krzyżowały się wszerz i wzdłuż metalowe trawersy, oparte na trzech filarach most lśnił torami, które daleko za mostem skręcały w stronę browaru, pobłyskującego beżowymi murami za browarnianym sadem owocowym. Pobiegłem przed siebie, rozrzucając odrobinę w bok ręce, pośrodku mostu kolejowego zatrzymałem się i spojrzałem w dół. Za filarem mostu rzeka falowała tworząc wiry. Usiadłem i machałem nogami, jakbym moczył stopy w rzece, patrzyłem z biegiem nurtu w dal, aż tam, gdzie za łąkami i wierzbami wznosiły się wysokie topole, i jeszcze dalej, na Komareńską Wyspę, oderwałem wzrok od szyn i przeniosłem go w głąb pól, tam za nasypem stał wóz, konie z pochylonymi szyjami wyskubywały ze stogu czerwoną koniczynę, widziałem, jak mężczyzna w białej koszuli kosi koniczynę, jak drugą kosą kosi kobieta, widziałem, jak inna kobieta w chusteczce na głowie grabi skoszoną koniczynę i układa ją w kupki, w stogi. I zamknąłem oczy, słońce przygrzewało miło, nikt nie nadchodził, w łódce siedział obrócony do mnie plecami rybak. . .

I nagle most zadudnił, cały most zadygotał, trzymałem się mocno żelaznych trawersów, zbliżała się lokomotywa i cały most ugiął się, zdawało się, że się załamie, ale lokomotywa puściła parę, całego mnie ogarnęła mokra para i zapach dymu, ale lokomotywa z węglarką wjechała już na drugą stronę wygiętego lekko mostu, ostatni wagon oddalał się pospiesznie, unosząc z sobą stukot kół, a na końcu pociągu chwiała się latarnia i tabliczka z czerwonymi promieniami na białym tle, znak, że pociąg oddala się cały. . .

Kiedy spowiła mnie para i dym z lokomotywy i kiedy most tak się trząsł, że omal mnie z siebie nie zrzucił, i słońce zniknęło w dymie, nie bałem się ani trochę, bo nawet gdybym spadł do rzeki, nic by mi się nie mogło stać, jako że miałem na sobie koszulę od Milana Hendrycha, ulica Palackiego 156.

Podniosłem się i po górnym trawersie mostu kolejowego pobiegłem dalej, tam, na drugim brzegu rzeki, ładowano na wóz czerwoną koniczynę, a kiedy przebie-

głem most i spojrzałem w dół, zobaczyłem, że ten mężczyzna w białej koszuli to nie kto inny jak ksiądz dziekan. Stał po kolana w koniczynie i odbierał na wozie czerwoną koniczynę, obok niego stała zanurzona w koniczynie aż po pas piękna panienka z majątku Szafarzyków, jej siostra w butach z cholewami mocnymi ruchami ramion rzucała w górę tę koniczynę, potem ujęła lejce i podjechała do następnej kupki, gdzie znowu nabierała na widły te czerwone główki koniczyny i rzucała je w górę na furę, tam zaś odbierał je ksiądz dziekan i wyrównywał tę koniczynę na bokach, i miał przy tym jeszcze tyle czasu, że rzucał garście koniczyny panience we włosy, a ona, z włosami pełnymi koniczyny, śmiała się, kiedy zaś dojrzała do księdza dziekana, wzięła pełną garść i wplotła te czerwone kwiaty we włosy księdza dziekana. Ksiądz dziekan stał po pas w koniczynie, wóz był już tak pełen, że gospodyni na dole ich nie widziała, musiała wspinać się na palce, aby widłami podać koniczynę na samą górę, gdzie pojawiały się tylko ręce księdza dziekana, które przyjmowały koniczynę. Gospodyni ujęła lejce i podjechała do ostatniego stogu, wóz turkotał, a ja patrzyłem z góry, ze szczytu mostu, jak ksiądz dziekan upadł nagle na pannę w tej czerwonej koniczynie i leżał tak na panie przysypanej kwiatami koniczyny, i nagle ksiądz dziekan pochylił swoją głowę pełną czerwonych kwiatów i pocałował pannę, długo ją całował, a ona splotła obie dłonie na jego karku, wóz turkotał i trząś się, konie zapierały się, skóra marszczyła się na ich potężnych kłębach, ale ksiądz dziekan leżał na panie i całował ją, ona miała rozrzucone nogi, a otwarte oczy wpatrywały się w niebo.

Gospodyni zatrzymała konie, nabrała ze stogu naręcz świeżej koniczyny na widły, ale nikt tej koniczyny nie odbierał, ksiądz dziekan leżał w koniczynie na panie z folwarku, oboje z twarzami przysypanymi czerwonymi kwiatami koniczyny, całowali się długo, oboje pewnie omdleli. Ja jednak wiedziałem, że księdzu dziekanowi nic się nie może stać, bo tę białą koszulę kupił w firmie Milan Hendrych, ulica Palackiego 156.

# POWRÓT MARNOTRAWNEGO STRYJASZKA

W ciągu tych kilku miesięcy od chwili, kiedy to stryjasek Pepi wzniecił wielki rokosz i przestał do nas przychodzić na obiady i kolacje, i w ogóle przestał odpowiadać na ukłony, schudł do tego stopnia, że nawet ta jego marynarska czapka stała się dla niego za duża. Kiedy dał wiatr, obracała się daszkiem do tyłu, ubranie na stryjaszku wisiało, a w niedzielę, kiedy wkładał kauczukowy kołnierzyk z muszką na gumce, ten kołnierzyk był pod szyją tak szeroki jak klapy marynarki, a motylek zwisał żałośnie na wysokości pierwszego guzika. A kiedy na rogu słodowni hulał wiatr, spodnie na stryjaszku łopotały jak chorągiew, bo nogi stryjaszka wyschły na kość i przypominały tyki. W restauracji nikomu nie przyszło do głowy, że stryjasek Pepi może być głodny, więc z całą życzliwością częstowano go czarną kawą, wermutem czy też stawiano mu kieliszek wódki. Dlatego stryjasek Pepi, zanim wyruszył na codzienną wyprawę w poszukiwaniu najpiękniejszych dziewcząt, przemykał wzdłuż słodowni w stronę chlewów, zaglądał we wrota szop, a potem udawał, że interesują go kury, a kiedy nikogo nie było w pobliżu, stryjasek wyjadał kurom gotowane ziemniaki, a kiedy ich zabrakło, zjadał wszystkie łupiny od kartofli, które posypywał sobie śrutą.

To stało się dziś przed południem: przybiegli bednarze, od rana nie mogli znaleźć stryjaszka Pepi, a teraz odkryli go pod pryczą, gdzie pewnie umiera albo już umarł. Ojciec wyjął z szafki ozdobionej czerwonym krzyżem buteleczkę amoniaku i blady ruszył do słodowni w otoczeniu bednarzy, którzy szli z powagą, równie bladzi, tak jakoś kroczyli obok ojca niczym wyrzut sumienia, że aż tak daleko zaszła niechęć między panem kierownikiem a stryjaszkiem Pepi, robotnikiem browaru, mielcerzem. Na korytarzu przyłączyli się gromadą mielcerze i tak w izbie czeladnej zjawili się ci wszyscy, którzy mogli porzucić pracę. Przyszedł nawet pan piwowar, bo wiedział, że ojciec znajdzie się w trudnej sytuacji.

Kiedy ojciec ukląkł i spoglądał pod pryczę, gdzie leżał stryj, mielcerze wzięli pryczę za metalowe pręty i przenieśli to posłanie na środek izby. A potem zamknęli krąg wokół klęczącego ojca, który pochylał się nad leżącym Pepi. Pod głową miał stryjcio stare gumowe buty z cholewami, z których wybiegły myszy.

A policzki stryjaszka Pepi były zaczerwienione od farby olejnej, pod oczyma zaś miał namalowane olejną farbą kręgi. I leżał tak jak manekin, jak nędzna lalka, jak pajac, którym bawią się małe dzieci. A wokół stryja piętrzyły się porozrzucane szmaty, brudne koszule, dwa stare mysie gniazda z poskubanego papieru, a stryjaszek Pepi miał na sobie mokre ubranie bez guzików, przepasane sznurem, z butów ciekła mu woda, koszuli brakowało kołnierzyka i była tak brudna, że nie sposób odgadnąć, jaki miała kolor, kiedy była czysta.

Robotnicy z powagą i gniewem oceniali tę różnicę: ojciec miał piękny szary garnitur i krawat w kształcie liścia kapusty włoskiej, i biały kauczukowy kołnierzyk z rozkami, a przed nim leżał jego brat, jakby go przed chwilą wyłowiono z rzeki, w której spoczywał przez cały miesiąc, doszczętnie poobgryzany przez raki i ryby. I wszyscy robotnicy delektowali się tą różnicą, pan piwowar uśmiechał się, bo znów — po raz pierwszy od dłuższego czasu — widział kierownika browaru w przykłej sytuacji.

Ojciec tymczasem odkorkował flaszeczkę z amoniakiem i podsunął ją stryjowi pod nos, ale stryj oddychał przez usta. Wobec tego tatuś zatkał mu dłonią usta. A kiedy stryjaszek kilkakrotnie odetchnął amoniakiem, jęknął i usiadł, a potem zaczął kichać i krztusić się. Z oczu pociekły mu łzy. Straszny był to widok: ta twarz stryjaszka Pepi pomalowana farbą olejną.

Ojciec wstał i odrzucił podglówek z pryczy, cały zatłuszczony od głowy stryjaszka, jakby pociągnięty dziegiem, i myszka wyskoczyła z koszuli, a pod tą koszulą, kiedy ojciec ją uniósł, znajdowały się nici i igły, kilka skarpetek i onuc, zielony grzebień.

— I to ma być austriacki żołnierz? — wołał tatuś. — A to co?

I potrząsał koszulą stryjaskowi przed oczyma.

— To mi dała panna Glancówna w dowód miłości za to, że obiecałem jej wieczorny spacer po kępie, gdzie mieliśmy się całować w oczy.

A tatuś brał po kolei pomięte krawaty leżące w głowach pryczy pod poduszką.

— A to co? A to?! Wstydz się! Tylko wstyd mi przynosisz!

Stryjaszek uklęknął, po czym wstał i wyrwał te bezcenne dary, i zaczął wpychać je z powrotem pod końską derkę, leżącą w nogach posłania.

— To są prezenty od najładniejszych dziewczyn za obietnicę, że wezmę je ze sobą i pokażę, gdzie mieszka cesarz.

— A to co znowu? — przestraszył się ojciec i potrząsał stryjkowi przed oczyma damskim stanikiem.

— To mi ofiarowała panienka od Hawerdów jako najpiękniejszy dowód swojej miłości — wykrzyknął stryjaszek i wyrwawszy ojcu ten stanik, wsunął go sobie pod marynarkę.

Ale im bardziej usiłował ojciec stryjaszka Pepi wobec pozostałych pracowników browaru poniżyć, aby go zhańbić, tym surowiej wszyscy spoglądali na ojca, tym ostrzejszy wyrzut taił się w ich oczach, a potem jeden po drugim spluwali

i każdy wracał do swojej pracy. Został tylko pan piwowar, stał na szeroko rozstawionych nogach, podparty pod boki, i z ogromnie złym uśmiechem powiedział:

— On, to znaczy pan Józef, ciągle myśli, że skoro jego brat jest kierownikiem browaru, to może sobie na wszystko pozwolić. Już od rana nie pracuje, bo jakże zresztą mógłby pracować, jeśli wrócił z miasteczka o wpół do piątej rano... No i jak ja mam to zapisać? Nie usprawiedliwiona nieobecność, czy też potrącić mu ten dzień z urlopu?

I stojąc tak otworzył księgę raportową, i cieszył się, i śmiał, bo wiedział, że tatuś nie ma nic na obronę stryjcia, że wszystkie atuty ma on, piwowar browaru, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

— Dzień z urlopu — powiedział tatuś i usiadł na pryczy, i zamknął oczy, miał na sobie najładniejszy garnitur, bo za godzinę miało się rozpocząć posiedzenie rady nadzorczej browaru i on miał na nim przedstawić raport na temat, jak zwiększyć sprzedaż piwa. A ja stałem, wciąż jeszcze z palcami na pasach tornistra z zeszytami i książkami, tak jak przybiegłem ze szkoły, stałem tak więc i patrzyłem na grupkę robotników i na ojca pochylonego nad stryjaszkiem Pepi, i wstydziłem się nie za ojca, nie za stryja, nie wstydziłem się nawet za pana piwowara, ale wstydziłem się tak ogólnie, wstydziłem się tego, że stryjek jest taki bezbronny, że ojciec jest taki niewinny, że obaj są jeszcze mniejszymi dziećmi niż ja...

Jednakże najmniejszym dzieckiem w miasteczku był bez wątpienia stryjaszek Pepi, bo był opuszczony. Kiedy stryjaszek Pepi w marynarskiej czapce kroczył wieczorami na spotkanie z najpiękniejszymi panienkami, całe ulice wychylały się i wyplątywały spośród firanek, każdy obywatel pragnął podać stryjciowi rękę, wymienić z nim kilka zdań, ale w zasadzie stryjaszek Pepi był bardziej opuszczony niż stara wariatka Laszmanka, ta, co to spała pod mostem, zawinięta w łachmany, a w zimie siadywała pod kościołem z garnuszkiem w ręku, staruszka, za którą chłopcy biegali i pokrzykiwali za nią:

— Starucho, gdzie masz te swoje miliony?

A ona wdawała się z wyrostkami w rozmowę o swoich posiadłościach, o tym, że jest hrabiną, ale nie może tych swoich majątków odnaleźć...

Stałem i nagle ojciec wydał mi się miły. Dlatego że był słaby, wydawał się silny, dlatego że był dla nas tak wyrozumiały i wybaczący wszystko, jawił mi się jak Jezus Chrystus przebrany za kierownika browaru. Każdy inny tatuś za te ekscesy wyrzekłby się stryjaszka Pepi, każdy inny ojciec za to, że kazałem sobie wytatuować syrenkę na piersiach, syrenkę z nagimi cycami, każdy inny posłałby mnie do domu poprawczego, ale mój tatuś wybaczył mi to i wierzył, że kiedyś się poprawię, że mi „zaskoczy”, że jestem niczym ten „Orion”, że któregoś dnia mimo wszystko przeniknie tajemnicę, dlaczego ten silnik nie jest w porządku, i usunie niedomogę, i w ten sposób odniesie nad nim zwycięstwo!

Ni stąd, ni zowąd poczułem, że zrobiło mi się ciemno przed oczyma, podskoczyłem i pocałowałem ojca w rękę, i wymamrotałem przez łzy, że wszystko

będzie lepiej, że dopiero teraz pojąłem, kim jest mój ojciec, mój tatulek, który siedział teraz na pryczy, odkorkował ponownie flaszkę amoniaku i wdychał zapach amoniaku, aby dojść po tym wszystkim do siebie.

— A więc, Józku — powiedział łagodnie — jak sobie to wyobrażasz? Chcesz jechać z powrotem do domu, na Morawy?

Stryjaszek tak się przestraszył, że ukląkł, złożył ręce, przeraził się, że musiałby wracać tam, skąd przed dziesięciu laty przyjechał do nas z dwutygodniową wizytą.

— Wszystko, tylko nie to!

— Dobrze więc! Jak to sobie wobec tego wyobrażasz?

— Rozpocznę nowe życie!

— A co znaczy ta farba olejna na policzkach?

— Pomalowały mnie tak śliczne panienki, kiedy odgrywaliśmy w „Awionie” piękną scenę z łaźni tureckiej! — stryjaszek uśmiechnął się z dumą.

— A ta rana na czole?

— To znów zdarzyło się w „Tunelu”, jak Olanek chciał, żebym odegrał króla Faruka i jego sławny wjazd do Pragi... A kiedy już siedziałem na osie, Olanek dał mu pieprzu do powąchania i ten osioł wierzgnął, i zrzucił mnie z siodła, tak że rąbnąłem o kolumnę. Też mi powód do natrząsania się, bracie! — wołał stryjaszek i poprawiał posłanie, po czym razem z moim tatusiem z powrotem postawili żelazne łóżko w kącie.

— Tak — powiedział ojciec w drzwiach — dzisiaj masz wolny dzień, wieczorem przyjdź na kolację, raz jeszcze kupię kajecik i będę ci prowadzić rachunki. Winien, ma. Ale to ostatni raz! A potem już tylko powrót na Morawy, do domu!

Pod wieczór stryjaszek Pepi przyszedł ogolony, pokornie niósł marynarską czapkę w papierowej torebce. Usiadł w kuchni i zastanawiał się, jak udobruchać matkę, która udawała, że szuka czegoś to w spiżarce, to znów na strychu. Kiedy wróciła do kuchni, kiedy spostrzegła, że stryjaszek chce jej coś powiedzieć, uklęknęła i cała wsunęła się do kredensu pomiędzy garnki. A potem pochylała się nad kuchenną płytą, podzwaniając rynkami i rondlami.

— Szwagierko — spytał stryjaszek nieśmiało — masz może papierosa?

— Nie mam — odparła matka.

— No to masz tu jednego w najlepszym gatunku, damskiego! — stryjaszek ucieszył się i zaczął szukać po kieszeniach, a kiedy wreszcie znalazł, podał mamusi niebieskiego papierosa ze złotym ustnikiem.

Mamusia przyniosła głęboki talerz z sosem chrzanowym i knedle i postawiła przed stryjaszkiem. Zamknął oczy i oddychał ciężko, ale powstrzymał się. Matka stała przy kuchni, patrzyła na stryja, a potem podeszła do stołu i zabrała talerz, i zamierzała go wynieść wraz z knedlami...

— Jeśli nie masz ochoty... — powiedziała. I dodała: — To chińska potrawa!



— Co takiego? Sos chrzanowy z knedlami? To była ulubiona potrawa biskupa Preczana! Potrafił wrębać dwadzieścia knedli i wiadro sosu. I jeszcze sobie dobierał! Gdyby tak był jeszcze sos chrzanowy!

— Podjadłbyś sobie?

— I to jeszcze jak!

— No to jedz, póki ciepły — powiedziała matka i przyniosła wazę z sosem chrzanowym i jeszcze jeden talerz knedli. A potem usiadła naprzeciwko stryjaska, podparła dłońmi brodę i patrzyła, jak stryjasek jadł: jeden knedel za drugim znikał w jego wygłodniałych wnętrznościach. A kiedy przysunął sobie drugi talerz z suchymi knedlami, mama wstała i przyniosła garnek, i chochlą polała knedle sosem z chrzanu.

Stryj jadł, mama uśmiechała się, a kiedy spostrzegła, że po sosie chrzanowym stryjasek jest jeszcze głodniejszy, postawiła na płycie kuchennej pieczone ogonki wieprzowe z kapustą.

Stryjasek pociągnął nosem i powiedział:

— Nieboszyk cesarz Franio najbardziej lubił wieprzowinę z kapustą, a do tego piwo!

— I ty też to lubisz? — zdziwiła się matka.

— Jeszcze jak! — wyznał stryjasek Pepi i uśmiechnął się, pomalowane olejnymi farbami policzki lśniły czerwienią i błękitem, uśmiechnął się i rozejrzał, popieścił oczyma każdy sprzęt, a kiedy opisał koło, objął wzrokiem stojący za nim kredens, gdzie siedział kot Celestyn i mruczał.

— I ty, niedźwiadku, i ty tu jesteś? — powiedział i pogłaskał kota, który przylgnął do jego dłoni. — Psiakrew, ten ci ma łeb! Myśmy też mieli w domu dwa takie koty, jeden nazywał się Gabryś, a drugi Konduś. Co tydzień przynosiły zająca.

Powiedziawszy to stryjasek patrzył, jak matka kładzie na talerzu knedle z dwoma wieprzowymi ogonkami i dwiema chochlami kapusty.

— Szwagierko — oświadczył — teraz to ty jesteś najładniejszą niewiastą w miasteczku. Ten sam system co ślicznotki w Siedmiogrodzie, gdzie bywały najpiękniejsze kurwy nie tylko całej Cislitawii, ale i Translitawii.

Matka niosła właśnie talerz z jedzeniem.

— O, dziękuję ci bardzo — powiedziała.

— Nie ma za co — powiedział stryj i zaczął najpierw zajadać knedle z kapustą, a mama znów siedziała naprzeciwko niego patrząc z ogromnym zainteresowaniem, bo stryjasek Pepi jadł jakby za nią.

Przyszedł ojciec, usiadł obok stryja, rozłożył czysty kajecik, otworzył szufladę w stole i wyciągnął kałamarz z atramentem i pióro, i napisał na czystej kartce:

*Winien*

*Ma*

- No tak, zaczynamy to nowe życie. Dostaniesz dziesięć koron dziennie na drobne wydatki i raz na tydzień na inne kosza oraz pięć koron na opierunek. Zgadzasz się?

— Uhm — mruknął stryjasek Pepi i trzymając oburącz wielki wieprzowy ogon wysysał z niego sos i zębami walczył ze skórą i ścięgnami, które mocno spajały kosteczki. Z całej siły odciągał je od zębów wbitych głęboko w ogon, z całej siły, aż skóra w końcu puściła i stryj uderzył się mocno w tył głowy, ale nie przerwał ogryzania wieprzowego ogona.

Tatuś wpisał w kąciku w rubryce *Ma* sto trzydzieści koron, tygodniowy zarobek stryja, po czym zaś w rubryce *Winien* pięć koron za obiad i kolację.

— A przede wszystkim — powiedział ojciec — jak będziesz szedł do gospody, to lepiej wsadź pieniądze pod wyklejkę do buta, żeby ci dziewczyny nie wyciągnęły. I ucz się oszczędzać, rozumiesz?

— Uhm — warczał stryjasek zezując na drugi ogon, trzymał go w palcach mocno niczym kaczan kukurydzy, zezował nań i ogryzał mięso, twarz miał tłustą, wymalowane olejną farbą policzki błyszcząły mu aż po uszy. I teraz stryj znowu wgryzł się w ogon i szarpał się z nim, walczył z tym wieprzowym ogonem jak austriacki żołnierz, napinały mu się mięśnie na chudej szyi, występowały żyły jak powrozy, kiedy tak ciągnął rękoma wieprzowy ogon, w który wgryzły się mocno jego zęby. I ścięgna puściły wreszcie, i stryjasek Pepi po raz drugi uderzył głową w kredens.

— I tu mi to podpisz — powiedział tatuś przysuwając kajecik i podając pióro.

Stryjasek Pepi wziął pióro, odłożywszy nadgryziony wieprzowy ogon na talerz, wziął pióro, a kiedy podpisywał tłustymi rękoma, kot Celestyn skoczył na stół, porwał wieprzowy ogon i wpadł z nim pod łóżko. Widząc to stryjasek Pepi bez namysłu jak bramkarz rzucił się robinsonadą pod łóżko. Mamusia stała zdumiona, a tatuś zerwał się, bo pod łóżkiem wrzeszczał stryjasek Pepi i miauczał kot Celestyn, a potem zaczęła się walka, stryj głową, a Celestyn grzbietem uderzali o deski podtrzymujące drucianą siatkę i znów krzyk stryja i szamotanina, i znów uderzenia głową i grzbietem o deski. . .

A potem chwila ciszy, stryjasek Pepi, jakby schodził z leżącej drabiny, wyłaził spod łóżka, od stóp do głów szary od kurzu, ale trzymał wieprzowy ogon, potrząsał nim i wykrzykiwał:

— Austriacki żołnierz zawsze musi być zwycięzcą!

I usiadł przy kredensie, i wgryzł się w wieprzowy ogon, wysysał sos z kurzem, zezował na mięso, a spod łóżka teraz dopiero wypełznął kot Celestyn i wbiegł do pokoju, gdzie pisałem nadobowiązkowe wypracowanie domowe, i ugryzł mnie lekko w podbicie nóg skrzyżowanych pod stołem, na którym leżał zeszyt.

A z kuchni rozległ się po raz trzeci głuchy odgłos, bo wieprzowy ogon znów ustąpił w ścięgnach i stryjasek Pepi raz jeszcze uderzył głową o kredens.

# ŠKODA CZTERYSTA TRZYDZIEŚCI

Od czasu kiedy to administracja browaru zakupiła škodę, ojciec stał się zadumany. Jeździł już tym samochodem cały kwartał po wiejskich gospodach i škoda czterysta trzydzieści za każdym razem wracała o własnych siłach, nigdy nie szwankował zapłon, nigdy nie psuł się gaźnik, silnik nigdy się nie przegrzewał, ale wprost przeciwnie, im więcej się jeździło i im dłuższe pokonywało trasy, tym sprawniej ten silnik pracował.

Ojciec pocieszał się, że jak przyjdzie listopad, to błotniste szlaki i polne drogi na pewno utrudnią pracę silnika. Okazało się jednak wprost przeciwnie: škoda czterysta trzydzieści jeździła w plusze coraz lepiej, zupełnie jak ten wół z browaru — Bubi. A było to tak. Kiedy chłopci nie mogli wyciągnąć wyładowanej ziarnem fury, a konie na bagnistym polu do tego stopnia stawały się narowiste, że nawet bicz już nie pomagał, przychodzili do browaru, żeby im pożyczyć Bubiego, który naciągał na siebie rzemienie i chomąto, spoglądał na wystraszone konie, po czym kładł się niemal w uprzęży, zapierał się całą wagą swoich dwunastu cetnarów, wstawał i ruszał, i w ten sposób wyciągał wyładowany wóz wraz z pszenicą i końmi na drogę. I cały był spocony, zupełnie biały, furmani wycierali go słomą, a Bubi spoglądał na konie, które wpatrywały się w ziemię, i powoli wracał do browaru.

Taką samą siłę miała też ta škoda czterysta trzydzieści. Nawet gdy ojciec gnał ją przez pola i łąki, pokonywała wszystkie przeszkody. I ojciec siadywał w domu, i miał przed sobą książkę, w której znajdował się rysunek škody, gdzie nakreślono silnik i jego części, studiował tę książkę i w miarę tej lektury stawał się coraz smutniejszy, bo nie znajdował powodu, by silnik rozmontować. A tatuś tak lubił montować w sobotę! Postanowił więc, że w najbliższą sobotę rozbierze cały silnik, aby dociec, dlaczego tak dobrze jeździ. A stryjasek Pepi chodził do nas znowu na obiady i kolacje i wobec tego nie mógł odmówić.

W długim garażu, w najgłębszym kącie, stał motocykl marki „Orion”, ojciec przykrył go ogromną płachtą, aby „Orion” nie widział, że w przedzie stoi škoda czterysta trzydzieści, tatuś tego motocykla nie sprzedał, mówił, że jakby się z nim,

to jest tatusiem, coś stało, to żebyśmy mu ten motocykl marki „Orion” postawili na grobie zamiast pomnika.

W sobotę po południu ojciec rozłożył przed otwartymi wrotami garażu worki, stryjaszek wyciągnął się na nich na wznak, ojciec zaś z wolna wycofał samochód i zatrzymał go nad stryjem. Škoda była zabłocona od kół aż po dach, zaschnięty gnój i wytloki z cukrowni pomieszane ze stwardniałą na kamień ziemią tworzyły sterczące stalaktyty i spoistą warstwę, której nie dało się już zmyć. Tak więc tatuś zatrzymał samochód nad stryjem, każdy z nich wziął młotek i tak jak ongiś, kiedy to stryjaszek obtłukiwał kamień z kotła, tak teraz obaj bracia stukali i obtłukiwali to zaschnięte błoto.

— Józiu — odezwał się ojciec — patrz na moje ręce. Jak zajrzemy do silnika, i ty będziesz mógł się czegoś nauczyć. Bardzo chciałbym przekazać komuś wszystkie te moje wiadomości. Nie chciałbyś zostać szoferem?

— Nie chciałbym — odparł stryjaszek. — Wiesz, człowiek nie powinien zbyt wiele wiedzieć. Taki Jaś Sachrów na ten przykład w niedzielę przed południem wypytywał w artyleryjskich koszarach podoficera, jak się uruchamia armatę, a ten mu wszystko tak dokładnie wytłumaczył, że Jasio Sachrów po południu tę armatę odbezpieczył, no i armata potoczyła się po stoku i wyjechała przez bramę, i pędziła dalej po stromej drodze, ludzie ledwie nadążali odskakiwać na boki za drzewa, aż w końcu się ta armata zatrzymała w parku. . .

Stryjaszek opowiadał ze swadą, a kiedy przypomniał sobie, że w miasteczku czekają na niego ślicznotki, zaczął mocniej walić młotkiem w zaschnięte błoto, tak że to stwardniałe bagno odpryskiwało i wpadało do oczu.

— Psiakrew, Józiu, draniu jeden, co ty wyrabiasz?

Ojciec parskał, oczy pełne miał ostrych okruczeństw błota i nic nie widział. Musiał chwilę poczekać, aż pył wypłynie ze łzami.

— Sam powiedz, Józiu — zaczął ojciec — czy nie przyjemniej tak oto montować i dociekać ukrytej tajemnicy, dlaczego ten silnik tak wspaniale pracuje? Czy to nie przyjemniejsze niż rozmowy z panienkami w barze? Te oto przewody prowadzą do hamulców, widzisz? A to jest bęben hamulcowy.

— Jeśli cię to bawi — powiedział stryj i obtłukiwał młotkiem zaschnięte błoto, a kurz i piasek opadały i unosiły się nad škodą, tak że ojciec nic przed sobą nie widział i musiał wymacywać wał kardanowy. Stalową szczotką czyścił podwozie i nie widział, co robi, musiał się kierować wyłącznie dotykiem, tyle zeschniętego błota stryjaszek odłupał, przypuszczając, że im wcześniej skończy, tym wcześniej pojawi się na Zofiówce, u pięknych panienek w „Awionie”. I rozgadał się.

— Tego się, braciszku, nie da porównać: błota i pięknych panienek. Taka Własteczka od Hawerdów to europejski renesans. Stary Szwec, co trzyma bank przy ruletce, daje mi tysiące do przechowania. A kiedy nie pada główna wygrana, daje mi parę groszy na szczęście. A Własteczka zaatakowała mnie wczoraj: czemu

z nią nie rozmawiam, czemu się do niej nie zalecam. „Zajmij się mną trochę, ty byku!” — powiedziała.

Stryjaszek wydzierał się i tłukł młotkiem, on też już nic nie widział, zaschnięte błoto spadało braciom na twarze, ojciec kichał i dwa razy uderzył czołem w podwozie. W końcu wygramolił się, obrócił na łokciach, aby zaczerpnąć powietrza. A kiedy na łokciach i kolanach wypełznął spod samochodu cały, piersiami pchał przed sobą ogromną pryzmę błota.

A stryjaszek, przywalony bez mała opadającym błotem, nadal tłukł w podwozie škody i nadal chwalił Własteczkę, ślicznotkę od Hawerdów.

— Tfu! Tfu! — prychał ojciec. — Że też stary Hawerda wam na to pozwala. I wylaż stamtąd wreszcie! — wołał tatuś pod samochód.

— Nie mogę! Nijak nie mogę! — krzyczał stryjaszek.

— No to leż! I nie ruszaj się!

I ojciec wsiadł do samochodu, włączył silnik i podjechał trochę, aż do garażu, zatrzymując się tuż obok warsztatu, pod żarówką. Kiedy wysiadł i wrócił przed garaż, stryjaszek Pepi leżał tam na wznak, cały zasypany zeschniętym błotem i piaskiem, wokół siebie miał tak wysoki nasyp, jakby na froncie wykopał saperką okop.

— Wstań, Józiu — powiedział tatuś biorąc młotek i dłutko. A potem uniósł maskę i dodał: — Patrz na mnie uważnie, teraz rozbierzemy silnik, bo ta maszyna musi mieć jakąś cholerną wadę, skoro ciągle tak wspaniale pracuje.

I stryjaszek Pepi, oblepiony zeschniętym błotem, z całą twarzą powalaną piaskiem i drobkami błota, cały jakby powleczony cieniutkim francuskim ciastem, patrzył, jak jego brat jedną część po drugiej najpierw obluzowuje w śrubach i nakrętkach, a potem kładzie ją na warsztacie, patrzył i ani w ząb nie pojmował, o co idzie, nic na świecie nie było mu bardziej obojętne niż to, o czym jego brat z takim znawstwem i zapałem opowiadał. Ale stryjaszek Pepi wiedział, że gdyby uciekł, tak jak tego pragnął, jego brat byłby smutny i kto wie, czy stryj nie musiałby znów przestać przychodzić na obiady i kolacje. Wobec tego patrzył, słuchał, a nawet tu i ówdzie rzucał:

— Serio? I tak jest rzeczywiście?

— To niemożliwe!

— Kto by powiedział?

— Nigdy bym się tego nie domyślił!

A tymczasem ojciec sięgał w głąb wnętrza kolejnych części i mówił, jak co się nazywa, a spostrzegłszy, że jego brat tak się tym interesuje, spytał:

— Zanim zdejmemy głowicę silnika i zajrzemy w głąb tej maszyny, powiedz, kim właściwie ta Własteczka była przedtem?

— Fryzjerką! Perekarką! W jakimś praskim teatrze. I opowiadała nam, jak to zasłużyła sobie na najwyższą pochwałę. Byli raz na gościnnych występach gdzieś

w Lounach i grali taki kawałek z życia hiszpańskich wyższych sfer. Coś cudownego. Ten kawałek nazywał się *Cyd*. A kiedy aktorzy byli już przebrani w kostiumy niczym trzej muszkietierowie, zaczęli szukać szkatułki czy kasety ze szminkami i wąsikami, ale okazało się, że ją właśnie zostawili w domu. A cóż to za Hiszpanie bez wąsików???!!!

— A teraz, Józiu, trzymaj mocno: zdejmujemy głowicę silnika, o tak! Wiesz? — wołał ojciec kładąc ostrożnie na warsztacie głowicę silnika, po czym poświecił w głąb wnętrzości lśniących cylindrów i tłoków, mokrych i lśniących od oleju.

— Teraz, Józiu, raz jeszcze wleziemy pod samochód i zrobimy rzecz najmniejbezpieczniejszą: odkręcimy miskę olejową. . . — postanowił ojciec i wsunął pod karoserię klucze i młotek wraz z dłutkiem. I sam pierwszy wlaż pod silnik, olej kapał mu na twarz, ale ojciec na nic już nie zwracał uwagi, zajęty poszukiwaniem klucza do tajemnicy, dlaczego silnik škody czterysta trzydzieści tak beznadziejnie sprawnie funkcjonuje. Stryjaszek Pepi wsunął się za nim, obrócił się na plecy, nogą przysunął sobie żarówkę w ochronnym koszyczku i przyświecał w górę. I tak obaj leżeli na wznak, a ojciec odkręcał śruby mocujące miskę olejową silnika.

— I jakże tam było, Józiu, z tą Własteczką, no, z tą perukarką?

— A więc ta Własteczka nie tyle jak się wyróżniła — ryczał stryjaszek z zapamiętem i strużka oleju spłynęła mu na czoło. — Własteczka porozumiała się z drugą perukarką i zaczęły sobie strzyc włosy, i tyle ich nastrzygły, że im starczyło na wszystkie wąsiki dla hiszpańskich szlachciców. A potem poprzyklepiały te włosy na plastry, powystrzygały te plastry z włosami i przyklepiły je aktorom pod nosy, i grało się jak nigdy, wszyscy aktorzy zachwycali się, że im się gra dużo lepiej.

— A fe, a fe! — prychał ojciec — teraz zdejmujemy miskę olejową, psiakrew, przecież ci aktorzy mogli dostać trądu albo innej cholery! Uwaga, Józku, teraz opuszczę sobie miskę olejową na piersi, a ty podsuń tu ten słoik po ogórkach, który przygotowałem. Zlejemy tam olej!

— Wiem, wiem — powiedział stryjaszek przysuwając ten słoik po ogórkach. — Wiem, olej z tej gruszki.

— Gówno tam z gruszki! — krzyknął ojciec. — Gruszka jest w dyferencjale! Olej z tej miski! A tu mamy pompę, która tłoczy ten olej z powrotem w górę, wiesz?

— Wiem — przytaknął stryjaszek. — Do rozdzielacza, prawda?

— Do dupy! Rozdzielacz jest gdzie indziej — krzyknął ojciec i olej chlusnął mu na piersi.

— Własteczkę — ciągnął stryj oświetlając piersi ojca — Własteczkę spotkał nie lada zaszczyt, bo sam *Cyd*, ten, który grał główną rolę, pogratulował jej, bo już sobie myślał, że stracił węch.

— Co takiego? — ryknął ojciec i ostatnia śruba puściła, miska olejowa oparła mu się na piersiach.

— Węch. Że stracił węch. Cyd myślał, że przestał już na niego działać kobiecy zapach, rozumiesz?

— A fe, a fe! — prychał ojciec. — Józiu, a teraz migiem wypełnij stąd na czworakach i przynieś dwie cegły, dwie deski albo pieńki, to cholernie ciężkie, duszę się, słyszysz, Józku? I opowiadaj o czymś innym. Psiakrew, a mnie co do tego, że ktoś stracił węch?

Stryjaszek Pepi powiesił żarówkę za koszyczek, zaczepił ją o drut od hamulca i wygramolił się spod samochodu, ojciec podtrzymał miskę olejową, w oczodołach miał pełno oleju i nie mógł go sobie wytrzeć, bo oburącz podpierał miskę olejową silnika. Stryjaszek Pepi biegał po drewni, brał polana, przyklękał, ojciec przechylił się na bok, z oczodołów wyciekał mu olej, a kiedy wreszcie przejrzał na jedno oko, krzyknął:

— Na miłość boską, Józku, coś większego! Dwa pieńki.

Stryj biegał tam i z powrotem, ale w żaden sposób nie mógł znaleźć tego, czego ojciec potrzebował.

— Spróbuj, braciszku, śpiewać — pocieszał tatusia. — Tak właśnie postępował Caruso, największy śpiewak na świecie. Ja także, ilekroć śpiewam, ilekroć trenuję, proszę, żeby mi mielcerze kładli na piersi książki, cały stos książek, a ja śpiewam wysokie ce, braciszku, spróbuj zaśpiewać, spróbuj wysokiego ce. Jareczek Pospiszylów, kiedy trenuje, nie uznaje żadnych książek. Siada mu na piersiach piękna dziewczyna! Okrakiem! I dlatego Jareczek Pospiszylów to największy tenor na północ od Alp.

— Józiu, ty świnię niemyta, natychmiast dawaj mi tu te pieńki! Misa przynioła mi brodę i olej leje mi się za kołnierz!

— Co się leje? — Stryjaszek Pepi uklęknął i nasłuchiwał.

— Olej! — dobiegło spod samochodu.

— A dokąd?

— Do gęby, do oczu! Na miłość boską, dwa pieńki!

Stryj podniósł się i biegał rozpaczliwie przed drewnią, potem rzucił się do stolarni, ale dwóch pieńków nie znalazł. Musiał więc tatuś napiąć mięśnie, z ogromną siłą uniósł miskę olejową, który wychlusnęła mu na włosy cały naleśnik smaru, ale udało mu się tę miskę przesunąć poza siebie i postawić ją, opuścić na przesiąkniętą olejem ziemię. A kiedy wysunął się już spod auta do połowy ciała, nadbiegł stryjaszek Pepi z dwoma klockami. Ojciec wyciągnął miskę olejową spod samochodu, wziął ją w ramiona i przeniósł między dwie skrzynie, a potem — na wszelki wypadek — ostrożnie umieścił w jednej ze skrzyń. Obu rękami ocierał twarz i chlapał olejem po ścianach. Potem wytarł sobie twarz szmatką, nalał w dłonie benzyny z kanistra. Umywszy sobie ręce uśmiechnął się.

— A teraz, Józku, zobaczysz coś takiego, że dech ci w piersiach zaprze! — Wskazał pod škodę i sam wsunął się pod nią pierwszy, a stryjaszek Pepi za nim. Tam obrócił się na wznak i teraz ojciec przyświecał żarówką.

Z góry zwisały na czopach wał korbowy ze sworzniami tłokowymi, cylindry, wszystko cudownie lśniące, ciemne, wszystkie części błyszcząły jak piękne stalagmity w podziemnej wapiennej grocie. Ojciec uniósł ręce, obmacywał jedną cząstkę po drugiej, pieścił się ze wszystkimi nakrętkami i śrubami, które odnajdywał po omacku palcami.

— No tak — odezwał się rozczarowany. — Wszystko w najlepszym porządku. Z montowaniem raz na zawsze koniec. Józiu, koniec tych złotych czasów, kiedy montowaliśmy co sobota. Gdzie są owe czasy, kiedy w „Orionie” ciągle coś nawalało, coś się psuło, coś stukało, coś się tam grało. I co ja teraz, Józiu, będę robił? Biorąc pod uwagę, że mam cholernego pecha, ten silnik, ta maszyna wytrzyma cztery lata bez najmniejszej choćby awarii. Na „Orionie” to ja dobrze wyszedłem, ale niewiele pojeździłem. Ze škodą jest chyba na odwrót! Czy to nie straszne? Będę tylko jeździć. Jak powiadam, Józiu, nadszedł koniec złotych czasów! O czym myślisz? Czemu się tak głupio uśmiechasz?

I stryjasek Pepi wystraszył się, bo cieszył się, że już nigdy nie będzie z tatusem montować, że już zawsze co wieczór, a przede wszystkim w soboty, będzie śpiewać i tańczyć, i rozmawiać aż do rana ze ślicznymi panienkami. Żeby jednak brata nie urazić, powiedział:

— Przypomniałem sobie właśnie, że u Hawerdów maszynista pan Nawratil opracował dla Akademii taką broszurę...

— Chyba nie o higienie płciowej? — przestraszył się ojciec.

— Ach nie, nie! Rozprawkę o tym, jak to przez pięć lat obserwował jako maszynista, że w Pradze na dworcu towarowym wróble wsiadają do pociągu towarowego i jadą przez granicę aż do Wiednia, tam włączają się po mieście, lecą sobie nawet nad Schönbrunn, gdzie mieszka cesarz, przysiadają na Katedrze Świętego Stefana i sfruwają sobie potem na Riesenrad i do winnic Grinzingu, a kiedy już mają tego dosyć, tej zabawy, wracają na dworzec, wsiadają do wagonu, najchętniej to stado wróbli z Wierszowic zajmuje pustą platformę, i tak siedząc sobie w wagonie przejeżdżają granicę i bez paszportu docierają z powrotem pociągiem na dworzec towarowy na Žižkowie...

Stryjasek Pepi opowiadał, ojciec zaś, aż po łokcie umazany olejem, obmacywał ostatnie części silnika, z góry co chwila kapąła łoża ciężkiego oleju... W miarę jak to robił, coraz bardziej był przekonany, że za chwilę zacznie składać silnik z powrotem i że kiedy dokręci ostatnią śrubkę i zamknie maskę, będzie to oznaczało koniec montowania, bo montować tylko dlatego, by stwierdzić, że silnik pracuje bez zarzutu, to żadna przyjemność, to nie ma sensu, to nie sprawia człowiekowi radości z odkrycia, dlaczego coś nie funkcjonuje jak należy, szkoda czterysta trzydzieści nie kryje w swoich wnętrznościach tajemnicy, jaka tkwiła w „Orionie”.

Do drewnitni podeszły białe spodnie, musztardowe letniskowe buciki, po czym gość uklęknął na gazecie i pojawiła się puculowata twarz rzeźnika pana Majera.



— Panie kierowniku, chciałbym pana o coś poprosić. Wie pan, trzy razy montowałem z panem „Oriona”, a więc przysługa za przysługę... Czy mam poczekać?

Ojciec powiedział:

— Niech pan siada.

Rzeźnik pan Majer rozejrzał się w półmroku i zanim się kto spostrzegł, usiadł w misie olejowej silnika, rozsiadł się wygodnie jak w fotelu, założył nogę na nogę, a nogi to były potężne, i kręcił laseczkę w palcach.

Tatusz wygramolił się spod samochodu, stałem w jednym z rogów drewni i odwracałem wzrok, ale pan Majer wiercił się w tej pełnej oleju misie, wielka plama rozszerzała się na siedzeniu jego białych spodni, pan Majer jednak kręcił laseczką w palcach i pachniał rumem, i uśmiechał się. Pisałem nadobowiązkowe wypracowanie domowe, kiedy przyszedł do nas mówiąc, że chce rozmawiać z tatusiem, zaprowadziłem rzeźnika pana Majera do garażu, a teraz to się właściwie cieszyłem, że usiadł w tym olejowym fotelu. Nie lubiłem pana Majera, nie tylko dlatego, że zabijał cielęta, ale przede wszystkim dlatego, że czasami brał nóż i walczył z wieprzem tak długo, dopóki go celnie nie pchnął. Nie wystarczyło mu ogłuszyć wieprza pałką, a potem dobić nożem, pan Majer chciał, żeby wieprz jeszcze z nim walczył, a kiedy go wreszcie pchnął, to nasłuchiwał, czy wieprz naprawdę rzezi. Poza tym pan Majer miał taką swoją udoskonaloną metodę: w rzeźni, kiedy prosięta wybiegały z wagonu, pan Majer stał tuż obok i każdemu prosiakowi wbijał nóż w gardło, i prosiak potem biegał w kółko dopóty, dopóki się nie wykrwawił. Dlatego nie lubiłem pana Majera i teraz bardzo się cieszyłem, że siedział w misie olejowej silnika, a tatuś, z rękoma aż po łokcie umazanymi smarami, nie wiedział, jak powiedzieć panu Majerowi, że musi tę misę olejową umieścić na właściwym miejscu...

— Panie kierowniku — powiedział pan Majer — jadę teraz na kolumnadę, na wieczorne uroczystości do uzdrowiska Sadska... Niech pan sobie wyobrazi, że moja żona pije, przez nią nasze interesy znalazły się w niebezpieczeństwie...

— Ale cóż ja mam z tym wspólnego?... — mamrotał ojciec.

— Niech pan posłucha, z pana taki spokojny i mądry człowiek, niech ją pan odwiedzi, przemówi do niej, błagam pana...

Mówiąc to uniósł w mroku na ojca białka oczu, spod auta słychać było, jak stryjaszek Pepi chrapie, żarówka spod samochodu rzucała smugę światła na buty ojca i nogawki pana Majera. Pan Majer wstał, podał ojcu rękę, zapach rumu górował nad wonią oleju.

— Tak, tak, panie kierowniku, jeśli pan jej to wyperswaduje, będę panu ogromnie wdzięczny. Bo właściwie to tak trochę i pan ponosi tu winę... Kiedy montowałem z panem po raz pierwszy, powiedział pan, że zajmie to godzinę, najwyżej dwie, a wróciłem do domu dopiero w niedzielę przed południem, zakłopotany, nie wyspany, a żona, jak to żona, płakała i myślała, że — mimo iż napisał

jej pan list — myślała, że łajdaczyłem się z dziewczuchami, no i zaczęła pić. Błagam pana, niech pan z nią porozmawia. Dziękuję. . .

I zapach pomadek z rumem zaczął się oddalać, jakby rzeźnik usiadł w całej bombonierce z pomadkami z rumem albo w pudełku wiśni w czekoladzie. Pan Majer odszedł, ciemna plama na tyłku złała się już z mrokiem wieczoru, oddalały się tylko białe nogawki, letnie spodnie białe od kolan w dół.

Ojciec uklęknął i zawołał:

— Józiu! Józiu!

A potem obszedł samochód i z drugiej strony wołał stryjaska po imieniu.

Ale stryjasek Pepi jeszcze głośniej chrapał.

Ojciec ujął sterczące spod auta buty stryjcia, chwycił stryjcia za kostki i wyciągnął go, umazał całego stryjcia olejem, ale stryjcio chrapał i tak jakoś wyglądał, jakby go właśnie przed chwilą przejechała ta škoda czterysta trzydzieści, jakby pchała go przed sobą, obróciła kilka razy i dopiero potem przejechała tylnym kołem. Tak więc stryjasek Pepi umazany był na rękach i na twarzy, bo razem z tatusem udało im się wpaść na trop cichej tajemnicy, dlaczego silnik škody pracuje tak cicho i ciągle bez awarii. . .

Ojciec chciał mi coś powiedzieć, ale ja go uprzedziłem:

— Muszę dokończyć moje nadobowiązkowe wypracowanie domowe.

# PIĘKNA PANI RZEŹNIKOWA

Nikt i nigdy w naszym miasteczku nie widział, aby stryjaszek Pepi i kierownik browaru chodzili gdzieś razem. Niosłem walizeczkę z urządzeniem fulguracyjnym, mamusia bowiem powiedziała, że tak będzie lepiej, bo pani rzeźnikowa, pani Majer, miała piękne włosy, takie same włosy, jakie mamusia kazała sobie już dawno obciąć. Szliśmy tak pod wieczór uliczkami, ludzie wychylali się z okien i patrzyli na przechodniów, stali wychyleni, a za nimi zwisały firanki; widząc obu braci obywatele wahali się. Jako przyjaciele stryjaszka Pepi chcieli przywitać się z nim i wypytywać się o drobiazgi, widząc jednak tatusia, bali się jednocześnie, że to jakiś podstęp pana kierownika browaru, że nagle zapyta ich, co robią w sobotę po południu, i nim się spostrzegą, tatuś im powie:

— No to proszę przyjść na godzinkę, najwyżej na dwie godzinki, przytrzymać mi nakrętki!

I kiedy szliśmy tak wśród wieczornego zmroku, ludzie wybierali metodę złotego środka, usuwali się z okien, wyplątywali z firanek i czekali, dopóki nie przeszliśmy. Tak dotarliśmy aż do schodków sklepu rzeźniczego pana Majera. Na hakach w blasku opuszczonej lampy osłoniętej gazetą wisały wieprzowe podroby i ochłapy wołowe, kilka wianuszków serdelków, a na rzeźnickim pieńku polśniały noże.

Pani Majerowa w białej chusteczce siedziała na krześle i wpatrywała się tępo w swoje nogi, napiła się z garnuszka i w zamyśleniu rozwinęła cukierek ślazowy, wyrzuciła ślazówkę, a do ust włożyła papierek po cukierku. Staliśmy na schodach i patrzyliśmy na panią rzeźnikową, która teraz wzięła widokówkę, uniosła fartuszek i zaczęła starannie wycierać tę pocztówkę, po czym zamyślona sięgnęła po okulary i chciała zamiast okularów włożyć na nos pocztówkę i przeczytać coś z okularów. Przez chwilę poruszała tak chaotycznie rękami, aby w końcu odłożyć okulary, i widokówkę.

Ojciec dał znak: weszliśmy, marynarska czapka stryjaszka uradowała panią rzeźnikową, a kiedy spojrzała na ojca, od razu wiedziała, po co tatuś przyszedł.

— Oho, mistrzu — odezwała się. — Zatańczymy?

— Zatańczymy — odparł ojciec — ale najpierw, proszę pani, ściągniemy żaluzję i na wszelki wypadek zamkniemy sklep.

Pani rzeźnikowa podniosła się, upiła łyk z garnuszka, na którym wił się błękitny napis: „Pamiętka z Hlinska”, po czym zapaliła światło w kuchni i przyniosła patefon, i opadła z nim ciężko na rzeźnicki pień, muchy zerwały się i okropnie wzburzone latały w rojach, i brzęczały jak szalone, po czym siadały z powrotem na zakrwawiony pień i ssały zakrzepłą krew i okruchy mięsa. Potem przyniosła trzy krzesła i wzięła hak do ściągania żaluzji. Wychodząc nie policzyła schodków i noga jej się osunęła z ostatniego stopnia, i jej biała bluzeczka zniknęła, ale wkrótce pani rzeźnikowa pojawiła się w oszklonych drzwiach, następnie zaś na wystawie po drugiej stronie; długo usiłowała nawlec hak w ucho żaluzji.

Ojciec powąchał garnuszek z napisem: „Pamiętka z Hlinska” i skrzywił się kwaśno. Ale pani Majerowa z łoskotem ściągnęła żaluzję, falista blacha zagrzmiała niczym grom. I już wchodziła po schodach, po czym zamknęła za sobą drzwi i ściągnęła żaluzję. A kiedy szła wzdłuż haków, na których wisiało mięso i kiełbasy, poruszała ramieniem podroby i żyłastą wieprzowinę i z każdego kawałka zrywały się roje błyszczących metalicznie much, leciały w półmroku wprost w blask opuszczonej lampy, cały sklep rozbrzmiewał brzęczeniem świadczącym o gniewnym wzburzeniu, irytacji, uderzały panią rzeźnikową w twarz, obijały się o wyłożone kafelkami ściany. Zmęczone, z wysiłkiem powracały na mięso.

— Cóż to, przestrzega tu pani godzin kanonicznych, pani mistrzowo? — spytał stryjasek.

— A cóż mam robić, skoro mój mąż ugania się za babami — powiedziała pani rzeźnikowa, siadając ciężko na krześle, jej biała chusteczka zaślniła w blasku żarówki niczym turban. Siedziała wpatrując się tępo w swoje nogi.

— A więc, żeby nie było nieporozumień — odezwał się tatuś — pani małżonek przez trzy wieczory i całą noc z soboty na niedzielę montował ze mną.

— Pan tak tylko mówi, ale ja tam wiem swoje. . . — Pani Majerowa wzruszyła ramionami i oparła się o pień, uniosła wieko patefonu, nakręciła sprężynę, po czym nastawiła płytę i w sklepie rozległy się uroczyste tony muzyki i chór kościelny zaśpiewał:

Świętej miłości Anioł lśni  
w błękitnym morzu złotych gwiazd. . .

Pani Majerowa usiadła, oparła się łokciem o pień i złożyła głowę na dłoniach, lecz w tej chwili turban się jej ześliznął, a ja wprost osłupiałem, kiedy aż do ziemi rozsypały się długie złote włosy, pasma rudych włosów, które w blasku lampy iskrzyły się i tchnęły światłem. Siedziała tak tępo, a ja zaczynałem rozumieć, dlaczego matka posłała mnie z ojcem, bo widziałem, jak tatusiowi rozszerzyły się oczy, wpatrywał się tylko w te włosy, które go urzekły.

— Jakoś ta muzyka trochę ślamazarna — powiedział stryjasek.

Pani rzeźnikowa wstała, podniosła te swoje włosy w górę niczym pochodnię, te jej włosy rozplynęły się, spod żarówki opadły na krzesło, pani rzeźnikowa palcem odgarnęła pasma włosów z czoła, pochyliła się nad patefonem i wymacawszy dźwigenkę szybkości obrotów przesunęła ją i chór śpiewał teraz tak szybko, jak szybko biegają kobiety na filmie. I pani Majerowa znów opadła na krzesło, znów jej włosy świeciły, i cały sklep był ich pełen, te włosy pozwoliły nawet zapomnieć bez reszty o fetorze wieprzowych flaków, uciszyły się nawet złotobłękitne muchy. A jednak najbardziej przestraszony wydawał się ojciec. Stryjaszek Pepi siedział, jego biała marynarska czapka przypominała mleczny żyrandol, siedział i kręcił młynka palcami.

— A więc niech mnie pani posłucha, pani Majerowa — powiedział ojciec drżącym głosem, z trudem poznawałem jego głos, tak bardzo mu drżał. — Przyśłała mnie tu ksiądz dziekan, żebym pani przemówił do rozsądku: nie powinna pani tyle pić!

— Ksiądz dziekan! — odezwała się potrząsając smutnie głową. — On? Przecież sam wypija dziesięć ćwiartek wermutu.

— Ale od północy nie bierze już do ust ani kropelki i rano odprawia mszę świętą. Jego picie nikomu nie zagraża. Biblia jest przeciwna obżarstwu!

Pani rzeźnikowa podniosła oczy i spostrzegłem, że bystro wpatruje się ojcu w oczy, widziałem, że nagle wcale nie jest pijana, że to, co powiedział ojciec, przywróciło jej przytomność.

— Obżarstwu tak. Ale co to jest obżarstwo? To tutaj! — Obróciła, się i wskazała grubym paluszkim podroby, i flaki, i serdelki. — Ja tylko piję, a w Biblii nie ma nigdzie ani słowa o zakazie picia! — Pani Majerowa pochyliła się i jej włosy legły na pieńku, muchy zerwały się wzburzone i latały tak szybko, że kreśliły błękitne smugi, krążyły wokół głowy pani rzeźnikowej tworząc krzywe sił.

Ojciec przestraszył się, wstał, uniósł te rude włosy, aby nie umazały się krwią, i trzymał je, i te pasma włosów drżały mu w rękach, grube i gęste niczym dwa końskie ogony.

— Mam skończone liceum — powiedziała pani Majerowa i spoglądała tatusiowi w oczy, a tatuś z kolei wpatrywał się w jej oczy, a ja widziałem, jak między tymi ich oczyma przeskakuje iskra, ojciec trzymał jej włosy, ona zaś wpatrywała się w twarz ojca, płyta się skończyła, igła z sykiem rysowała czarną masę. Przestraszyłem się nagle, zacząłem się teraz bać, bo mamusia kładła mi na serce, że mam na tatusia uważać. Wziąłem więc czarną walizeczkę i otworzyłem ją, ojciec wciąż jeszcze trzymał te rdzawe włosy pani rzeźnikowej, pani rzeźnikowa natarczywie wpatrywała się tatusiowi w oczy. Postawiłem otwartą walizeczkę na pieńku, w blasku światła zalśniły wyłożone szkarłatnym aksamitem ścianki walizeczki, a między nimi leżały neonowe instrumenty, promieniowanie fulguracyjne, które, jak tylko włoży się je w kontakt na ścianie, zacznie wydawać te swoje fulguracyjne prądy.

— Czy nie pora już na kurację, tatusiu? — spytałem.

Stryjaszek Pepi pochylił się i patrzył na szkarłatny aksamit, a tam tkwiły w uchwytach neonowe rurki najrozmaitszych kształtów; jeden z tych pustych wewnątrz instrumentów kończył się wałeczkiem, drugi miał na końcu stalową szczoteczkę, trzeci rozdwajał się, aby go można było włożyć do nosa, czwartym był neonowy grzebień, pusty wewnątrz i tak duży jak końskie zgrzebło, piąty miał na końcu długi wałek, w którym znajdowała się skrzycona spirala ze stali... Stryjaszek uśmiechał się do tych leczniczych rurek i wzięwszy ten długi instrument powiedział:

— Psiakrew, Francinku, musisz mi to pożyczyć! Wezmę to ze sobą do Hawerdów.

Tatuś ocknął się, opuścił włosy pani rzeźnikowej na ziemię, wyrwał stryjaszkowi neonową rurkę i zawołał:

— Widzieliście go?! Ja to przyniosłem dla pani, pani Majerowa — powiedział i głos mu drżał. A potem wyjął z walizeczki długi przewód, włożył go do kontaktu w ścianie, wziął bakelitowy uchwyt, umieścił na nim próżny wewnątrz neonowy grzebień, nacisnął guziczek i uniósł grzebień; w jego wnętrzu iskrzyło się błękitnie, ojciec uniósł go wysoko w półmrok pod sufitem, i błękitne światło padało w dół na rude włosy pani rzeźnikowej, a włosy te także iskrzyły.

— Ja wcale nie chcę — mówił ojciec — żeby pani przestała pić, ja chcę, żeby piła pani w miarę, żeby nie piła pani z żalu, ale ot, tak sobie, czasami, po prostu z radości... I temu właśnie służą tę prądy fulguracyjne i ich promieniowanie...

Pani rzeźnikowa podniosła wzrok i patrzyła w górę, i ja teraz wiedziałem z całą pewnością, że mamusia miała rację bojąc się, kiedy tatuś postanowił leczyć panią Majerowa prądami fulguracyjnymi.

— Byłoby to znacznie piękniejsze, gdybyśmy zgasili światło. Mistrzu, tam jest kontakt!

Stryjaszek wymacał w półmroku guzik i zgasił żarówkę, a ja musiałem przyznać, że czegoś tak pięknego w domu nie widziałem. Nawet stryjaszek Pepi nastawiał wierzchy dłoni i przypatrywał się tym błękitnym rękoma, tak jakby nie należały do niego.

— Psiakrew, musisz mi to pożyczyć! Wezmę to dla tych inteligentnych ślicznotek z „Anionu”! — zawołał.

— Widzieliście go?! — powiedział tatuś, a ja widziałem, że wchodzi na cienki lód, że za chwilę będzie zgubiony, grzebień drżał mu w ręku, i to wcale nie ze wzburzenia, ale z czegoś zupełnie innego, było to całkiem to samo co ze mną, i ja tak drżałem, kiedy ta dziewczyna z czwartej gimnazjalnej prowadziła mnie przez strych męskiego i żeńskiego gimnazjum, kiedy stała przede mną i patrzyła nie na mnie, ale w głąb mnie, a ja słyszałem, jak bije mi serce, zupełnie tak samo tatusiowi w rytm serca pulsował ten neonowy grzebień. I oto ojciec usiadł na krześle, które postawił tuż za krzesłem, na którym siedziała pani rzeźnikowa, wło-

sy jej opadały aż na ziemię, tatuś siedział za nią, iskierki neonów przeskakiwały we włosy, tatuś dotknął grzebieniem włosów i przesunął aż do ziemi to neonowe zgrzebło, włosy przeciekały przez nie jak strumienie wody przez jaz i czeluść przy młynie, ojciec uniósł rękę i znów dotknął grzebieniem włosów na ciemieniu, i znów przesunął go aż do dołu, powietrze w sklepie pachniało ozonem, jakby przy każdym tym akcie czesania rozbłyskiwała błyskawica i uderzał grom. A tatuś w świetle neonu raz po raz wachał włosy, ot tak, jakby przypadkiem, patrzyłem już nie tyle na grzebień, ile na ojca, a potem na panią Majerową, która miała zamknięte oczy i twarz jej wyrażała szczęście i zadowolenie, a przede wszystkim z całą pewnością nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, żeby cesał jej włosy i leczył ją z pijaństwa nie kto inny, ale tylko i wyłącznie mój ojciec.

— Zacznie pani nowe życie? — spytał ojciec i zbliżył swoje usta do włosów, pod którymi kryło się uszko pani rzeźnikowej.

Pani Majerowa przytaknęła.

— A więc gdzie ma pani te swoje wódeczki? Te pokrzepiające likiery? — szeptał tatuś.

— Mistrzu — poprosiła pani rzeźnikowa — niech pan zapali światło w kuchni. Kontakt znajdzie pan tuż za futryną!

Stryjaszek uniósł dłonie i dotykał, obmacywał ścianę, a jego czapka w fioletowym mroku oświetlała mu drogę do kuchni, gdzie w końcu natrafił na kontakt. Błysnęło światło, a ja widziałem, jak pani rzeźnikowa wskazała palcem i szepnęła jak przez sen:

— Tam, w szafeczce!

I na powrót zamknęła oczy.

Stryj otwierał wszystkie szafy, na samym końcu dopiero otworzył szafkę nad zlewem i przyniósł graniastą butelkę z jasnym likierem, a kiedy postawił ją na rzeźnickim pieńku, powiedział z podziwem:

— Psiakrew, przecież to krupnik! To piją tylko porucznicy od dragonów i najwspanialsze ślicznotki!

— Proszę bardzo, niech pan sobie weźmie, niech się pan napije — szepnęła pani rzeźnikowa, wkładając ręce pod pachy.

Tatuś pogroził neonowym grzebieniem, fioletowe linie i zygzaki przecinały powietrze, gdy grzmiał:

— Nigdy! Pani... pani niech już nie pije! Nigdy, już nigdy!

Stryjaszek Pepi nalał sobie do garnuszka z błękitną „Pamiętką z Hlinska”, napił się, pokiwał głową, podał mi, upiłem łyk i przekonałem się, że likier jest wyborny. Stryj dolał do garnuszka i podał bratu.

— Ja tylko, żeby się dowiedzieć — powiedział ojciec — żeby się dowiedzieć, dlaczego wam to tak smakuje!

Powiedział i spróbował, zamyślił się i napił się ze smakiem. A potem trzymał garnuszek z „Pamiętką z Hlinska”, siorbał likier i z satysfakcją słuchał pani rzeźnikowej, która jakby odbywała spowiedź:

— Obiecuję panu, panie kierowniku, że jeśli raz na tydzień będzie pan leczył moje pijaństwo, jeśli jednego dnia wieczorem przyjdzie pan i będzie mnie pan leczył, rzucę to wszystko, bo będę miała powód, żeby się czymś cieszyć, wierzyć w coś szlachetnego, będę miała powód, by żyć dalej... Mistrzu! Tam w szafce jest jeszcze „Nuncjusz”, likier cudownie zdradliwy niczym mnisi habit!

Stryjaszek Pepi wszedł do kuchni, uniósł rękę, a kiedy wyciągnął ją z szafki na ścianie, trzymał w palcach pękatą ciemną flaszkę, przypominającą ogromną pieczęć. Zbliżył ją do oczu, a kiedy przeczytał etykietę, obrócił zachwyconą twarz i potrząsając butelką wołał:

— O, to najbardziej lubił arcybiskup Khon!

Ale tatuś nadal trzymał błękitny garnuszek z „Pamiętką z Hlinska”, siedział za panią rzeźnikową i szeptał w jej włosy:

— Będę przychodzić co tydzień i będę czesać te pani włosy, ostatnie pozdrowienie dawnej Austrii, ja Anna Csillag, urodzona w Karłowicach... I napił się krupniku, i zanurzył nos w piękne włosy. — I siedział tam tak, z twarzą zanurzoną w rozpuszczonych włosach, neonowy grzebień iskrzył mu w ręce leżącej na podółku i oświetlał z dołu włosy i brodę ojca ukrytą w pasmach włosów pani Majerowej. Tatuś zupełnie zapomniał, że siedzimy tu ja i stryjaszek Pepi, który bez przerwy dolewał tatusiowi krupniku. A na ziemi leżała biała chusteczka, podeptany turban, w który, kiedy tu przyszliśmy, pani rzeźnikowi miała okręcone te swoje bujne sploty, jednakże od chwili, kiedy po całym sklepie rozsypały się te złotordzawe włosy, od tej chwili tatuś stawał się coraz bezradniejszy, coraz mniej był zdolny opierać się nawałnicy tego piękna, co lśniło i pachniało przed nim.

Pani Majerowa otworzyła oczy, patrzyła bystro, przez chwilę na mnie, potem na stryjaszka Pepi, który jej zsalutował, i dopiero teraz podniosła się ostrożnie, ale tatuś miał zamknięte oczy i uśmiechał się, pani rzeźnikowa weszła do kuchni, chód jej był pewny, ba, szła nawet jak prawdziwa pani, tak jakoś to promienowanie fulguracyjne postawiło ją na nogi, a ona o tym wiedziała. Sięgnąwszy ręką w głąb szafki, wyciągnęła czerwoną butelkę z likierem wiśniowym, odkorkowała ją i powąchała, potem ze znawstwem przytknęła do szyjki dziurkę od nosa i wciągnęła zapach, i kiwnęła głową.

— Proszę spróbować tę „Griotte”. Sławną „Griotte” Wantocha o zapachu gorzkich migdałów!

— Gorzkich migdałów... — powtórzył tatuś w półśnie.

— I o pięknej jasnej woni dojrzewających wiśni i zapachu kwitnących floksów... — mówiła pani rzeźnikowa i spoglądała na ojca, który drzemał na siedząco, na jego rozporoku leżał iskrzący neonowy grzebień i tchnął zapachem błyskawic. A tatuś powtarzał cicho z wyrazem uszczęśliwienia na twarzy:



— Zapach kwitnących floksów...

Pani Majerowa przyniosła kieliszki, rozlała ciemno-szkarłatny likier.

Potrząsnąłem łokciem ojca.

— Tatusiu, „Griotte”!

Tatuś przestraszył się, rozsunał kolana, niemal cudem udało mi się schwytać neonowy grzebień. Przed nim stała pani rzeźnikowa i podawała mu kieliszek.

— Za moje wyleczenie! — powiedziała.

— Nie napije się pani z nami? — spytał ojciec. — Ani kropelki się pani nie napije?

— Już ani kropelki — powiedziała piękna pani rzeźnikowa. — Napiłam się mocniejszego napoju niż ten likier!

Ojciec łyknął i wymamrotał:

— Na tym więc kończymy akcję ratunkową.

I raz jeszcze łyknął.

Wyjąłem wtyczkę z kontaktu w ścianie, zwinąłem sznur i ułożyłem neonowy grzebień w zagłębieniu w amarantowym aksamicie. Zamknąłem czarną walizczkę. I podałem stryjaskowi Pepi, który wziął ją i zasalutował pani Majerowej...

Następnego dnia nie poszedłem do szkoły, a tatuś do biura. Mamusia radośnie przebiegała tanecznym krokiem od mojego łóżka do ojca i zmieniała okłady. Tatuś naciągnął ręcznik aż na oczy i nie chciał patrzeć na świat. Chociaż wolno-myśliciel, prosił Pana Boga, żeby go wziął do siebie. A ze mną wirowało nie tylko łóżko, ale i sufit. Mamusi musiałem opowiedzieć ułamki wspomnień, w których odtworzyłem wszystko, co zapamiętałem. Jednakże od tej chwili, kiedy stryjasek stał i salutował pani Majerowej, od tej chwili nie przetrwało w mojej pamięci absolutnie nic. Ale mamusi to wystarczyło, pojechała na rowerze do miasteczka i wróciła przywożąc dwie owinięte w bibułę butelki. I nigdy nie widziałem matki takiej wesołej, tryskającej śmiechem.

Opowiedziała mi, jak o północy ktoś zapukał do okna, a kiedy otworzyła, na dworze stał miejscowy policjant pan Holoubek, za nim zaś przechylony wózek, na którym leżały dwa zwoje linoleum. Kiedy spytała go, kto to linoleum zamówił, pan Holoubek powiedział, że przed północą w gospodzie „Na Cygance” jacyś dranie przytrzasnęli mu głowę drzwiami, po czym wbili mu drągiem hełm na głowę, tak że mu zagrzmiało w oczach. I kiedy tak szedł potem szukać kogoś, kto by mu pomógł ten hełm ściągnąć, spotkał stryjaska Pepi, który zameldował mu, że pod schodkami sklepu pana rzeźnika Majera leżą dwaj pijacy. Kiedy tam przyszedł, rozpoznał pana kierownika browaru i jego synalka, obaj byli zupełnie nieprzytomni. Wobec tego wypożyczył wózek i przywiózł ich do browaru.

Mamusia tak się z tego powodu ucieszyła, że dała panu Holoubkowi dwadzieścia koron i obiecała skrzynkę piwa, po którą może przyjść dzisiaj. A pan posterunkowy Holoubek tak się tym piwem ucieszył, że głowa mu skłęsta i udało mu się ściągnąć hełm z głowy i otrzeć pot.

Wszystko to opowiadała mi mamusia nie przestając się dźwięcznie śmiać.

Kiedy tatuś zaczął wymiotować, mamusia rozwinęła bibułkę i postawiła ojcu przed oczyma butelkę krupniku, a tatuś, zobaczywszy tę butelkę, zaczął dusić się i jęczeć, mamusia przyniosła kieliszek i nalała jasnego likieru, a kiedy podała ojcu kieliszek, tatuś zwisał już z krawędzi łóżka i z ust wyciekła mu odrobina zielonego płynu. Więc mamusia wypła sama.

Wieczorem przyszedł stryjasek Pepi i przyniósł czarną walizeczkę z przyrządami fulguracyjnymi. Tatuś otworzył tę walizeczkę i uspokoił się widząc, że na amarantowym aksamicie leżą wszystkie te cudowne służące do leczenia instrumenty. Brał jeden za drugim do ręki.

— Coście z tym robili, że tak to pachnie? — zawołał.

Mamusia odwinęła bibułkę i uniosła piękną butelkę z „Griotte”, ale ojciec, jak tylko ujrzał ten wiśniowy likier, ledwie zdążył odsunąć otwartą walizeczkę i zaczął się znowu dławić, i do stojącego przy łóżku wiaderka zwymiotował odrobinę zielonego płynu.

Mamusia nalała stryjaskowi Pepi kieliszek krupniku i stryj wypił za zdrowie całej rodziny, po czym odpowiedział tatusiowi:

— Cośmy z tym robili? Cała gospoda na Zofiówce była na nogach! Ślicznotki położyły się na bilardzie, a ja im puszczałem we włosy te fulguracyjne prądy, bo — jak pisze w swoim dziele pan Batista — rękojmią małżeńskiego szczęścia jest zdrowe i dorodne ciało.

## MUZYKANCY Z SZUMAWY

Zaczęli grać już koło browaru. I od razu wszystkie kobiety wybiegły z domów, zostawiając tam wszystko i porzucając wszystko w połowie, i tam, dokąd szli wędrowni grajkwie, tam szły kobiety, których z każdą chwilą przybywało. Ci muzycy z Szumawy grali tak jakoś, jakby byli zmęczeni, jakby te polki i walczyki grali w gospodzie nad ranem, jakby przyszli z jakiegoś powolniejszego świata. Nie było w nich nic niezwykłego. Wprost przeciwnie: mieli na sobie długie wystrzępione szynele, płaszcze te były wytarte przy dziurkach na guziki i na kołnierzach, najbardziej jednak na piersiach, a to dlatego, że kiedy przestawali grać, opierali swoje instrumenty o piersi. Na głowach mieli czapki, jakie noszą w zimie „lodziarze”, takie, które można opuścić na uszy i zawiązać pod brodą, aby wiatr ich nie zerwał i żeby im uszu nie zawiało.

Pewnego razu muzycy z Szumawy przyszli do naszego miasteczka z drugiej strony i skończyli w browarze, spali w stajni. Furman dał im derki i słomę, a ja wtedy zobaczyłem, do czego właściwie te czapki służą. Położyli się i przywiązali sobie te swoje instrumenty do piersi, tak jak matka niemowlę, a w końcu ściągnęli sobie te swoje papachy na karki i na uszy, tak jakby się bez reszty zamurowali, żeby im nic nie przeszkadzało, i dopiero wtedy usnęli. Mieli wargi całkiem czerwone, ogromnie cieniotka warstewka skórki chroniła je przed rozdarcie do krwi, a to od tego, że przez cały dzień trąbili i grali na klawecie. I nigdy się nie odzywali, jakby byli niemi. A działało się tak dlatego, że ciągle znajdowali się w podróży, cały dzień chodzili jak listonosze, w południe walili się gdzieś na trawę, naciągali czapki na uszy i z instrumentami na piersiach i w palcach przesypiali się godzinę, kobiety i dzieci siadały obok nich i patrzyły na muzykantów, i nie mogły się nadziwić, że umięją tak czule grać, tak trąbić jakby zza rzeki, że nawet te kobiety, które śmiały się nieustannie, poważniały, milkły, tak jakoś piękniały w tym posmutnieniu, w jakie wprawiali je wędrowni grajkwie. A kiedy tam w browarnej stajni spali, a ja wynosiłem skrzynkę pustych butelek i garnek smalcu, słyszałem, jak grajkwie jęczeli przez sen, nie były to ludzkie głosy ani urywki zdań, ale te piosenki, jakie grali przez cały dzień, a przedtem chyba przez całe życie, a więc wracały do nich i oni jęczeli strzępy melodii. Dlatego chyba byli smutni, dlatego

nie odzywali się, bo nikt by nie uwierzył, że są pełni, aż do śmierci pełni muzyki dętej, że jest to w nich, tak jak zacierka w bańce zupy zacierkowej.

Dlatego nikt nie słyszał, żeby mówili, w milczeniu przyjmowali pieniądze i jedzenie, przez cały dzień przyjmował je tylko jeden muzykant, posmarowane pajdy chleba wkładał do tłumoka, nie był to plecak ani tornister, lecz zwyczajny zgrzebny worek z przywiązanymi w dolnych rogach sznurkami, żeby go można było włożyć na ramiona. A ten, który dostawał od ludzi pieniądze, drobniaki, wkładał je do kieszeni szynela, kieszeń ta była wyciągnięta do granic wytrzymałości, a na boku wytarta aż do osnowy.

Chodzili tak ci grajkowie od ulicy do ulicy, wolnym krokiem, jakby mieli spętane nogi, dokąd się ruszyli, tam kobiety i dzieci szły za nimi, nikt nie klaskał, bo to było tak jakby na pogrzebie, nawet te wesołe piosenki, kiedy oni je zagrali, stawały się smutne, okropnie powolne, i kiedy muzykanci z Szumawy grali, to wszystkie kobiety patrzyły gdzie indziej, w ogóle już piosenka nie była ważna, ale to, co tę piosenkę wywołało, jakieś piękne a smutne obrazy, jakie się od kobiet oddaliły i nigdy już nie powrócą.

Kiedy skończyli, przez chwilę panowała cisza, jakaś kobieta różkiem fartucha otarła łzę i roześmiała się, kiedy spojrzały na siebie dwie zażawione kobiety, nagle rzuciły się sobie w ramiona i ukrywały sobie twarze we włosach i na szyi, tak jak zmęczone browarniane konie zakładają sobie łby na karki, bo się kochały, bo użalały się nad swoim smutnym życiem.

A grajkowie szli na kolejną ulicę, najmniej ludzi było na placach i na głównych ulicach. A kiedy muzykanci zjawiali się w uliczkach, przy których mieszkali ubożsi ludzie, to niemal każdy, kto mógł chodzić, wychodził i szedł za muzykantami, którzy dopiero teraz uspokajali się, dopiero teraz wiedzieli, że są tu ludzie, którzy za muzykę oddaliby życie, że dopiero teraz zagrają ludziom, którzy są tej samej krwi co oni. I grali z zamkniętymi oczyma, a kiedy przestawali, to tak jakby i ci muzykanci z Szumawy obudzili się, muzyka była w nich i płynęła przez nich niczym podziemna rzeczka Punkwa w grotach, gdzie byliśmy ze szkolną wycieczką, przez chwilę dawali sobie znaki otwartymi oczyma i znów zanurzali się w sobie i z ich instrumentów, i spod ich brudnych palców ni stąd, ni zowąd rozbrzmiewały w uliczkach stare piosenki i płynęły ludziom do uszu, z uszu zaś wprost do duszy. Ci muzykanci z Szumawy tak zajęci byli muzyką, że nigdy nie mieli czasu, aby się ogolić. Golili się chyba dopiero, gdy wracali do domu. Zawsze byli zarośnięci, z tym zarostem było im do twarzy, chyba mieli go na policzkach zupełnie tak samo jak szynele i buty na sobie. Buty mieli zawsze sznurowane, takie katolickie buty, jakie noszą wiejscy proboszczowie, buty, których nie można kupić, które szyje się na miarę. I były to buty stare, pełne załamań i kurzu, zawsze musieli je grajkowie mieć rozluźnione na podbiciu, jako że puchły im nogi, kiedy tak ciągle wędrowali po świecie.

Ja także chodziłem za nimi, ale wówczas nie z powodu ich muzyki, ja nawet na tych muzykantów z Szumawy wcale nie patrzyłem, stałem tyłem do nich i patrzyłem na to, co ci wędrowni grajkowie i ich granie robią z ludźmi, a przede wszystkim z kobietami. Widziałem ten niezwykły czar, jaki muzyka rzucała na kobiety. Szły, drżały z niepokoju, że opuściły rano swoje domostwa, ale skute potężnym łańcuchem kroczyły dalej, ten łańcuch był niewidzialny, ale ja go widziałem. I tak szły te kobiety, jak wybiegły z domu, w samych fartuchach, nie jadły, żywiły się tylko melodiami.

Kiedy nadeszło południe, muzykanci mieli już za sobą aleję Elżbiety i ulicę Forteczną, i Małe i Duże Wały, i Jeździecką, zagrali już nawet na placu kościelnym, teraz jednak wzdłuż murów doszli aż na kozi placyk, tam usiedli na skwerku i rozwiązali ten swój worek, i pożywiali się z wolna. Kobiety skoczyły po piwo, muzykanci popijali, trącąc się nawzajem kufłami, a kiedy skończyli jeść, położyli się na wznak, przez chwilę wpatrywali się w chmury, po czym kładli łokieć na czoło, przysłaniali oczy, kobiety zaś klęczały przy nich i odganiały muchy, a jeśli dzieci hałasowały, to spoglądały na nie przykładając palec do ust. Tak oto odpoczywali tam muzykanci z Szumawy, na brzuchach polśniewała im trąbka i róg, i puzon, instrumenty te wyglądały zupełnie tak samo jak ci grajkowie, mocno już podniszczone, i od razu rzucało się w oczy, że długo już są na świecie i że codziennie gra się na nich, jak szkapy wywożących gruz wozaków, bez reszty zabiedzone i zajeżdżone, tak właśnie wyglądały te mosiężne trąbki i rogi. A grajak, który trzymał w jednym ręku klarnet, zupełnie tak samo jak święty Alojzy łodygę z białym kwiatem lilii, leżał przygnieciony niemal do ziemi ogromną kieszenią pełną miedziaków i zgrzebnym workiem. Tak odpoczywali, z rozrzuconymi szeroko katolickimi butami, cztery posągi grajków porzucone na kozim placyku, spod podciągniętych spodni wystawały białe gacie, straszliwie zakurzone i w kostkach związane białymi niegdyś tasiemkami. Nawet kiedy było gorąco, ci muzykanci mieli zawsze te białe ongiś gacie, tak samo nawet w czasie żniw nosili stale te długie szynele i uszate czapki, spod których polśniewał pot.

Policzyłem, że muzykanci z Szumawy zarabiają w ciągu dnia więcej pieniędzy, niż w ciągu tygodnia ludzie wrzucają do skarbonki w kościele, mogli sobie zjeść obiad w hotelu „Na Książęcym”, mogli kupić ćwierć kilo szynki, ale oni zawsze byli skromni i oszczędni, i chyba dobrze wiedzieli dlaczego, bo kiedy zaczął padać śnieg, padał pierwszy śnieg, a oni grali, zsunąwszy czapki na czoło, w rękawiczkach z obciętymi czubkami palców, aby mogli grać, ale wkrótce wracali do domu, żeby otrząsnąć się po tej wyprawie, żeby odpocząć nie tyle od chodzenia, ile od muzyki. . .

Kiedy obudzili się na kozim placyku, przestraszyli się. . . Ciągłe leżeli na wznak, a nad nimi pochylały się kobiece twarze, wokoło nich, jak okiem sięgnąć, wieniec ludzkich twarzy, które uśmiechały się, a ludzie podawali grajkom ręce, żeby im pomóc, żeby muzykanci mogli usiąść. Jednakże ci wędrowni graj-

kowie przerazili się, że umarli, że z nieba podają im ręce chóry błogosławionych i ciągną ich do nieba. Wkrótce zrozumieli, że to tylko ich wielbicielki. Podnieśli się, poprawili odzież i ruszyli o uliczkę dalej. A kobiety biegły przed nimi i uprzedzały rozgłaszając na ulicy radosną wieść, że za chwilę przyjdą muzykanci z Szumawy, że wszyscy ci grajkowie są piękni, że mają gęste, kręcone włosy i że mają oczy równie piękne jak antyczni bogowie greccy. I kobiety, które wybiegały stamtąd naprzeciw grajkom, z oczyma pełnymi pożądlivości, kiedy przekonały się, że czterej grajkowie są zarośnięci, że idą powoli, jakby mieli nogi zakute w łańcuchy, że mają podarte szynele, to kobiety, te, które jeszcze nie widziały wędrownych grajków, spoglądały z wyrzutem na zachwycone kobiety, które chodziły z muzykantami od rana. Kiedy jednak grajkowie zatrzymali się, dali sobie oczyma znak, przymknęli powieki, po czym zaczęli grać „Płynie strumyczek szemrząc cicho...”, kiedy grali znów jakby zza lasów-borów, z wielkiej oddali, ot, tak sobie, tylko od niechcenia popychali czule melodię, która ciągle jakby zamierała, bo jakby się w ogóle nie starali grać, nigdy nie dęli z całej siły w trąbki i klarne-ty, aby pokazać, kto zdoła głośniej, raczej wprost przeciwnie: kto potrafi zagrać ciszej, byle jak na tej trąbce i puzonie, i rogu, ot tak, jakby szeptem, to nawet te kobiety, rozczarowane wyglądem wędrownych grajków, teraz też zaczynały się uśmiechać, tak jak te, które już rano oczarowała szumawska muzyka, i na ich twarzach pojawiał się taki sam uśmiech, taka sama radość, że zaszczycone są tym, że słyszą taką czułą, taką wzruszającą muzykę...

Kiedy pewnego razu zaczął padać deszcz, muzykanci nie grali. Widząc, jak starannie zawijają swoje instrumenty w ceratę, kobiety przestraszyły się. A potem weszli do gospody, usiedli tam sobie i chociaż ich goście prosili, żeby zagrali, grajkowie z Szumawy nie zagrali, bo grali tylko na ulicy, tylko na stojąco i — dla ludzi. Siedzieli tak i w milczeniu pili piwo, i jakby opuściły ich troski, siedzieli i pili beztrosko piwo, odpoczywali, rozglądali się i cieszyli się tym, co widzieli, nie pragnęli niczego poza tym, żeby tylko tak siedzieć i patrzeć, rozglądać się wokół siebie. Ale kobiety stały w bramie gospody, ściśnięte tak jedna przy drugiej, że jak któraś się obróciła, to wypychała inną na deszcz. Lało jak z cebra, ale kobiety miały widzenie, że chmury się rozpraszają i padają już ostatnie krople, że za gospodą niebo jest już błękitne, i raz po raz któraś z nich, przemoczona do suchej nitki, wpadała do lokalu i oznajmiała grajkom, że już przestaje padać. Ale muzykanci siedzieli i nie pragnęli niczego, tylko tak siedzieć aż do wieczora i patrzeć na rzeczy i ludzi wokół siebie, nie chciało im się ani chodzić, ani grać, tylko siedzieć i rozglądać się tępo i błogo wokół siebie.

Kobiety wyszły i oznajmiły wszystkim, że muzykanci z Szumawy już stroją instrumenty i wprost nie mogą się doczekać chwili, kiedy znowu zaczną grać. Niektóre wyglądały na dwór, inne wyszły przed gospodę, spoglądały w górę, deszcz lał, tak że natychmiast były mokre, że woda z nich ściekała, stały w bucikach

w ogromnych kałużach aż po kostki, ale wesoło powracały do bramy i oznajmiały, że lada chwila przestanie padać.

Pokochałem matkę jeszcze bardziej, kiedy na wiosnę przyszli muzykanci z Szumawy. W samym tylko fartuchu, nakarmiwszy prosięta, wybiegła z browaru i grajkowie poprowadzili ją w świat jeszcze piękniejszy niż browar, i mamusia zapomniała, że to południe, i z gromadką kobiet przeszła głównymi ulicami, aby uliczkami dotrzeć na kraniec „Abisynii”, aż do gazowni i boiska sportowego, gdzie obróciła się i zobaczyła, że słońce już zachodzi. I nie była sama, z Załabia wracały z nią kobiety, które także ocknęły się dopiero pod wieczór i przypomniały sobie, że w domu czeka na nie mąż i dzieci przy kolacji, próbowały biec, ale niemiłosierne słońce zaszło.

U nas w domu ojciec sam nakrył sobie do stołu, kiedy indziej pił kawę i jadł chleb, ale dzisiaj miał ochotę zjeść na kolację mięso z sosem, siedział nad sztuccami, trzymał łyżeczkę i podzwaniał, i blady wyglądał przez okno, coś go ogromnie zaciekało na kominie browaru, wstał, oparł się o stół i nadal wpatrywał się w ten komin, który rysował się na tle wieczornego nieba, jerzyki latały tam i z powrotem pogwizdując, tatuś podzwaniał łyżeczką o brzeg talerza.

Kiedy mamusia wróciła, pełna winy, pospiesznie rozpałała pod kuchnią i podgrzała sos z mięsem, a gdy podgrzała i przyniosła na stół, tatuś wstał, odrzucił łyżeczkę, nalał sobie letniej kawy i ukroił kromkę chleba, i jedząc z wolna, wpatrywał się ciągle w ten browarniany komin.

Wracałem znad rzeki, słońce zachodziło, po przystani biegła pani Woszoustowa, a za nią jej rozbestwiony małżonek, biegła, a on chciał ją schwycić za włosy, ale pani Woszoustowa biegła szybciej i pan Woszoust capnął ręką obok, ale oboje biegli dalej i pan Woszoust wołał:

— Dam ja ci tych twoich wędrownych grajków! . . .

Gdy znalazłem się na krańcu Załabia, słońce zachodziło, zobaczyłem, jak po przystani biegnie pani Zawieska, za nią mechanik pan Zawieski, on krzyczy, a ona biegnie dalej. Zawieski ciągle się stara, żeby mu wyszedł krok i żeby mógł kopnąć swoją małżonkę w tyłek, ale jego pani, kiedy jej małżonkowi krok wyszedł, przyspieszyła trochę i tak biegli dalej, i pan Zawieski ciągle nie mógł w biegu znaleźć tego miejsca, w którym mógłby się oprzeć jednym butem, tak żeby szpicem drugiego buta kopnąć swoją małżonkę. Biegli więc dalej i pan Zawieski ryczał:

— Już ja ci wybiję ze łba tych twoich Szumawiaków!

I już się ta para małżeńska zanurzyła w mrok i przebiegła pod mostem kolejowym.

Może w najbliższej wiosce pani Zawieska osłabnie i jej małżonkowi wyjdzie wreszcie ten krok. . .

# GIMNAZJALISTKA

Największymi dziećmi w naszym miasteczku byli ludzie dorośli, spośród tych dorosłych zaś ci mieszkańcy, którzy grywali w teatrze amatorskim. Niemal wszyscy przychodzili do nas, do browaru, ilekroć odbywało się świniobicie albo kiedy nadchodził czas kuropatw oraz zajęcy, a przede wszystkim kiedy nadchodził czas prób generalnych.

Co dwa miesiące nasze towarzystwo cieszyło się z powodu nowej sztuki, którą najpierw przez kilka wieczorów czytali u nas w pokojach, pili piwo i smarowali sobie smalcem pajdy chleba, i wstępnie czytali to, co będą grać. A potem jechali do Pragi, żeby zobaczyć, jak tę sztukę grają w stolicy. I wówczas nadchodził najpiękniejszy okres prób.

Ledwie matka nakarmiła prosięta i dała pić kozom, na długo przed próbą wkładała kostium, błękitny kostium, i wzięwszy pod pachę swoją rolę raz pieszo, kiedy indziej znów na rowerze udawała się do miasteczka. I to nie była już moja matka, lecz owa kobieta, która będzie grać w najbliższym przedstawieniu. Kiedy grano *Przedmieście*, to mamusia mówiła z takim praskim akcentem i tak nieprzyzwyczajenie, że tatuś sięgał po rolę, czy to aby tam jest. Kiedy jednak grała Władczynię Mórz, to się znów tak oddaliła, że z tatusiem rozmawiała bardzo podrażnionym tonem, a kiedy grała Norę, to najpierw była dla ojca ogromnie życzliwa, usługując mu niemal na każdym kroku, ale potem, kiedy Nora zmieniła się w sztukę, mamusia groziła ojcu rozwodem, straszyla, że go opuści, i tatuś uspokoił się dopiero wówczas, kiedy przeczytał w tekście sztuki, że to jej rola w ostatnim akcie, że mamusia wcale tak nie myśli. Mimo to jednak nie całkiem wyzbył się lęku, bo mamusia grała to daleko lepiej niż w życiu, tak szczerze mówiła to, że go opuści i zacznie sama nowe życie.

Najbardziej ojciec się cieszył, kiedy matka grała Desdemonę. Ostatni akt tatuś przeżywał zupełnie tak samo jak Otello i żałował, że on sam nie może wystąpić w tytułowej roli. Więc przynajmniej ostatni akt z matką powtarzał... a ja dostrzegłem teraz, że ojciec tak się wczuł w rolę, że wszystkie te pełne zazdrości partie mówił tak szczerze i z wielką satysfakcją, że kiedyś rzucił matkę na ziemię i krzyczał na nią, w jednej ręce trzymał książkę, z której czytał, drugą zaś trzymał mamusię tak, że ją bolała ręka i błagała ojca, żeby ją puścił, i powiedziała mu,



że jest brutalem. Ale tatuś bronił się, że to tak jest napisane i że robi to zgodnie z tekstem sztuki, i bardzo chciał, żeby mamusia pozwoliła mu powtórzyć z nią jeszcze sam koniec, ale mamusia w porę spojrzała na zegarek: musi iść na próbę do teatru, bo ojciec groził, że mamę udusi, tak jak to jest na końcu *Otella*.

Więc mamusia chodziła co wieczór przed próbą w błękitnym kostiumie, przechadzała się po rynku ze zwiniętą rolą pod pachą, ludzie kłaniali się jej, zatrzymywali, wokół mamusi tworzyły się grupki i mamusia z uśmiechem opowiadała o tym, jaka sztuka będzie wystawiona i kto w niej zagra.

Stałem pod arkadami, mając za sobą otwarty sklep pana Rehra, który kupował skórki z zajęcy i kozłat, i kretów, i w ogóle, fetor panował tu tak straszliwy, że przychodził tutaj tylko ten, kto musiał. Jednakże ten nieznośny odór nie płynął ze sklepu pana Rehra, ale stamtąd, znad rzeki, na tyłach domu pod arkadami przy rynku, dokąd zwożono wszystkie kości z rzeźni: wznosiła się tam ogromna góra kości, przywożono je jeszcze ze strzępami mięsa i ścięgami, ale słońce, a przede wszystkim szczury ogryzały mięsiwo aż do kości, tak że w ciemnościach te tony kości błyszcząły jak pryzma fosforyzujących wskazówek zegara na wieży kościelnej...

Stałem oparty o kolumnę pod arkadami, po drugiej stronie rynku tłum przechadzających się młodych ludzi płynął tam i z powrotem, dziewczęta ujęte po cztery pod rękę śmiały się, śmieli się idący czwórkami chłopcy, śmieli się do nich i pokrzykiwali na siebie i tak jedna fala płynęła w górę, druga w dół, i zanim się te czwórki nie minęły, nikt nie mógł się doczekać, chłopiec — kiedy wreszcie zobaczy tę swoją dziewczynę i pannę, a ona — kiedy wreszcie zobaczy tego swojego chłopaka czy młodzieńca, i tak oto dojrzewająca młodzież bawiła się aż do samego zmroku.

W pobliżu figury Najświętszej Panny Marii spacerowali tam i z powrotem dorośli, z rękami założonymi na plecach bądź też kręcąc w palcach laseczkę, co chwila spoglądali na zegarki, jakby wybierali się dokądś pociągiem; moja mamusia przechadzała się przez chwilę z dorosłymi, potem znów wmieszała się w tłum na corso, jakby kogoś szukała. Ja zaś z daleka widziałem, że mamusia nikogo nie szuka, że tylko udaje, że kogoś szuka, żeby ludzie widzieli ją z tą rolą pod pachą, mamusia spoglądała nawet tak jakoś, jakby była wtajemniczona, jakby była zupełnie inna niż wszyscy pozostali, a to dlatego, że gra w teatrze, że wystąpi w nowej sztuce i że wszyscy mają pod dostatkiem czasu, żeby zobaczyć mamusię, jak wygląda w rzeczywistości i jak będzie wyglądać potem, kiedy będzie grała kogoś zupełnie innego, niż naprawdę jest. I nie tylko matka, zjawili się też wszyscy pozostali aktorzy, wszystkich ich znałem, bo smarowałem im smalcem pajdy chleba i podawałem butelki piwa, oni też zjawili się, pięknie ubrani, i każdy miał pod pachą zwiniętą rolę. Kiedy zaczęło się ściemniać, po rynku snuło się tam i z powrotem dziesięć białych zwiniętych egzemplarzy sztuki teatralnej i wszyscy, którzy mieli wystąpić w nowym przedstawieniu, zatrzymywali się łaskawie,

uśmiechali się, brali te role i potrzęsali nimi w powietrzu, niektórzy z nich robili z tych ról taką papierową lunetę i przykładali ją do oka.

Tak oto bawiły się te dorosłe dzieci, a ja stałem oparty o kolumnę, za mną znajdował się ciągle oświetlony sklep pana Rehra, z którego płynął ten straszliwy fetor, nikt tędy nie chodził, mogłem więc bez przeszkód patrzeć i wstydzić się niemal za to, jak towarzystwo, które przychodzi do nas, do browaru, bawi się w aktorów, jak się tak jakoś przygotowuje do wieczoru, kiedy naprawdę zaczną się próby. Kiedy później już tylko dzień dzielił nas od głównego przedstawienia, kiedy towarzystwo nauczyło się już na pamięć swoich ról, przez ten ostatni tydzień aktorzy zamiast na rynek chodzili wprost do teatru. Na trzy godziny przed próbą teatralną wkładali kostiumy i te stroje, w jakich będą grać, i aby nauczyć się chodzić w kostiumach, przez rynek do hotelu „Na Książęcym” przeszedł w długiej szacie Otello, pan aptekarz, przytrzymał sobie srebrną suknię, żeby się nie przewrócić, był już przyczerniony na twarzy, w szerokim złocistym pasie, przechadzał się po rynku tam i z powrotem, potem wszedł do hotelu i zamówił sobie kieliszek na pokrzepienie. Mamusia przez cały tydzień nawet do kóz chodziła w długiej aksamitnej sukni, jako Desdemona, odpowiadała ludziom. . . „Rodrigo, a z Wenecji?” I uśmiechała się, i na przemian to była pełna miłości, to znów ogromnie nieszczęśliwa, zgodnie z tym, o jakiej sytuacji z tej sztuki myślała. I w tej długiej szacie przyjechała do miasteczka, umyślnie nie pojechała wprost do teatru, tylko zeskokczyła i oparła rower o kiosk tytoniowy, i przytrzymując znów suknię, żeby się nie przewrócić, przechadzała się wieczornym corso, dziwiła się, że nie może znaleźć Otella, pana magistra farmacji, który stał w hotelu „Na Książęcym”, trzymał w ręku kieliszek i oznajmiał wszystkim dokoła, że ten Otello to właściwie szlachetny barbarzyńca i że on go właśnie gra. Pan kierownik natomiast kroczył z rapierem jako wenecki szlachcic, obracał się i odpowiadał na ukłony, i jego broń sterczała, i pan kierownik przez cały tydzień uczył się chodzić z rapierem i w wysokich butach i kłaniać się po wenecku kapeluszem, ozdobionym strusim piórem.

Prócz tego zazdrosnego Otella tatuś najbardziej lubił sztukę teatralną, która nosiła tytuł *Cień*.

Na tydzień przed przedstawieniem mamusia pożyczyła sobie fotel na kółkach, bo występując w głównej roli od początku aż do samego końca gra chorą, która nie jest na stałe skazana na poruszanie się w fotelu na kółkach. A więc mamusia jeździła po pokoju w fotelu na kółkach, ja sam przestraszyłem się, kiedy usiłowała wstać, ale nie udało się jej, tatuś bardzo ochoczo woził ją z pokoju do pokoju, a mamusia prowadziła sama ze sobą wspaniałe rozmowy, z których wynikało, że jej mąż jest sławnym malarzem i maluje w pracowni piękne obrazy, ale mamusia nie może chodzić i bardzo chciałaby wyzdrowieć, żeby móc wpaść do tej pracowni, która znajduje się na przeciwnym krańcu Paryża.

Tatuś wprost promieniał, woził mamusię i przepytywał ją z roli, a ja widziałem, że gdyby to było możliwe, tatuś czułby się ogromnie szczęśliwy, gdyby także

mamusia nie mogła chodzić, gdyby przez całe życie jeździła tak jak w tej sztuce, która nosiła tytuł *Cień*.

Musiałem przyznać, że mamusia jest naprawdę aktorką, bo w trzecim akcie, kiedy siłą woli udało się jej wstać z tego fotela na kółkach, zrozumiałem, że w rzeczywistości wcale nie byłoby tak, jak to matka grała, a nawet ojciec nagle z całego serca życzył mamusi, żeby się podniosła, żeby krok za krokiem dowlokła się do taksówki, a potem z kolei z wolna, stopień po stopniu, wspinała się na górę, gdzie jednak zobaczyła, że jej mąż żyje tam już z inną kobietą... I mamusia, kiedy to w domu zobaczyła, zgarbiła się cała, załamała i z kuchni powlokła się z wolna do sieni, i stopień po stopniu zeszła na dziedziniec browaru, opierała się o ściany i ludzie z browaru myśleli, że mamusię chwycił postrzał, ale mamusia, znowu doszczętnie złamana, weszła do pokoju, tatuś podstawił jej fotel na kółkach, a kiedy mamusia usiadła w tym fotelu i nakryła sobie nogi pledem w kratkę, ojciec znowu się ucieszył, woził matkę z pokoju do pokoju, a mamusia mówiła, że tak już będzie jeździć do końca życia. Tak oto przynajmniej przez tydzień ojciec cieszył się, że widział matkę w takim stanie, w jakim chciałby ją widzieć zawsze.

W ciągu tych lat poznałem wszystkie te sztuki, ale nigdy nie poszedłem do teatru, aby którąś z nich zobaczyć. Wiedziałem, że gdybym stał tam oparty o jedną, z kolumn, które podtrzymywały balkony, byłbym czerwony nie ze wstydu, ale z oburzenia, że się coś stanie, że matka zapomni tekstu, że nagle będzie grać coś innego. Sama myśl o tym, że kurtyna się podniesie i że pojawi się moja matka, napawała mnie przerażeniem, że zobaczę ją inną, nie taką, jaką ją mieć pragnąłem.

Lubiłem grube matule, które nieustannie przebywały w domu, wiecznie zatroskane o rodzinę, tak jak ojciec wolałbym mieć raczej matkę na fotelu na kółkach niż ciągle roztańczoną, taką, jaką była w rzeczywistości. A poza tym ludzie z miasta, widząc mnie, poklepywali mnie: „Oho, to syn tej pani, co tak pięknie gra w teatrze”. I odnosili się do mnie tak, jakbym i ja grał w teatrze. Toteż ilekroć szedłem promenadą albo podążałem ze szkoły czy też do szkoły, wciąż się wstydziłem właśnie z tego powodu, że nigdy nie mogłem w naszym miasteczku być sam, ludzie pierwsi mnie pozdrawiali i przyjaźnie to ten, to ów skinął mi ręką, a ja ich wcale nie znałem, a jeśli, to tylko z ulicy. Dlatego do miasteczka skradałem się, dlatego tak chętnie stałem pod arkadami, mając za sobą sklep ze skórkami i starymi kośćmi niczym anielską straż, pan Rehr był moim Aniołem Stróżem, ten jego stos kości tam, na tyłach, i fetor skór — to była moja rękojmia, że ludzie będą mnie omijać...

Jednakże owo towarzystwo zespołu teatralnego bawiło się w teatr na swój sposób, chociaż akcja toczyła się gdzie indziej i inaczej, i w innym czasie.

Tej zimy zaczęły się próby *Gimnazjalistki*. Do browaru na próby czytane przyszły również małżonki panów, którzy przychodzili do nas na świniobicie i kuropaty, i pajdy chleba ze smalcem, a ja siedziałem w kuchni i nie mogłem się ruszyć

z miejsca, bo widząc i słysząc to, co widziałem i co słyszałem, traciłem bez mała władzę w nogach.

Mamusia grała Gimnazjalistkę. Zresztą to, co czytała, zupełnie odpowiadało wyglądowi mojej mamusi, ale kiedy dowiedziałem się, że grube babsztyle będą grać jej koleżanki z klasy, to najpierw myślałem, że będą to grać niezupełnie serio, że będzie to zabawa dla zabawy, ale już po drugiej próbie czytanej spostrzegłem, że wszystkie kobiety grają zupełnie serio, że mają wrażenie, że nikt inny nie mógłby zagrać tych gimnazjalistek lepiej niż one. I wszystkie te tłuste babska starały się jak mogły i w podskokach biegały po pokoju.

I tak oto począwszy od prób czytanych matka chodziła do teatru jako Tania, zakochana po uszy w profesorze Sychrawym, tatuś, kiedy ją w domu przepytywał, przewiązał sobie oko czarną opaską i zakochał się w mamusi, tak że słodko wzdychał, a kiedy odpowiadał matce, głos mu drżał i pod pretekstem, żeby mamusia umiała to jeszcze lepiej, zagrał z matką zakończenie pierwszego aktu, kiedy to Tania wybiegając z klasy upuszcza chusteczkę. Tatuś uklęknął, podniósł tę chusteczkę, pocałował ją i wyciągając ręce ku drzwiom pokoju, za którymi mamusia zniknęła, wyszeptał:

— Taniu! . . .

A potem próby odbywały się już w teatrze, w browarze mamusia wyciągnęła na środek maszynę do szycia i przyszła krawcowa, i szyła na miarę gimnazjalne mundurki, aby gimnazjalistka Sowówna i gimnazjalistka Mraczkówna, i gimnazjalistka Walaszkówna, zwana Pieszczoszką, i moja matka miały uszyte plisowane spódniczki przed kolana, granatowe marynarskie bluzeczki i ogromne białe wstążki do wpięcia we włosy.

Tego wieczoru, kiedy kostiumy były gotowe, przyszła pani aptekarzowa i pani profesorowa i przebrały się rozpromienione, przebierały się w pokoju, cieszyły się i chichotały, bo już grały swoje role.

Pieszczoszka wołała:

— Dziewczęta, dostaniemy nowego profesora. . . Przystojny mężczyzna, ale ma tylko jedno oko. . .

A Mraczkówna na to:

— Jedno mu wystarczy! Jakby nas zobaczył obu oczyma, uciekłyby gdzie pieprz rośnie zaraz po pierwszej lekcji!

— A więc będziemy go nazywać Żizka! I on nas będzie uczyć? Szkoda, że nie uczy miłości! Wzięłabym sobie dodatkowe lekcje!

A ja siedziałem w kuchni, oparty o ścianę, i wstydziłem się, zimny pot wystąpił mi na czoło i rumieniłem się za to, co słyszałem, ale kiedy otworzyły się drzwi sypialni i do pokoju pod oświetlony żyrandol wbiegły dokazujące gimnazjalistki w plisowanych spódniczkach i marynarskich bluzeczkach, a na głowie każdej z nich sterczała ogromna kokarda, i ująwszy się pod ręce chichotały i dreptały drobnymi kroczkami w trzewikach na wysokich obcasach, nie miałem już wąt-

pliwości, że ta sztuka o gimnazjalistce to już koniec. A jako ostatnia wbiegła mamusia, również jako gimnazjalistka, śmiała się nienaturalnie, wszystkie te kobiety śmiały się i w jakiś sposób doskonale zdawały sobie sprawę, że nie trafiają w sedno, ale wszystkie trzymały się za ręce i w ten sposób dodawały sobie sił, żeby wierzyć w coś, czego nie ma, w to, że są zdolne w nieklamany sposób zagrać uczennice szóstej klasy gimnazjum. Piszczwały i krzyczały, i raz po raz któreś przekrzywił się wysoki obcasik, w końcu jednak włożyły futerka i ruszyły pieszo do miasteczka, aby przejść się po corso, aby wpaść do hotelu „Na Książęcym” na gorącą herbatkę i przedstawić się ludziom jako żywa reklama tego, co już wkrótce będzie się w miasteczku grać.

A ja tego wieczoru doszedłem do wniosku, że stryjasek Pepi z tą swoją marynarską czapką jest zupełnie normalnym człowiekiem. Siedziałem na krześle opartym o ścianę i myślałem o ślicznej dziewczynie z czwartej klasy gimnazjum... Nagle otworzyły się drzwi klasy i ona weszła pomiędzy nas, chłopaków, i powiedziała panu kierownikowi, że ksiądz dziekan prosi, żeby pożyczyć mu mnie do żeńskiej szkoły, że za chwilę mnie zwróci. A więc poszedłem, ta dziewczyna miała marynarską bluzeczkę jak ja, zaprowadziła mnie aż na strych szkoły męskiej, znajdowały się tam obite blachą drzwi, dziewczyna je otworzyła i weszliśmy na strych, i ona je za sobą zamknęła. I prowadziła mnie pod belkami, aby w połowie drogi zatrzymać się i pozwolić mi zbliżyć się do siebie, tak że stała zupełnie blisko mnie, dotykaliśmy się, jej bluzeczka podnosiła się, jakby ta dziewczyna się zadyszała, stała zupełnie blisko mnie, pachniała jak róża i jak czeremcha i jej oczy znajdowały się zupełnie blisko moich, ja też oddychałem szybko i opuściłem oczy, a ona szturchnęła mnie w piersi i szepnęła:

— Czy to prawda?

A ja wiedziałem, ale spytałem:

— Co?

A ona powiedziała mi, że mam wytatuowaną na piersiach gołą syrenę.

Skinąłem głową, a ona szepnęła:

— Mogę ją zobaczyć? Pozwolisz?

Przytaknąłem, ale byłem słaby i nie mogłem rozpiąć przodziku w granatowe i białe pasy...

Dziewczyna patrzyła na mnie przenikliwie i oddychała szybko, i rozpinęła mi haftki, i palce jej drżały, gdy rozchyliła klapy marynarskiej bluzy, i chwilę tak stała, i patrzyła, uniosłem oczy i patrzyłem, jak z oczyma pełnymi zdumienia westchnęła:

— Ależ ona piękna!

I patrzyła tak, i palcem obrysowała tatuaż, a potem trzasnęły drzwi i ona pośpiesznie zakryła mi pierś i zapięła przodzik w białe i granatowe pasy, i podała mi rękę, a ja trzymałem ją i czułem, że jej ręka jest delikatna jak podgardle wołu, prowadziła mnie, a ja pragnąłem, żeby mnie tak prowadziła zawsze, żebym mógł

z tą ręką w swojej dłoni iść, dokądkolwiek się udam, na wieki wieków, i nie marzyłem o niczym innym, tylko o tym, żeby trzymać tę dziewczęcą rękę w swojej chłopięcej dłoni. Ale koniec był bliski, otworzyła obite blachą drzwi i weszliśmy na korytarz po drugiej stronie szkoły męskiej, a ona zamknęła je za sobą i szła dalej, zeszła po schodach szkoły żeńskiej o piętro niżej i otworzyła drzwi, a ja w świetle spostrzegłem na tle okna księdza dziekana, który postawił mnie na katedrze i powiedział:

— A więc, synku, te oto dziewczęta z czwartej klasy gimnazjum nie wiedzą, jak to było z nawróceniem Szawła na świętego Pawła. Wyjaśnij im to!

Spojrzałem na klasę, w ławkach siedziały uczennice czwartej klasy gimnazjum, spostrzegłem, że połowa dziewcząt miała marynarskie bluzeczki i ogromne oczy, i patrzyły na mnie z powagą, ta, która mnie przyprowadziła, uśmiechnęła się do mnie i podniosła klucz, nasz znak... A ja tymczasem odnalazłem w głowie odpowiednią stronę z historii biblijnej, tak że ujrzałem nawet ten obrazek, który pomalowałem sobie kolorowymi kredkami, i zacząłem czytać sam w sobie wszystko to, co tyle już razy czytałem wieczorem w łóżku: jak Szawel jechał na koniu i piorun powalił go na ziemię... A kiedy niemal słowo w słowo przeczytałem tę historię, spojrzałem na dziewczyny; wydawały mi się smutniejsze niż przedtem.

Ksiądz dziekan wykrzyknął wesoło:

— Wstyďte się, dziewczęta! Chłopak z piątej klasy szkoły powszechnej umie to lepiej od was! Dziękuję ci, chłopcze!

Ta dziewczyna z kluczem wstała i znów weszliśmy po schodach do tych drzwi, ona je znów otworzyła i zamknęła za sobą, to zamykanie mówiło mi niedwuznacznie, że na strychu dzielącym szkołę żeńską od męskiej jesteśmy tylko ja i ona. Ale ona szła i nie zatrzymała się, nie chciała już nic wiedzieć, nie chciała stać ze mną, nie prowadziła mnie już nawet za rękę, ale wyprowadziła mnie tylko, otworzyła drzwi, a potem je zamknęła i zeszliśmy o piętro niżej, otworzyła drzwi naszej klasy i przekazała podziękowanie od księdza dziekana.

Usiadłem na swoim miejscu, siedziałem okropnie zmieszany, okropnie tępo patrzyłem przed siebie, zupełnie tak samo jak teraz, w kuchni, kiedy matka z pozostałymi uczennicami szóstej klasy gimnazjum poszła do miasteczka na teatralną próbę *Gimnazjalistki*.

Powodzenie *Gimnazjalistki* było tak ogromne, że podczas premiery już po pierwszym akcie widzowie wywołali oklaskami nie tylko mamusię, ale także wszystkich aktorów, i burzliwy aplauz towarzyszył występom koleżanek Tani. A kiedy drugi akt dobiegał końca i pan kierownik w roli profesora Sychrawy podniósł chusteczkę, którą mamusia upuściła, do ust i pocałował, i wołał, i wyciągał rękę do Tani, która zmieszana wybiegła z klasy... „Taniu!”... i kurtyna z wolna opadała, i ludzie podnosili się, i wołali: „Brawo! Brawo! Bis!” — kurtyna uniosła się znowu i wyszedł reżyser, właściciel drukarni, pan Minarz, i powiedział

smutnym głosem, że przedstawienie zostaje przerwane, że niemieckie wojska hitlerowskie, które w godzinach porannych przekroczyły nasze granice, w południe weszły do Pragi, a teraz właśnie dotarły do naszego miasteczka, i wezwał obywateli, żeby zachowali spokój. . .

Widzowie, którzy wiedzieli o tym już od rana, siedzieli nadal, ale kiedy z placu dotarła wiadomość, że pada śnieg i wokół figury Najświętszej Marii Panny stoi kolumna motocykli z żołnierzami w hełmach i z bronią, dopiero wówczas ludzie zaczęli, wzburzeni, wychodzić w przedwczesnie skończony wieczór, w noc, gdzie w świetle latarni gazowych przejeżdżali w gumowych płaszczach żołnierze obcej armii, gumowe figurki, pociągnięte deszczem zaśnieżone posągi.

Gimnazjalistki w futerkach wybiegły w noc, ich białe kokardy błyszczały wśród mroku, pobiegły do hotelu „Na Książęcym”, żeby zamówić sobie gorącą herbatę, tę samą, ale przecież inną już herbatę niż ta, jaką piły w trzecim akcie *Gimnazjalistki* z kolegami na ślizgawce w Zofiówce.

# ARMAGEDON

Miała się właśnie rozpocząć lekcja gramatyki, ale pan kierownik polecił nam, uczniom, żebyśmy się ustawili parami, po czym wyprowadził nas na rynek. Myśleliśmy z początku, że prowadzi nas pod arkady, gdzie po przegranej bitwie pod Kolinem odpoczywał i spał Fryderyk Wielki. Jednakże pan kierownik poprowadził nas na środek rynku. Myślałem, że zamierza pokazać nam fontannę, której już nie ma, ale gdzie Fryderyk Wielki — zanim poszedł spać „Pod Arkadami” — siedział na drewnianych rurach, którymi płynęła woda z Wieży Tureckiej, z miejskiej wieży ciśnień. Ale nawet tutaj pan kierownik się nie zatrzymał, aby pokazać nam fontannę, która zniknęła już w zeszłym stuleciu a na której siedział na drewnianych rurach Fryderyk Wielki zastanawiając się nad przyczynami swojej porażki.

Prowadził nas do figury Najświętszej Panny Marii.

Ustawił nas wokół niej, a my myśleliśmy, że skoro tę figurę wzniesiono w podziękowaniu za ustąpienie zarazy, to zamiast prowadzić lekcję gramatyki, powie nam, że wkroczenie niemieckich wojsk okupacyjnych to coś równie potwornego jak dawnymi laty dżuma i cholera.

Pan kierownik jednak kazał nam skupić się wokół wydrukowanej w języku niemieckim i czeskim odezwy do ludności. W tej czeskiej odezwie napisane było, że armia niemiecka przybyła tu po to, aby bronić narodu czeskiego przed wrogami, i że kto by się temu przeciwstawiał, postawiony zostanie przed sądem wojennym. Odezwę podpisał dowódca wojsk okupacyjnych Blaskewitz.

Pan kierownik wyciągnął czerwony ołówek i podkreślił dziesięć poważnych błędów, jakie znajdowały się w tej wydrukowanej odezwie do narodu czeskiego, a potem jeszcze dziesięć innych błędów przeciwko duchowi języka czeskiego. A kiedy to wszystko popodkreślał, tak jak podkreślał w domowych ćwiczeniach gramatycznych, napisał pod nazwiskiem Blaskewitz: styl 3, gramatyka — 2. I powiedział, że tu oto mamy przykład, jak nie należy pisać, i że nikt, kto popełnia takie poważne błędy, nie może się uważać za przedstawiciela kulturalnego narodu, i skoro sam dowódca wojsk niemieckich popełnia takie kardynalne błędy, już z góry staje na straconych pozycjach, bo tylko ten jest lepszy, kto lepiej się wyraża.

A potem wróciliśmy do szkoły.



Wkroczenie niemieckich wojsk okupacyjnych jeszcze bardziej wzburzyło rzeźnika, który ćwiartował w rzeźni mięso, pana Waszyczka. Już na dwa dni przed wejściem obcej armii jeździł on na rowerze po miasteczku i wioskach obwieszczając, że bój to będzie ostatni i żeby ludzie czynili pokutę, żeby przygotowali się do tego ostatniego boju, któremu przewodzić będą aniołowie, a na ich czele będzie sam Archanioł Gabriel. . . A ludzie śmiali się z niego, mimo to pan Waszyczek nadal jeździł na rowerze obwieszczając ostatni bój, który nazywał Armagedon. A kiedy widział, że ludzie śmieją się z niego, to tylko wołał na nich: Armagedon. I ludzie z kolei przezywali go Armagedon.

I tak oto rzeźnik pan Armagedon nadal głosił to swoje posłanie, a ponieważ nie umiał płynnie mówić i trochę się jąkał, kupił sobie patefon walizkowy, wzmocnił tylny bagażnik swojego roweru i zamiast wykładu i kazania puszczał płytę, która wzmocniona reproduktorem głosiła ostatni bój, Armagedon.

Kiedy wkroczyli Niemcy ze swoimi wojskami, pan Armagedon nie posiadał się z radości. Myślał, i to też głosił w miasteczku i we wioskach, że armia niemiecka to owo wojsko, z którym zmierzą się anielskie hufce niebieskie pod dowództwem Archanioła Gabriela i zwyciężą w ostatnim boju, po czym nastąpi na świecie długotrwały pokój.

Pan Armagedon tak był tego pewien, że kupił jeszcze jedną płytę, i kiedy kończyła się ta pierwsza płyta o Armagedonie, na zakończenie puszczał z kolei tę drugą, na której grała orkiestra dęta i chór śpiewał:

Bój to będzie ostatni. . .

Ale pan burmistrz bał się przede wszystkim tej drugiej płyty, a ludzie z miasteczka także. I kiedy przyjeżdżał na rowerze rzeźnik, który w rzeźni ćwiartował mięso, pan Armagedon, i zatrzymywał się, ludzie uciekali przed nim, nie chcieli niczego słyszeć, zatykali sobie uszy krzycząc, że nic nie widzieli, że nic nie słyszeli, że o niczym nie pamiętają. I uciekali przed rzeźnikiem z płytami gramofonowymi, tak jak uciekali przed tatusiem, żeby z soboty na niedzielę nie musieli przytrzymywać mu przez dwie godziny nakrętek.

Wkrótce potem rozeszły się wieści, że Niemcy aresztowali już kilku ludzi za podburzanie. A więc gdziekolwiek zjawiał się pan Armagedon, lokale nagle pustoszały, odpusty naraz się kończyły, ludzie umykali z corso, bo każdy wiedział, że wprawdzie pan Armagedon ma rację, ale każdy tej prawdy się lęka i woli być żywym pieskiem niż martwym lwem w ogrodzie zoologicznym. A kiedy do miasta przybyli żołnierze i zakwaterowano ich w dużym budynku naprzeciwko sądu, pewnego razu zjawił się tam rzeźnik na rowerze. Działo się to przed południem, rzeźnik oparł rower o ścianę tego budynku z niemieckimi żołnierzami i uniósł wieczko patefonu walizkowego, stanął na szeroko rozstawionych nogach przed tym trzypiętrowym gmachem, na którym — na wysokości drugiego piętra — ciągnął się napis:

PRZEZ OKNA WCHODZI ŚWIEŻE POWIETRZE, PRZEZ DRZWI DOBRA  
WOLA!

Stanął na szeroko rozstawionych nogach i krzyczał w otwarte okna:

— Żołdacy, bój to będzie ostatni! Gdzie jesteście? Wychodźcie!

Jednakże z okien dochodziło tylko stukanie na maszynie do pisania.

— Oprawcy! Boicie się ostatniego boju! Armagedon! — zawołał rzeźnik, który ćwiartował w rzeźni mięso, prosto w okna i stał na szeroko rozstawionych nogach, miotając na cały dom pełne nienawiści spojrzenia.

Ale dom był cichy, tylko z otwartego okna stukiała maszyna do pisania, a kiedy dobiegła do końca wiersza, zadzwoniła.

Wobec tego pan Armagedon nakręcił sprężynę, położył płytę i rozległy się dźwięki orkiestry dętej, i chór zaśpiewał:

Bój to będzie ostatni,  
krwawy skończy się trud. . .

Z okna wychylił się niemiecki żołnierz, po nim drugi, w trzecim oknie zjawiła się gwałtownie głowa oficera, potem we wnętrzu domu rozległy się komendy i tupot butów z cholewami, i z drzwi wypadli trzej żołnierze, uderzeniem kolby powalili rzeźnika, a potem uniósł się wojskowy karabin, błysnął bagnet i żołnierz uderzeniem z góry rozbił patefon razem z płytą, patefon leżał w słońcu na bruku, rozbita czarna płyta gramofonowa rozprysła się jak szklany wazon, a sprężyna wyskoczyła z wnętrza patefonu i świszcząc i brzęcząc potoczyła się po kamieniach do sądu, tam tę stalową sprężynę zatrzymał mur, gdzie długo jeszcze chwiała się ostrzegawczo w powietrzu. Nadjechał samochód wojskowy, żołnierze podnieśli zakrwawionego pana Armagedona, który jednak wciąż się śmiał, i kiedy kładziono go pod brezentową budą, wykrzykiwał nieustannie:

— Armagedon! Armagedon!

Na rynku zapanowała cisza, przy murze sądu chwiała się stalowa sprężyna. Po chwili z gmachu wyszedł blady urzędnik, miał na sobie czarny żałobny garnitur z zielonymi wyłogami pod szyją, pozbierał i starannie włożył do dużej koperty kawałki i odłamki płyty gramofonowej.

Stałem pod arkadami, za mną niczym brązowe ogromne anielskie skrzydła otwierały się podwójne drzwi sklepu pana Rehra, patrzyłem na dom w głębi ulicy Sądowej, dokąd zawieziono rzeźnika pana Waszyczka, i zdawałem sobie sprawę, że tak jak pełne było błędów ortograficznych orędzie do narodu generała Blaskewitza, tak samo Niemcy nadal się ich dopuszczają, czytałem w gazetach o błędzie ortograficznym w Polsce, a potem we Francji i w Belgii, i ciągle te same poważne błędy, które Niemcy popełniają w stosunku do narodów i do ludzi, i których już nie mogą nie popełniać. I wiedziałem, że za mną pod opuszczoną żarówką, chociaż na dworze świeciło słońce, pan Rehr po raz ostatni układa śmierdzące skórki,

robi inwentarz swojego interesu, bo od Żyda nikt już nie mógł przyjmować pieniędzy za stare kości i skóry, słyszałem, że pan Rehr pojedzie gdzieś do Polski, do Galicji, tam skąd tu przybył.

A potem rzeczywiście ten dzień nadszedł.

Stałem pod arkadami, za plecami miałem zamknięte drzwi sklepu, w którym skupowano skóry i kości, pan Rehr z walizkami i tłumokami siedział na ławeczce pod figurą Najświętszej Panny Marii, mającej chronić przed zarazą, obok niego jego żona, która bez przerwy wpatrywała się w bruk i była blada i nie poruszała powiekami, obok niej Egon, chłopak, który chodził do drugiej klasy. Siedzieli tam tak i patrzyli, nikt ich nie pilnował, ja jednak wiedziałem, że ktoś pilnuje ich na odległość, wiedzieli tylko, że mają czekać na rynku, że jak samochód ciężarowy armii niemieckiej zabierze Żydów ze wsi i z innych miasteczek, to załaduje też pana Rehra z rodziną i zawiezie ich dokądś w Galicji. A ja dziwiłem się, czemu właśnie jego, przecież nikt nie umiał kupować starych kości i cuchnących skórek i nie robił tego z taką radością jak pan Rehr, który uśmiechał się, nawet gdy w lecie pociąg kości gnął i biał na słońcu tam, nad starym korytem Łaby, i fetor płynął wprost do okien pana Rehra.

I kiedy tak stałem koło zamkniętego sklepu, z ulicy Mostowej wyszedł brat pana Rehra, Oskar, niespełna rozumu, ten, który pilnował tych stosów kości, w długim kaftanie i w butach z cholewami, który z tego pilnowania miał takie pragnienie, że przed ich domem, tam, nad starym korytem Łaby, obracaliśmy kołem pompy, a Oskarek pił jeden garnek wody za drugim, czasami wychłęptywał dzieśnięć, czasami piętnaście garnków wody. A potem zdejmował buty, stał obok stosu kości po kolana w wodzie martwego ramienia, gwizdał sobie i rozmyślał, mówiono nawet, że znał kiedyś biegle pięć języków i bywał w świecie, i tak dobrze rozumiał filozofię, że kiedy wszystko przemyślał do końca, to zwariował, pomieszało mu się w głowie, tak że wszystkiego zapomniał i wobec tego pilnował tych wysokich i długich stosów kości, z których resztki mięsa i ścięgien odzierało słońce i wygryzały do białości szczury. Każdemu, kogo spotykał, Oskarek mówił to samo:

— Być mądrym przez pięć minut!

I zamiatał kaftanem ziemię, i nosił czarny kapelusz, i w marszu kołyszącą się wzdłuż biodra rękę zarzucał aż na plecy. I tak właśnie przyszedł pod figurę Najświętszej Panny Marii, walizkę niósł mu Krzesalek, mój kolega szkolny, który nie umiał czytać ani pisać, który skończył piątą klasę, a teraz u pana Rehra ładował skóry i stare kości i dwa razy w tygodniu woził je z kierowcą samochodem ciężarowym do Pragi, a przed wojną czasami aż do Monachium. Krzesalek niósł radośnie walizkę, a kiedy postawił ją obok pana Rehra, zawołał wesoło:

— Dzieńdoberek, szefuńciu!

A Oskarek stał z ręką odrzuconą do tyłu, w nasuniętym na głowę czarnym ogromnym kapeluszu, stał i przez chwilę pociągał się za pejsy, lśniące zawsze od

słodzonej wody. Krzesalek usiadł na cokole figury Najświętszej Panny Marii — i na tym polegał jego pech, nawet w tej piątej klasie: Krzesalek po prostu nie mógł patrzeć na swoje ubranie, bo jak zobaczył jakąś jedną nitkę, zaraz zaczynał za nią ciągnąć, a ta jedna wyciągnięta nitka pociągała za sobą drugą. Dzisiaj Krzesalek przyszedł w tym ubraniu, które pan Rehr kupił mu w ubiegłym tygodniu. I teraz Krzesalek siedział, czekał na odjazd swego szefa, siedział, a jego palce żwawo wyciągały jedną nitkę za drugą, aż spruł całą nogawkę, spodnie kulały już o jedną nogawkę powyżej kolana. I pan Rehr nie patrzył już, skąd przyjedzie ciężarowy samochód armii niemieckiej, ale patrzył ze złością, tak jak zawsze kiedy Krzesalek wyciągał nici za stosami kości. I teraz pan Rehr tak właśnie patrzył na szybkie palce wyciągające nici. Oskarek z odchyłoną do tyłu głową i w długim kaftanie wpatrywał się w niebo i jego kapelusz wyglądał jak czarna aureola. I pan Rehr wściekł się, ale nagle Egon, ten jego syn, zapytał:

— Może wrócimy już do domu, tatusiu?

A pan Rehr poczerwieniał na twarzy i podbiegł do figury Najświętszej Panny Marii i z góry wymierzył Krzesalkowi taki cios w głowę, jaki wymierzał w szkole ksiądz dziekan, kiedy najmniej się tego spodziewaliśmy. Krzesalek uderzył brodą o kolana, po czym uniósł oczy, jak zawsze, jakby się właśnie obudził, i ze zdumieniem patrzył na tę swoją nogę gołą już do połowy uda. A pan Rehr stał nad nim i krzyczał, tak że nie spostrzegł, jak z ulicy Mostowej nadjechał samochód ciężarowy. Kiedy zatrzymał się koło ławeczki pod figurą Najświętszej Panny Marii, widać było pod brezentową budą same blade twarze i wystraszone oczy.

Z kabiny wyskoczył niemiecki żołnierz, uniósł zaczep na tylnej burcie i opuścił ją z trzaskiem na dół, a potem ruchem karabinu dał znak, żeby rodzina pana Rehra wsiadała. W burcie znajdował się otwór na czubek buta, ale pani Rehrowa tak była wzburzona, że ciągle nie mogła trafić w ten jedyne schodek w burcie. Żołnierz pomógł jej kolbą, brezent zafalował. Potem Egon pociągnął pana Rehra za rękaw, pan Rehr ciągle wydzierał się na Krzesalka, że zniszczył takie piękne ubranie, które pan Rehr kupił mu, aby godnie reprezentował firmę. W końcu wsiadł również rozgniewany pan Rehr i jeszcze z samochodu, odsunawszy brezent, groził Krzesalkowi. Kiedy ładowano Egona, chłopak wykrzyknął przez łyż:

— Tatusiu, ja chcę wracać do domu!

I głos jego niósł się po rynku, wystrzelił w górę jak figura Najświętszej Panny Marii na kolumnie, ale nikt nic nie słyszał, nikt nic nie pamiętał, nikt nic nie widział. Oskarek, nim i jego żołnierze wpełnęli pomiędzy pozostałych Żydów, uniósł ramiona i powiedział:

— Być mądrym przez pięć minut!

Krzesalek pomógł załadować walizki i zawołał za odjeżdżającym samochodem:

— Do widzenia, szefuńciu!

I usiadł na cokole figury Matki Boskiej, a kiedy spojrział na swoją nogawkę, teraz już beztrąsko, teraz z ogromną już ochotą zabrał się do wyciągania nici.

Po południu, kiedy poszedłem popatrzeć, zobaczyłem, że Krzesalek siedzi na cokole figury Matki Boskiej dokładnie tak, jak to sobie wyobrażałem.

Ze spodni pozostały już tylko szorty, a z marynarki wisiał mu na szyi sam tylko kołnierz.

Armagedon.

## AUSTRIACKI ZWYCIĘZCA

Przy rynku, pod arkadami, tam, którądy szło się do szkoły, miał swoją księgarnię i sklep z materiałami piśmiennymi pan Fuchs. Tak od razu to on nigdy nikomu książki nie sprzedał. Najpierw wypytywał, po co ta książka, dla kogo, potem wygłaszał pogadankę o tej książce i dopiero wówczas ją sprzedawał. Ale nie lubił tego bardzo, zwłaszcza jeśli była to książka cenna, nie lubił się jej pozbywać, a skoro już do tego doszło, natychmiast kazał sobie przysłać tę samą z Pragi, żeby ją mieć na półce. A przez rok przebywał w Indiach, miał od tego czasu niezwykle piękne oczy. Kiedy sprzedawał książki w półmroku sklepionych pomieszczeń, żarzyły się tam te jego oczy, ogromne piwne oczy, odrobinę zezowate, zupełnie tak samo, jak kiedyś tatuś miał źle ustawione reflektory w swojej szkodzie czterysta trzydzieści. Jednym reflektorem spoglądał do rowu, a drugim — w niebo. I do każdego, kogo lubił, pan Fuchs mówił głosem spiskowca:

— W dziedzinie ducha sytuacja zmienia się na lepsze!

I spoglądał tymi swoimi źle ustawionymi oczyma, jednym okiem w samą wieczność, drugim zaś uziemiał się do ziemi. Był wegetarianinem i kupował tylko takie warzywa, których nie nawożono fekaliami, rozpoznawał je bezbłędnie już na targu po wyglądzie łodygi czy liści: czy nie są naznaczone koncentrycznymi brunatnymi kręgami.

Ja osobiście polubiłem pana Fuchsa dopiero podczas wojny, kiedy brakowało benzyny i musiał on swoją lancję — tak długi samochód, jakim jeździli tylko królowie, musiał przerobić tę swoją otwartą lancję na gaz drzewny. Nad tylnym siedzeniem piętrzyły się dwie ogromne zamknięte beczki, tak duże jak dwa piece marki Musgraves numer 14. Co sobota przychodzili mechanicy, w bramie księgarni rozpalali w tych piecach, nasypywali kostek z drewna bukowego, a kiedy nagromadziło się dosyć gazu, pan Fuchs wkładał biały garnitur, wsiadał do lancji i wyjeżdżał na swoją przejażdżkę po miasteczku.

Nie lada jaki był to widok, kiedy wyjechał na rynek. Dwaj mechanicy stali z tyłu z hakami, zupełnie tak samo, jak kiedy książę pan Thurn Taxis jechał we wspaniałej karocy, a z tyłu stali dwaj lokaje w liberiach, z założonymi rękoma. Pan Fuchs jechał ulicami i uliczkami, jechał powoli, i każdemu, kto się zatrzymał, mówił, że w dziedzinie ducha sytuacja zmienia się na lepsze. A potem wyjeżdżał

na rynek, robił dwie honorowe rundy, mechanicy gmerali hakami w kotłach, z których buchał dym i pył, księgarz miał uniesioną głowę i jednym okiem wpatrywał się w samo jądro nieskończoności, drugim zaś w bruk, i powoli wjeżdżał do bramy. Ale niemal za każdym razem się tam nie mieścił, ta brama była tak ciasna — tak jak ciasno porusza się tłok w cylindrze — za każdym razem zaczepiał błotnikiem, i mechanicy musieli potem lewarem prostować lancie, tak by wjechała aż na podwórze. Ta lancia była tak ogromna, że w garażu mieściła się tylko chłodnica, pozostałe części samochodu całe znajdowały się na dworze. W browarze również przerobiono samochód na gaz drzewny. A ponieważ nikt nie chciał jeździć z szoferem jako pomocnik, pan piwowar postanowił, że jeździć będzie stryjaszek Pepi. Tak więc już od rana stryjaszek Pepi czyścił kotły po wczorajszym dniu i rozpałał ogień, i sypał z worków drewniane kostki, które paląc się błękitnym płomykiem tworzyły gaz drzewny. Dopiero teraz pracownicy browaru ładowali na ciężarówkę piwo i beczki lodu. Stryjaszek Pepi, uzbrojony w długi hak niczym we włócznie, stał za kabiną i podczas jazdy gmerał hakiem w kotłach, a dopiero potem przeskakował na stopień i wchodził do kabiny. Musieli jednak mechanicy popełnić pewnie jakiś błąd, bo ciężarówka co pięćset metrów ni stąd, ni zowąd zwalniała, stryjaszek Pepi wobec tego wołał już stać przy kotłach i grzebać w nich, tak że od pyłu i sadzy miał zupełnie czarne ręce i policzki. A szofer lubił zabawę, śmiał się bez przerwy i cieszył z tej szarpiącej jazdy swojej ciężarowej prągi, a kiedy na rynku zgromadziło się sporo ludzi, zatrzymał się i rzekł:

— Coś mi się to nie podoba, panie Józefie. Niech pan skoczy i pogrzebie hakiem!

A stryjaszek Pepi już stał przy dwóch kotłach, podniósł pokrywę i gmerał hakiem. A szofer zauważył:

— I tak podczas wojny wynosił pan popielniki przy działach!

— Co takiego, ty ośle? — ryknął stryjaszek Pepi i zaczął gmerać w kotłach, tak że tryskały iskry i z wnętrza unosił się kłęb dymu, który nad samochodem zajął się ogniem, i rozległ się huk, który zwalił stryjaszka z nóg i gapiów zasypał sadzami i pyłem. Ale stryjaszek, z opalonymi doszczętnie brwiami, obsypany sadzą, trzymał hak jak święty Jerzy włócznie i grzmiał:

— Skąd przy dziale popielniki, ty ośle? Gdyby pan tak powiedział kapralowi Byrczuli, to by pana trzepnął i wdeptał w ziemię jak robaka! Ty ośle, ty krowo jedna!

I zamknął pokrywę, i przykręcił śruby, i zanim wsiadł do kabiny, wykrzykiwał do ciekawskich, którzy wyglądali spod arkad:

— I znów austriacki żołnierz odniósł sławne zwycięstwo!

Samochód ciężarowy ruszył z miejsca.

Jakoś ci mechanicy kiepsko ustawili kotły na gaz drzewny, bo praga ciągle rozwoziła piwo rwanymi ruchami, jakby miała czkawkę.

Ja tam myślałem sobie, że jazda jest taka dlatego, że szofer lubi się śmiać, a jak się śmiał, to łzy płynęły mu z oczu i w atakach śmiechu szarpał kierownicą.

Szofer umiał też tak włączać i wyłączać silnik, że z rury wydechowej rozlegały się strzały, aż przerażeni ludzie padali na ziemię albo co prędzej kryli się za najbliższym rogim czy też w drzwiach sklepików.

Kiedy przyjaźniłem się z Krzesalkiem, z uczniem, który skończył piątą klasę i który mimo to nie nauczył się ani czytać, ani pisać, chodziliśmy razem podczas pogrzebów do magistratu. Mieszkał tam Poupa, który także skończył piątą klasę i podobnie jak Krzesalek powtarzał ją tak długo, aż osiągnął wiek czternastu lat. Siadywali w ostatniej ławce, golili się już, grali w tej samej ławce w karty, a czasami nawet popijali przyniesione piwo. Pan kierownik zachowywał się tak, jakby ich w ogóle w klasie nie było. A więc w piwnicy magistratu, kiedy właśnie przechodził obok pogrzeb, Poupa, który miał wiatrówkę, strzelał przez otwarte okienko piwnicy śrutem wprost w zad czarnego pogrzebowego wałacha.

A potem już tylko patrzyliśmy.

Pogrzebowy rumak ruszył z kopyta, woźnicy kiwał się na głowie ten jego pogrzebowy kapelusz z kogucimi piórami, a on sam omal nie spadł z wysokiego kozła. Karawan z trumną omal nie wpadł na księdza dziekana z ministrantami. Musieli biec, ministrant z krzyżem biegł także, żeby go nie przejechał karawan, chór śpiewaków też przyspieszył kroku, karawan kołysał się, konie galopowały rozsypując wokół żałobne wieńce. Uczestnicy pogrzebu również zaczęli biec, żeby dorównać kroku konduktowi, zbierali pogubione wieńce, dopiero koło małego dworca konie uspokoiły się i orszak znów się uformował.

Jeśli w uroczystości żałobnej brała udział orkiestra, to muzycanci rzucając się biegiem przestawali grać, ale zanim na dobre przestali, to instrumenty zawodziły jeden po drugim, tak jakoś ta pogrzebowa muzyka zatrzymywała się, jak kiedy gra płyta gramofonowa, a sprężyna jest zbyt słabo nakręcona. A ja i Krzesalek oraz Poupa siedzieliśmy w piwnicy magistratu i śmialiśmy się, jakbyśmy byli w kinie na jakiejś grotesce z Chaplinem. Śmialiśmy się zupełnie tak samo jak szofer z browaru, który mijając pogrzeb tym swoim samochodem ciężarowym na gaz drzewny, zatrzymał się pośrodku ulicy tuż przed krzyżem na przedzie konduktu pogrzebowego i zawołał:

— Panie Józefie, chyba w tych kotłach nie ma właściwego ciśnienia!

I stryjcio Pepi, czarny niczym diabeł, wyskoczył za kabinę, odśrubował pokrywy, a kiedy orszak pogrzebowy ominął pragę i przechodził obok niej z grającą smutnie orkiestrą, stryjczek Pepi uderzył drągiem o ściany kotła, szofer zaś — tak jak to już on potrafi — włączył i wyłączył silnik... i rozległ się ogłuszający wystrzał, z obu kotłów na bukowe kostki buchnął czerwony pył i w powietrze uniosły się sadze i dym, nawet sam szofer się przestraszył, bo praga przysiadła na tyłku, stanęła dęba i beczki potoczyły się na stryjcia, ledwie zdążył uskoczyć pod



dach kabiny, a ciężarówka opadła z powrotem na przednie koła, zupełnie jak koń na biegunach.

A ja i Krzesalek staliśmy z Poupą przy okienku piwnicy magistratu. Poupa przed krótką chwilą wystrzelił malutki śrut z wiatrówki, i kiedy tak patrzyliśmy z mroku piwnicy na pełną słońca ulicę, przeraziliśmy się tego, co spowodował jeden śrut z wiatrówki. Nad karawan wystrzelił dym i iskry niczym z komina transatlantyckiego parowca, pogrzebowe konie spłoszyły się i zaczęły galopować, śpiewacy uciekali przed końmi, a pogrzebowi goście przyspieszyli kroku, aby utrzymać odpowiednią odległość. Tak bardzo baliśmy się w tej piwnicy magistratu, że Poupa zakopał swoją wiatrówkę w węglu. A kiedy kondukt pogrzebowy zniknął, zobaczyliśmy tam samochód ciężarowy, z rury wydechowej rozległy się dwa przeraźliwe strzały, a stryjasek Pepi w osmalonej kurtce stał nad kotłami na gaz drzewny, palił mu się daszek czapki, ale stryjasek Pepi wołał:

— I znów austriacki żołnierz odniósł sławne zwycięstwo!

W rano Bożego Ciała zadzwonił kierownik restauracji z Domu Katolickiego, że skończyło mu się piwo. Wobec tego szofer załadował beczki i wraz ze stryjciem przyjechali na rynek, gdzie stały zwrócone we wszystkie strony świata małe ołtarzyki, takie altanki ze świeżo naciętych brzózek, restaurator kazał, żeby samochód wjechał aż na chodnik, aby nie przeszkadzać uroczystej procesji.

A procesja wyszła już z kościoła, chłopcy i dziewczynki na czele nieśli setki koszyczków ozdobionych kwiatami i kolorową bibułą i sypali płatki róż i piwonii, orkiestra grała, a pośrodku procesji ksiądz dziekan pod baldachimem niósł monstrancję, ten baldachim podtrzymywali na drążkach czterej grubi katolicy, piersi mieli przewiązane szarfami i kroczyli w rytm muzyki, a za baldachimem podążali wierni, wszyscy w odświętnych ubraniach i każdy trzymał w palcach wiązkę kwiatów. Kiedy dobiegło końca nabożeństwo przy drugim ołtarzu, wierni — panował taki dziwny zwyczaj — podczas gdy odziane w błękit i biel dzieci z wolna się już oddalały, a więc wierni rzucali się na te brzócki i widziałem, jak taka altanka pada, jak wierni rwą brzozowe gałązki, łamali doszczętnie brzócki i ułożywszy z gałązek bukieciki doganiali procesję, zostawiając za sobą w całym tym brzozowym zagajniku spustoszenie niczym jakaś wichura.

Idąc w procesji już z daleka widziałem, jak stryjasek Pepi toczy po legarze beczki wprost do piwnicy, widziałem na ciężarówce wesołego szofera, który przygotowywał właśnie ostatnią beczkę.

Procesja zatrzymała się przy Domu Katolickim, panienki w bieli obskakiwały księdza dziekana, który postawił monstrancję na ołtarzu, skłonił się głęboko i zaczął odprawiać krótką mszę świętą. Sypałem płatki kwiatów, a kiedy procesja ruszyła do ostatniego ołtarza i ksiądz dziekan szedł znów pod baldachimem, wierni zaś rzucili się na brzócki, spostrzegłem, że szofer siedzi już w kabinie i szepcze coś stryjciowi, po czym stryjasek wskoczył na samochód i odsrubowawszy pokrywę pogmerał hakiem w kotle. I kiedy tam tak grzebał we wnętrzościach, za-

palili się gaz i pył węglowy, i potężny wybuch wstrząsnął rynkiem, a w powietrze nad brzozowy zagajnik wokół ołtarza wzbił się obłok, który się zajął. I panienki w bieli, i chłopcy w niebieskich ubrankach padli na koszyczki i płatki kwiatów, koszyczki porwane siłą podmuchu toczyły się po placu, podskakiwały jak żywe, cały ten brzozowy zagajnik zwałił się na wiernych, a podmuch zerwał baldachim z drążków, baldachim uniósł się jak balon, żeglował przez chwilę nad rynkiem niczym latający dywan perski, po czym opadł na stryjaszka i przykrył go nad otwartym kotłem na gaz drzewny.

Jedynie ksiądz dziekan, dzięki temu, że był taki ciężki i trzymał się monstrencji, jedynie on stał, nadal trzymał się monstrencji i czekał, aż opadną sadze, pył i dym.

Szofer dodał gazu, po czym szybko ujął i dwa wystrzały z rury wydechowej niczym dwie kropki zamknęły to uroczyste Boże Ciało. Stryjaszek Pepi wolną ręką wygrzebał się spod baldachimu. Kiedy opadł dym, podnieśli się muzycanci, których wybuch powalił na chodnik, ale mosiężne instrumenty nadal przyciskałi do piersi. Stryjaszek Pepi wygrzebał się spod baldachimu, stał z hakiem nad dymiącym kotłem i wołał:

— I oto raz jeszcze austriacki żołnierz cesarza pana okazał się zwycięzcą!

Tego samego popołudnia, kiedy samochód ciężarowy przywiózł piwo do gospody „U Wejwodów”, a restaurator pan Wejwoda poczęstował szofera i stryjcia gulaszem z kozy, obaj najadłszy się wsiedli do kabiny ciężarówki. I szofer, który — jako że było już popołudnie — był zmęczony toczeniem beczek i smutny, nagle się uśmiechnął. Z oddali słyhać było śpiew żołnierzy niemieckich, którzy wracali z ćwiczeń do koszar, kompania elewów hanowerskiej szkoły oficerskiej, słyhać było uderzenia o bruk ich wysokich butów, śpiewali pieśń wojskową. Szofer próbował włączyć silnik, ale motor nie zapalił.

— Panie Józefie — powiedział — trzeba będzie dorzucić kostek. I porządnie kocioł przeczyścić!

Kompania hanowerskiej szkoły oficerskiej zbliżała się od strony piekarni Kuliha, Stryjaszek Pepi odśrubował pokrywę, a żołnierze zaczęli śpiewać:

Die Fahne hoch. . .

SA marschirt. . .

Kiedy przechodzili obok ciężarówki, stryjaszek pogmerał hakiem, tak jak mu kazał szofer, i znów w kotle zapalił się gaz, i w powietrze nad maszerującą kolumnę wzbił się rudy obłok, zajął się w powietrzu i rozprysnął, i opadał sadzami i pyłem węglowym na żołnierzy, którzy padali na bruk, rozbiegli się i raz po raz przypadając do ziemi skokami skryli się za samochodem ciężarowym, wśród dymu rozlegały się komendy wojskowe, przechodnie umykali ulicą, wbiegali do

bram domów i do sklepów, a kiedy dym opadł i dowódca kompanii z wyciągniętym rewolwerem skoczył na stopień przy kabinie i otworzył gwałtownie drzwiczki, siedział tam kierowca z obu rękami na kierownicy, a kiedy ujął gazu, a potem pospiesznie go dodał, z rury wydechowej rozległy się dwa potężne wystrzały, dowódca kompanii znowu padł na ziemię i kryty burtami samochodu pełzył do swoich żołnierzy, chowających się za tylnymi kołami.

W końcu żołnierze podjęli decyzję: zerwali się, szybko okrążyli stryjaszka Pepi i wymierzili w niego broń, a on stał za kabiną, hakiem gmerał w kotle, po czym wziął worek i zaczął sypać bukowe kostki do czarnych wnętrzości blaszanych kotłów, a potem zamknął pokrywę, dokręcił śruby i zameldował:

— *Melde gehorsam, fertig.*

Kompania hanowerskiej szkoły oficerskiej ustawiła się w czwórki, żołnierze niemieccy wracali z ćwiczeń z pełnym wyposażeniem polowym śpiewając:

Denn wir fahren,  
denn wir fahren,  
gegen Engeland. . .

Stryjaszek Pepi wszedł do samochodu i zawołał do przechodniów, którzy z wolna opuszczali kryjówki:

— Austriacki żołnierz jak zawsze okazał się zwycięzcą!

# ŻÓŁTY PTAK

Wzdłuż murów wewnątrz browaru gałęzie jesionów mieszały się z konarami jaworów, w narożniku muru zaś rosła smukła topola. Pośrodku browaru znajdował się sad owocowy, a za browarem aż do rzeki rozciągał się sad czereśni i wiśni, sześćset drzew w równiutkich szeregach jak żołnierze, za stolarnią trzydzieści czereśni z największym drzewem pośrodku, a przed biurem rósł zagajnik świerków. I na każdym drzewie znajdowały się gniazda, na każdym drzewie siedziały i świergotały ptaki, i tak w pogodne dni cały browar obwieszony był ptakami jak świąteczne drzewko ozdóbkami. Kiedy nadchodziła wiosna przelatywały setki jaskółek i oknówek, a gdy zbliżała się zima, przelatywały setki gilów gdzieś aż z Norwegii i pewne odmiany sikorek znad jezior mazurskich. I kiedy w okolicy ściemniało się, w letnie dni kreśliły niebo i gwizdały jerzyki, a gdy szły spać, wśród głębokich ciemności latały ciche sowy i nietoperze. Sowy latały tak cicho, jakby na palcach, a skrzydła nietoperzy nie były głośniejsze niż spokojny oddech człowieka.

W obawie przed nietoperzami matka zamykała okna, bo jeden nietoperz wpadł jej kiedyś do szafy i kiedy matka się ubierała, to włożyła bluzeczkę wraz z tym śpiącym nietoperzem, który obudził się na ciele mamusi i chciał sobie lecieć, mamusia przeraziła się i odtńczyła jakiś dziwny taniec, krzyczała, ale przestraszona zatkała jej usta, a że ciągle nie wiedziała, co ją tam drapie i co się rusza na jej ciele obciśniętym bluzeczką, zrozpaczona uderzyła i zabiła nietoperza, rozgniotła go pod bluzeczką, a kiedy sięgnęła ręką i dotknęła, runęła na ziemię, a ja wraz z ojcem przestaliśmy się śmiać, bo myśleliśmy, że matka przygotowuje się do jakiejś nowej roli, że pokazuje nam, co będzie grać w teatrze.

Sikorki i trznadle, wróble i zięby, i pliszki, wszystkie te ptaki zlatywały się przed biurem browaru i zasypiały w koronach świerków. Kiedy wziąłem latarkę i poświeciłem w gąszcz gałęzi, wszystkie pełne były obudzonych ptaków, tak że mogłem je wziąć do ręki. Cały ten świerkowy zagajnik był ogromnym sklepem ptasznika, był jak kolorowe karty tomu historii naturalnej, poświęconego ptakom.

I tak siedziały te bezbronne ptaszki na gałęziach świerków, które uginały się lekko pod ciężarem ptasich skrzydeł i piórek.

A kiedy później nadchodziła noc, zaczynały pohukiwać puszczyki i puchacze. Skądś z nieba, ze wszystkich stron browarnianych dachów i gzymsów spadał w dół cienki gwizd i wołanie, niekiedy dawały sobie te nocne ptaki znaki, umawiając się na spotkanie na kominach browaru i wieżach wentylacyjnych, i wszyscy ludzie w browarze, słysząc zewsząd ten lament i to zawodzenie, wszyscy byli smutni i myśleli o ostatecznych rzeczach człowieka, bo takie głosy i skargi niczym nożem ryją w sercu tęsknotę.

Stróż nocny, pan Waniatko, rozpościerał w letnie noce wojskowy płaszcz na trawie pod lipami koło warzelni, kładł się na wznak, u jego nóg zwijał się wierny piesek Burek, i nocny stróż leżał z założonymi pod głową rękoma, i wpatrywał się w gwiaździste niebo, po prostu leżał tak i patrzył, gwiazdy spadały mu na oczy, ogromne rozłożyste drzewo nieba pełne było gwiazd, a pan Waniatko leżał i upajał się blaskiem gwiazd. Lubił sowy, które przemykały między drzewami, latały tak nisko nad nim, a tak cicho, że te browarniane sowy można było tylko zobaczyć, ale nigdy usłyszeć.

Ja je słyszałem, ale to słyszenie było takie właśnie, jak kiedy jeszcze byłem ministrantem i chodziłem z zapaloną latarnią z księdzem dziekanem udzielać sakramentu ostatniego namaszczenia, no i kiedy przyszliśmy pewnego razu z zapaloną latarnią za późno, ksiądz dziekan otworzył okno i umierający załamał się i umarł, i jego dusza wyleciała przez okno wydając taki sam dźwięk jak lecąca sowa.

Kiedy na browarnianych murach i kominach dawały sobie znaki puchacze, a puszczyki zaczynały pohukiwać i wyć jak oszalałe psy, w każdą taką noc stróż nocny biegł pod słodownię, a potem pod warzelnię i lodownię, i krzyczał w górę na puchacze i puszczyki, wołał na nie, wymyślał im i groził laską, jakby to byli chłopcy na czereśniach. Ale stróż nocny lubił się złościć, lubił krzyczeć, lubił dawać wszystkim głośno do zrozumienia, że jest w browarze, że nie śpi, że czuwa i pilnuje.

W takie wieczory siedzieliśmy w domu i nasłuchiwaliliśmy przeraźliwego porzebowego śpiewu małych sówek, i na to, o czym nie chcieliśmy myśleć, zwracał nam uwagę i czerwonym ołówkiem to podkreślał krzyk nocnego stróża, który prosił, a w końcu z całą stanowczością domagał się, aby wszystkie puchacze i puszczyki odleciały i przestały przywoływać śmierć, żeby przestały wzywać nieszczęście na browar i jego mieszkańców. Dopiero po północy stróż uspokajał się i radosny chodził i budził nas łomocąc w okna i oznajmiając sumiennie, że puchacze dały się przekonać i nad browarem panuje cisza i spokój, wobec czego on idzie się położyć na wznak i strzec uszami browarnianej kasy, a oczyma patrzeć na gwiazdy.

A potem, kiedy usnęliśmy, rozległo się ciche pukanie w szybę. Czasami, kiedy zrywa się wiatr, gałęzie jabłoni kołyszają się lekko i tak delikatnie stukają w okno pokoju. Ale ojciec siedział na łóżku i słyszał, jak ktoś puka w okno, czyjs kościsty

knykieć. A potem przestraszyliśmy się wszyscy, w oknie ukazała się diabelska twarz, oświetlona gęba tak straszliwa, że matka włożyła sobie róg pierzyny do ust.

Ale był to nocny stróż pan Waniatko, który machał latarką miotając snopy światła na swoją twarz i dawał do zrozumienia, że musi nam powiedzieć coś niezwykle ważnego.

Ojciec otworzył i nocny stróż wskazał na postacie, przestraszyliśmy się ich jeszcze bardziej niż jego twarzy, którą widzieliśmy przed chwilą w oknie. Były to same tylko poruszające się białe nogi albo unoszące się w powietrzu białe koszule. I te postacie zbliżyły się do okna, i dopiero po chwili spostrzegliśmy, że są to wszyscy mielcerze w białych koszulach, rozespani, rozczochrani, a wszyscy robili to samo: dawali ręką znak, żebyśmy i my także wstali i poszli z nimi, bo nie chcą być jedynymi, których nocny stróż obudził.

Noc była ciepła, wyszliśmy więc w samych nocnych koszulach, wkładając jedynie buciki na nogi. A nocny stróż prowadził nas w stronę obór, szedł i odwracając się dawał nam ręką znaki, że czeka nas coś niezwykłego, że nie jest to wcale wół, który wpadł do gnojówki jak w zeszłym roku w nocy, że nie są to też związani bandyci, bo zdarzyło mu się przed dwoma laty związać dwoje kochanków i o północy przyprowadzić ich tatusiowi pod okno, ale nigdy jeszcze nie widziałem nocnego stróża tak uroczystego i kipiącego wprost tajemnicą jak teraz. Od obór ruszyliśmy cichutko w stronę stolarni, pan Waniatko obrócił się teraz, na koalicyjce na jego piersi paliła się latarka, i nocny stróż oburącz pokazywał nam, żebyśmy byli cisi, jeszcze cichsi, dyrygował nami jak orkiestrą smyczkową, żebyśmy szli tak cichutko, jakbyśmy unosili się w powietrzu. I sam stróż nocny rozgarnął wysokie liście łośnianów i wszedł po pas w zarośla mokrych liści, latarka oświetlała zielony półmrok pod listowiem, mielcerze w białych gaciach zawahali się, ale dłonie nocnego stróża znowu zaczęły nas wabić dalej, jego ręce były tak roztańczone i kuszące, jakby to były ręce samej dziwożony czy nimfy leśnej. I tak oto przez te łośnianowe zarośla dotarliśmy na tyły stolarni. Nigdy tu nie przychodziłem, bałem się zawsze najbardziej tych łośnianowych liści, które tały w sobie groźbę, że poderzną mi gardło, nigdy nie zapuszczałem się w te pokrzywy i podmokłe zakątki, gdzie gnieździły się ogromne ropuchy, teraz jednak ręce stróża nocnego wabiły mnie do tego stopnia, że nie poczułem nawet, jak ostry łośpuch zranił mi czoło.

Pan Waniatko zgasił teraz latarkę i podprowadził nas pod wznoszącą się pośrodku największą czereśnię obsypaną owocami, które mieniły się żółtoróżowym blaskiem. I ręce nocnego stróża dały nam do zrozumienia, że jesteśmy już na miejscu, że to już koniec naszej wędrówki. Staliśmy pod rozłożystym drzewem, spoglądaliśmy jeden na drugiego, białka oczu błyszcząły nam jak płatki kwitnącej czereśni, a pan Waniatko zapalił latarkę i unióśł snop światła w gałęzie drzewa. A kiedy spojrzeliśmy w górę, wszyscy unieśliśmy ręce.

Tam wysoko siedział na gałęzi duży żółty ptak. Spał.

Był rozmiarów niewielkiej złotej kaczki, większy jednak niż wilga, siedział na gałęzi i spał. Patrzyliśmy w górę i wszystkim nam się wydawało, że ten ptak świeci niczym zapalona latarnia, że promieniuje swoim światłem. Odwróciłem się i wpatrywałem się w oczy mielcerzy; wciąż jeszcze mieli rozcapierzone dłonie, rozrzucone ramiona i w ich twarzach odbijał się blask żółtego ptaka, jego złocistych piór. I widziałem, że ten żółty ptak wart był tego, żeby nocny stróż ich obudził, i że czują się wyróżnieni tym, co widzą. Jakby ten żółty ptak przyleciał z dalekich krajów, jakby uciekł z jakiegoś ogrodu zoologicznego.

Pan Waniatko podobnie jak ja nie patrzył na żółtego ptaka, ale patrzył i cieszył się z tego, jak ten ptak działa na ludzi. Tak jakoś przez cały czas się obawiał, nie był pewien, czy właśnie ludziom z browaru spodoba się to, że ich wszystkich obudził. Teraz jednakże widział tak samo jak ja, że ten żółty ptak wszystkich tą swoją niezwykłą urodą naznaczył.

— To ptak z bajki — szepnął pan mistrz bednarski i dotknął ręką białej koszuli.

— Tak właśnie wyglądał cesarz Franciszek Józef, kiedy w białym mundurze z orderem Złotego Runa szedł w procesji na Boże Ciało — odezwał się stryjaszek Pepi.

Żółty ptak obudził się, otworzył oczy i spoglądał w dół w oczy ludzi. Oczy miał jak drogocenne brylanty osadzone w bursztynowej oprawie. Wpatrywał się w oczy ludzi i widział, że oczy ludzi spoglądają na niego. A kiedy już się napatrzył, kiedy myślałem już, że nagle zemdleję, żółty ptak westchnął, westchnął głęboko i z wolna przymykał oczy, i usypiał, i spał z łebkiem na żółtych piersiach.

— Dobrze, że nas pan zbudził — powiedział ojciec. — Nie widziałem jeszcze czegoś tak pięknego.

I unieśliśmy wszyscy dłonie, i na palcach wracaliśmy tam, skąd przyszliśmy.

Koło chlewów pan Waniatko powiedział:

— Wiecie, panowie, kto to był, ten żółty ptak? Duch rzeźnika z jatek, pana Waszyczka. Armagedon. W ten sposób przesyła nam pozdrowienie i znak, że bój to będzie ostatni. Hehehe.

Białe gacie mielcerzy oddalały się wzdłuż suszarni i magazynów do izby czeładnej w słodowni, dwie białe koszule mistrza bednarskiego i mechanika skierowały się wśród nocy do służbowych mieszkań. Stróż nocny ocierał pot, lśnił, jakby dopiero co wynurzył się z wody.

Drżałem, ojciec podał mi rękę i doprowadził mnie bezpiecznie do domu. Ale nie mogłem usnąć, duch rzeźnika z jatek nie dawał mi zasnąć. Przed świtem wstałem, ubrałem się po cichu, po cichu otwarłem drzwi i po cichu ruszyłem za stolarnię.

Na niebie świeciła ostatnia gwiazda. Kiedy spojrzałem w koronę czereśni, ptaka tam już nie było, zapewne odleciał wraz z tą ostatnią gwiazdą, która teraz zgasła na niebie.

I nigdy już nie zjawiał się w browarze żółty ptak, tak jak nigdy już nie wrócił do miasteczka rzeźnik z jatek, pan Waszyczek.



## ALTANKA Z WIKLINY

Kiedy ze starostwa nadszedł rozkaz, że wszystkie samochody ciężarowe należy przekazać na cele wojskowe, ojciec nie czekał, aż przyjdzie kolej również na samochody osobowe. Rozebrał na części swoją škodę czterysta trzydzieści nie po to, aby ujawnić ukrytą w niej tajemnicę: dlaczego ciągle tak znakomicie funkcjonuje, ale aby opony i silnik przetrwały wojnę.

Dziwiłem się, dlaczego ojciec roztopił wiadro smalcu i poustawiał na stole słoiki do przechowywania konfitur, później jednak nie mogłem ukryć uśmiechu, kiedy tatuś wkładał do słoików gaźnik i rozdzielacz, i tłok, zupełnie jakby to były gruszki czy czereśnie w syropie. Potem zalał te części wieprzowym smalcem i ustawił słoiki w spiżarni tak jak inne tegoroczne konfitury.

Tego samego wieczoru polecił mi, żebym w porę przechwycił stryjaszka Pepi, zanim umknie do miasteczka, by spotkać się z co ładniejszymi panienkami. Przyłapałem stryjcia, jak się kąpał, codziennie mył się pod natryskiem, widziałem jego ciało i musiałem przyznać, że stryjaszek Pepi to same mięśnie i ścięgna, niczym jakiś fiński zawodnik. Niczym sam Nurmi.

Stryjcio stał pod prysznicem, nigdy się nie namydlał, bo nie miał mydła, stał i spoglądał w górę, a gorąca wody spływała po nim, powlekała jego ciało. Wyszedłszy spod natrysku, od razu się ubierał, bo nie miał ręcznika.

Wraz z przemoczoną koszulą naciągał portki, a czapkę wkładał na mokre jeszcze włosy. Poprosiłem stryjaszka, żeby co najwyżej przez pół godzinki pomógł tatusiowi — tym razem nie przy montowaniu, ale w ukryciu opon.

Stryjaszek śmiał się i promieniał i nim poszliśmy na kolację, tatuś — kiedy zaczęło się ściemniać — zaprowadził nas do garażu, gdzie stała na kozłach škoda czterysta trzydzieści. Nie przyświecając sobie toczyliśmy po cichutku opony na dach słodowni, na dach, który pokrywała warstwa piasku i drobnego żwiru, gdzie rósł mech i rojnik.

Kiedy wyskoczyliśmy przez okno na łagodnie opadający dach, ja wciąż jeszcze nie domyślałem się, gdzie ojciec zamierza te opony ukryć. Zrozumiałem dopiero, gdy odsunął pokrywę z kikuta starego komina, który znajdował się na tym samym poziomie co dach słodowni, i uśmiechnął się, wskazując palcem tę głęboką studnię.

Wśród wieczornego półmroku jaśniała marynarska czapka stryjaska. Ojciec zniknął. Kiedy wrócił, miał na ramieniu sznury i liny, starannie zwinięte, takie, jakie noszą alpiniści. Chciałem okręcić sznurem oponę, ale tatuś obwiązał sznurem stryjaska w pasie.

— Najpierw musimy zbadać dno — powiedział ojciec.

Zdjął stryjaskowi czapkę i ostrożnie położył ją wśród żółtych kwiatów rojnika. A potem odprowadził stryjaska na skraj głębokiego komina i pokazywał rękami, co stryjcio ma robić. Tak więc stryjasek Pepi zaczął po starych klamrach schodzić w głąb komina, ojciec ubezpieczał go liną, popuszczając sznur. . . Nagle sznur napiął się i stryjcio zawisnął w powietrzu. Ojciec trzymał oburącz linę i polecił mi szeptem, żebym zaświecił latarkę. I zobaczyliśmy, że w połowie komina brak klamer i że stryjcio wisi, usiłując uchwycić się rękoma i nogami, ale zdrapuje jedynie tłuste czarne sadze. I ojciec popuszczał linę tak długo, aż stryjcio znalazł się w sadzach najpierw po kolana, potem po pas, w końcu stał aż po piersi w sadzach na dnie komina.

— Czy masz pewny grunt pod nogami, Józku? — zawołał ojciec pochylając się głęboko, najgłębiej, jak mógł, nad kominem.

— Zupełnie tu nieźle — rzucił stryjasek w górę. — Dokoła nic poza cudną czarną sadzą!

Ojciec ucieszył się:

— Sadza to najlepszy środek konserwujący, znacznie lepszy niż olej, niż smalec wieprzowy!

Obwiązał oponę sznurem i ostrożnie spuszczał ją w ciemny otwór komina, przyświecałem latarką, na dole stryjcio odwiązywał sznur i zanurzał oponę w sadze, które zamknęły się, i tylko poruszane powiewem drobinki uniosły się w górę niczym czarna para, czarne strzępy chmur. I tak oto cztery opony zostały zakonserwowane, dopiero ta ostatnia, ta zapasowa opona spadła na dół, bo sznur przetarł się o krawędź komina. Stryjcio odskoczył, ale opona, zanim spadła na dno, spowodowała wytrysk gejzeru drobniotkich pyłów sadzy, unoszących się niczym słup czarnego pudru, który wyleciał nad komin, po czym rozpląwał się z wolna, osiadając miękko na dachu słodowni.

Ojciec chwycił się oburącz krawędzi komina i zawołał w dół:

— Nic ci się nie stało, Józiu?

Z głębi jednak rozlegało się tylko kichanie, poświeciłem latarką i zobaczyłem, że stryjasek kicha i za każdym razem jego broda wraz z całą twarzą zanurza się w sadzach. A potem stryjcio oparł się o ścianę komina i zaczął ziewać, po czym nagle osunął się i zniknął, i tylko powierzchnia sadzy falowała lekko: raz po raz — w rytm jego oddechów — pojawiały się na niej bąble.

Ojciec przestraszył się. Obwiązał się w pasie liną i powiedział, że jestem już dorosłym chłopakiem, niech więc pokażę, że mam dosyć siły. I zaczął opuszczać się w dół, kiedy dotarł do ostatniej klamry, zawołał w górę:

— Brak tu pięciu klamer, natęż więc wszystkie siły!

Odchyliłem się do tyłu, stanąłem na szeroko rozstawionych nogach i opuszczałem sznur tak długo, aż zwisał luźno. Poświeciłem latarką: ojciec stał po pas w sadzy i zaczął nogami szukać po dnie, tak jak się szuka topielców. I ucieszył się, zanurzył się w sadze, które zwichrzyły się i uniosły w kłębach w górę niczym opary nad stawem. A kiedy wyprostował się i sadze spłynęły po nim, trzymał w pasie stryjaszka Pepi, obwiązał go sznurem, a ja przesuwałem ręce, dłoń za dłonią, i ciągnąłem sznur ocierający się o krawędź komina. I nagle poczułem, że sznur nie jest tak napięty: stryjaszek Pepi stał na klamrze, po chwili zaczął się wspinać, ja więc tylko lekko go ubezpieczałem. A kiedy pojawiła się jego głowa, mimo iż panowały ciemności, zobaczyłem, że jest czarny jak bryła śląskiego węgla. Wyskoczył z komina i od razu położył się na wznak, spoglądał w górę, na gwiazdy, wokół niego kwitł żółto rojnik, a stryjaszek wykastywał sadzę.

Raz jeszcze opuściłem linę, ojciec obwiązał się nią w pasie, a ja wyciągnąłem go aż po sam skraj komina. Trzymał się kurczowo jego krawędzi — zupełnie jak zawodnik na wyścigach, który właśnie pokonał dystans w czasie lepszym niż dotychczasowy rekord świata, głowę oparł o wierzch dłoni, minęła dobra chwila, nim nabrał sił i wygramolił się na dach. A potem leżał obok stryjaszka Pepi na wznak, rozrzucił szeroko ręce i nogi i wpatrywał się w niebo, wykrztuszając z siebie sadzę. I tak obaj leżeli w kępach rojnika, a ja zwinąłem linę i sznur i nasunąłem pokrywę na stary komin. Stryjaszek Pepi obrócił się, leżał na łokciach i sapał.

Po chwili wziął w czarne palce białą marynarską czapkę, włożył ją na głowę i uśmiechając się wyskoczył przez okno na korytarz słodowni. Niebawem jego biała czapka kreśliła białą dróżkę pod lipami koło wagowni, do bramy. . . A potem zniknęła. Stryjaszek Pepi spieszył do „Anionu” i na Zofiówkę zobaczyć, co robią tam miejscowe ślicznotki i dlaczego nie mogą się bez niego obejść.

Tego wieczora ojciec słuchał w radio komunikatów, aby wiedzieć, jak szybko front zbliży się na tyle, żeby mógł wziąć znów sznury i linę i wyciągnąć te opony z komina, a ze słoików na konfitury gaźnik i inne części ukryte w topionym wieprzowym smalcu. Najlepszych jednak informacji o tym, jak front przesuwa się coraz bliżej i bliżej Berlina, dostarczał pan Friedrich, inżynier, starosta w niemieckim mundurze, który już drugi rok w browarnianych magazynach montował obrabiarki, żeby jego hamburska firma mogła nadal pracować. Kiedy front przesunął się pod Wrocław, starosta siadywał już po południu na tyłach słodowni, tam gdzie niski dach magazynów opadał w dół tworząc rodzaj nawisu, pod którym starosta postawił ławeczkę, ten nawis chronił ją przed deszczem, ale jak front ruszył od Wrocławia dalej na zachód, pan Friedrich zaczął budować domeczek, taką altankę z prostych gałęzi, których sam sobie naciał. A kiedy front jeszcze bardziej zbliżył się do naszych granic, starosta nie mógł tego znieść, natychmiast po obiedzie szedł na tyły słodowni i tam z listew i deseczek robił krzeselka i sto-

lik, które potem wyplatał wikliną. A potem siadywał tam wieczorami i aby nie myśleć o tym, że front się zbliża, upłócił z łożyny ogromny żyrandol, piękny żyrandol wielkości melona czy też dyni, powiesił go i doprowadziwszy prąd, wkręcił żarówkę. I siedział tak w tym wiklinowym domeczku, i pisał, a wiatr przewiewał na wskroś tę altankę, która przypominała ten żyrandol z łożyny w większej skali, siedział i pisał.

Spotykając go na drogach wiodących do browaru, ojciec z oczu pana Friedricha czytał, że lada chwila będzie można wyciągnąć opony z komina. Pewnego dnia starosta spakował swoje rzeczy do walizki i oświadczył ojcu, że wyjeżdża do Pragi, do komendantury. A kiedy następnego dnia nie przyjechał, ojciec nie zdzierzył. Rozpalił pod kuchnią i postawił na płycie słoiki z gaźnikiem i rozdzielaczem, i innymi częściami, po czym obciążkami wyciągał części szkody i kładł je na stole, chodził koło nich, pochylał się, brał je w palce i cieszył się, zupełnie tak samo jak mamusia, kiedy rzeźnicy po świniobiciu kładli na specjalnej stolnicy szynki i schaby, gołonki i łopatki, i dziewicze polędwice.

Mielcerze w magazynach zrywali niemieckie napisy ze stojących na klepisku maszyn, a potem wzięli butelkę spirytusu i wyszli na tyły, tam gdzie stała altanka starosty Friedricha. Wybiegłem na łąkę i patrzyłem na tę altankę. Kiedy mielcerze otworzyli wiklinowe drzwi, pośrodku stał koń na biegunach, wielki koń, na którym nawet można się było huścić. Jednakże mielcerze polali tego konia na biegunach spirytusem i podpalili go. Buchnął płomień, zapaliła się prawdziwa grzywa, palił się cały, ogień trzaskał i syczał wesoło, koń na biegunach ni stąd, ni zowąd zaczął się sam huścić, rozkołysał go trzaskający płomień, który obejmował całego konia i strzelał w górę. Ogień piał się coraz wyżej i trzaskał, w końcu zaczął się też palić ów łożynowy żyrandol. Wszystkie łożygi paląc się rozjaśniały ten żyrandol jak włókienka w zapalanej żarówce. A płomień owijał się wokół i połączył się nad żyrandolem, i piał się wyżej, a kiedy żyrandol rozbłysnął każdym prętem, kiedy żar dosięgnął szczytu, urwał się i spadł na płonącego konia, który runął na bok i palił się na ziemi, jedna jego noga grzebnięta nawet, po czym wyciągnęła się niczym w ostatnim przedśmiertnym skurczu. Szklane oczy tego konia na biegunach wychodziły z orbit z przerażenia, a teraz z kolei zajęła się skórzana uзда: zapachniało wędzonym mięsem.

W końcu mielcerze polali spirytusem stół i krzesła i wesoły trzask ognia stworzył jeszcze jeden domeczek, jeszcze jedną altankę, zamiast wikliny świeciły błękitnie i czerwono malutkie płomyczki, które pełzły po drewnie. A kiedy wszystko stało się tak jasne w tym wieczornym zmierzchu, nagle ta altanka uniosła się lekko i unosiła się tak przez chwilę jak ów koń na biegunach, po czym zaczęła zapadać się z wolna, a kiedy łożynowe ściany osunęły się na siebie, ogień wystrzelił jeszcze wyżej.

To jednak był już początek końca, bo wszystko zapadało się, traciło swoje kształty, tak że w końcu na ziemi leżał tylko płonący i dymiący żar, tak jak kiedy

wypala się na wiosnę trawę. Bednarze przynieśli wiadra wody i zalawszy resztki zarzewia ruszyli w stronę nowego wysokiego komina. Młody mielcerz rozwinął róg chorągwi, wspinał się na pierwszą klamrę, a w miarę jak wchodził coraz wyżej, przymocowana z tyłu za pasem chorągiew rozwijała się i powiewała, niekiedy wyprzedzała chwytające palce mielcerza, a on niemalże biegł, widać było jego ręce i nogi, ciągnące w górę na kominie nie tylko ciało, ale i powiewającą chorągiew.

Bednarze i mielcerze odchylali do tyłu głowy i patrzyli z powagą. I oto mielcerz usiadł na krawędzi komina, trzymał się piorunochronu i ciężko oddychał. A potem przywiązał chorągiew do piorunochronu i chorągiew rozwinęła się na wietrze. Mielcerz zaczął schodzić, chorągiew obwisała mu do nóg, ale po chwili falowała znów wysoko i unosiła się w górę, i poruszała się, tak jak jej kazał wiatr i powiew.

A tymczasem na tyłach magazynów z resztek altanki trysnęły iskry, w głębi wiatr rozpromienił łeb konia na biegunach, płonęła w ciszy błękitnym płomieniem i zapach mokrego popiołu płynął nad dziedzińcem browaru i nad sadem.

Mistrz bednarski spojrział w górę na chorągiew na kominie i powiedział:

— Wojna się skończyła. Teraz znów my będziemy panami browaru.

I oddalił się w mrok wieczoru, zagłębił się w ciemność dziedzińca, mielcerze wracali do izby czeladnej. Ojciec przyniósł na ramieniu zwój lin i sznurów.

— Chodź, wyciągniemy opony — powiedział do mnie.

— Tak, tatusiu — odparłem.

# MÓJ CHRZESTNY ZELENY

Mój chrzestny Zeleny mieszkał tuż nad rzeką. Jego dom wyglądał jak leśniczówka, miał nawet na froncie rogi. Na podwórzu znajdowała się ogromna stodoła, za nią zaś rabatki kwiatów i ogród warzywny, oddzielony płotem od drogi wzdłuż wody. Mój chrzestny miał jednak dziwny charakter. Był łagodny i łaskawy, ale nagle dostawał ataków wściekłości i zawsze źle się to kończyło.

Moim chrzestnym został dopiero wówczas, kiedy ojcu trzykrotnie udało się namówić go, żeby przyszedł na godzinę przytrzymać mu nakrętkę. I za każdym razem Zeleny wracał dopiero w niedzielę w południe i dostawał po tym montowaniu takiego ataku, że brał jedną z tych swoich siekier i rąbał szafę. A potem czuł się doskonale. Ale że montował z tatusiem trzy razy, porąbał tych szaf aż trzy.

Kiedy miałem przystąpić do bierzmowania, pan Zeleny zaproponował, że mi kupi zegarek i będzie moim ojcem chrzestnym, ale pod warunkiem, że tatuś nigdy już się do niego nie odezwie, że nigdy nie weźmie go w sobotę, żeby mu przytrzymał nakrętki. Tak oto został moim chrzestnym, a jego żona Nany — moją chrzestną. Ja jednakże wiedziałem, że mój chrzestny nie lubi tatusia jedynie dlatego, że ojciec potrafi przeprowadzić cały remont generalny motocykla marki „Orion” tylko za pomocą dłutka i młotka, bo mój chrzestny z kolei potrafił posługując się samą siekierą wyciosać z drewna i drewek nawet zegar z kukułką.

Chrzestną Nanynekę lubiłem dlatego, że wyglądała tak, jak ja sobie wyobrażałem, że powinna wyglądać moja mama. Wracając ze szkoły zatrzymywałem się zawsze przy płocie i spoglądałem na podwórze przed stodołą albo w głąb ogrodu. Kiedy była ładna pogoda, chrzestny siedział przed stodołą, na koźle miał umocowany trzema klamrami pieniek, w palcach trzymał zaś małe kawałki drewna i ociosywał je siekierą. Kiedy tak stałem przy płocie i przez chwilę patrzyłem na poruszające się szybko ostrze, chrzestny nagle nie trafiał, gdzie należy, obracał się i patrzył na mnie z wyrzutem, że się na niego gapię. A ja stałem, trzymałem się sztachet płotu, a mój chrzestny trzymał siekierę i tak długo spoglądał na mnie, dopóki sobie nie poszedłem dalej. A tam — o ten kawałek dalej — patrzyłem przez płot na chrzestną Nany. Kiedy była ładna pogoda, nic tylko ryła nieustannie, zgięta w pół obracała ziemię, kiedy przyszła wiosna i lato, ciągle okopywała warzywa i rabatki kwiatowe. Czasami wcale jej nie widziałem, słyszałem ją tylko

i odgadywałem jej obecność po kolorze zgrzebnego fartucha, cała bowiem wplątana była między krzewy czarnej porzeczki i rękoma i malutką motyczką pełła i okopywała krzaki, szła tyłem, a kiedy podnosiła się, aby rozprostować krzyże, widziałem, że jej ręce są tak duże jak ręce furmanów z browaru, palce miała ciągle rozcapierzone, dłonie zaś tak spuchnięte, jakby zamiast nich miała dwa ogromne racuchy.

Mój chrzestny Zeleny lubił palić, właściwie to nawet nie palił, ale raz po raz zapalał cygaro. Ilekroć stałem przy płocie, zaczynał się obmacywać, szukał po kieszeniach zapalek i dopiero zapaliwszy cygaro, zabierał się znów do roboty. Właściwie to nigdy nie potrafiłem zgadnąć, co też chrzestny ciosa tą swoją siekierką. Na otwartych wrotach stodoły wisiało pomiędzy dwoma gwoździemi chyba z dziesięć siekier, małych i dużych. Chrzestny pracował czasami tą największą, trzymał w palcach malutki klocek drewna, który ociosywał, ale ja nie odgadłem nigdy, co to ma być i do czego się to nada. Kiedy indziej znów trzymał kawał dyła. Ale ociosywał go, obdziobywał tym najmniejszym toporkiem. A ja za każdym razem myślałem, że robi zegar ścienny, taki, który gdy wybija godzinę, wyskakuje z niego kukułka.

Pewnego razu mój chrzestny szukał po wszystkich kieszeniach zapalek, aby przypalić sobie znowu swoje cygaro. Nie znalazłszy ich, zawołał w głąb ogrodu:

— Nanyńko, podaj mi zapałki, dobrze?

Ale chrzestna nie usłyszała, bo znajdowała się w końcu ogrodu, gdzie przesiewała ziemię przez sito.

Chrzestny zaczął wrzeszczeć:

— Do licha, Nanyńko, gdzie są te zapałki?

Chrzestna rzuciła łopatę i pognała co sił, fartuch zaczepiał się jej o gałęzie porzeczek, biegła i wpadła do budynku, ale chrzestny już ryczał:

— Nanyńko, kurwo wstrętna! Gdzie te zapałki?!

A chrzestna brudnymi rękoma wyplątywała się z firanek, trzymała pudełko zapalek, ale nie chciała pobrudzić firanek, więc wyplątywała się łokciami. A chrzestny już się wydzierał:

— Ty kurwo jedna! Wbiję cię w ziemię jak gwóźdź!

Wstał i darł się wniebogłose, i zaciskał pięści, język mu spuchł.

Chrzestna wybiegła z zapałkami, ale jak to zobaczyła, natychmiast wpadła do stodoły i wyniosła skrzyneczkę, taką niewielką szafeczkę, i postawiła ją przed moim chrzestnym, i podała mu siekierę — a on z całej siły rąbnął szafkę o ziemię, jedną ręką wybił tylną ścianę, po czym przewrócił ją na bok, tak że legła cała, coś w niej zaskrzypiało, a chrzestny zaczął teraz uderzać siekierką tu i tam, tak że po chwili z szafki nie została już ani jedna cała ścianka, ale i tego było chrzestnemu za mało, rąbał drzwiczki i deski na drobne kawałki, a kiedy wreszcie zważył się na stary fotel i ciężko oddychał z szeroko rozstawionymi kolanami, chrzestna zabrała te resztki szafki do fartucha i zaniosiła do drewnitni: drzazgi na podpałkę.

Co miesiąc chrestna ciągnęła pusty wózek do handlu starzyzną, aby kupić tu tanio starą szafkę, taką najtańszą, i przywoziła ją do domu nad rzeką, i wstawiała do stodoły. A chrestny — ilekroć chrestna ją wiozła — zawsze się wstydził, musiała ją wieźć przykrytą, zupełnie tak samo jak kiedy poderżnęła gardło gęsi, musiała ją nieść z podwórza ukrytą pod fartuchem, bo wprawdzie chrestny bardzo lubił schrupać gąskę, ale nie mógł patrzeć na jej poderżnięte gardło.

I to ja właśnie przywodziłem na mojego chrestnego rozmaite kłopoty. Ilekroć raz na miesiąc zajrzałem na jego podwórze albo do ogrodu, zawsze bywałem świadkiem czegoś, czego się chrestny później wstydził. Pewnie i on także nie chciał się z nikim przyjaźnić i dlatego został moim chrestnym, kiedy tatuś mu obiecał, że nigdy się do niego nie odezwie. Kiedy po wakacjach poszliśmy znowu do szkoły, wracałem pewnego dnia po południu, było gorąco, a kiedy chciałem się wykapać i powiesiłem bluzę na sztachecie płotu, zobaczyłem, że chrestna wypręła ogromne firanki, tak duże jak okna jakiegoś hotelu. A teraz kładła w ogrodzie długie listwy ze sterzczącymi w górę gwoździami i na tych gwoździach napinała te firanki. Kiedy później rozsunęła listwy, to jakby rozwinęła sztandar. Stwierdziłem, że te firanki całe są zrobione szydełkiem i składają się z dwunastu miesięcy, a każdy miesiąc miał zrobione szydełkiem aniołki, grono aniołków, które w zimie jeździły na łyżwach, w lecie chwytaly motyle, a jesienią tłoczyły wino z dojrzałych gron. Każdy miesiąc zrobiony był z aniołków, połączonych skomplikowanymi słupkami. Z krajobrazem i zwierzątkami, motylami i ptakami. Patrzyłem i zupełnie zapomniałem pójść się kąpać, tak pięknych firanek nigdy jeszcze nie widziałem, gapiłem się na chrestną, spostrzegłem, że ma tłuste ramiona opalone zupełnie jak piaskarz, widziałem, że cała jest w tych firankach, ona też nie mogła się napatrzyć na te swoje firanki, które sarna zrobiła i na które zapewne, skoro je tylko powiesi, codziennie będzie patrzeć.

Poczułem nagle ogromną ochotę wpaść do chrestnej, ale wiedziałem, że nie wolno mi tam wejść, że mój chrestny znowu porąbałby jedną szafkę, bo ja działałem mu na nerwy zupełnie tak samo jak mój tatuś.

A potem chrestna zniknęła i nagle zjawił się chrestny, trzymał siekierkę i szukał czegoś w ogrodzie, a ja widziałem, że po przeciwnej stronie ogrodu leżą polana i deski z czerwonego drzewa, pewnie ze śliwy lub gruszy. I chrestny wyciągnął kilka tych deseczek, ale żadna mu nie odpowiadała. Dopiero ostatni okrągłak, wziął go i szybko szedł przez ogród, niemal biegł, skupiony bez reszty coś do siebie mówił, cygareto mu zgasło. A kiedy rzucił się biegiem, zaczepił spodniami o gwoździe na listwach, na których rozpięto białe firanki. I chrestny rozdarł sobie spodnie, ale tylko odrobinę.

— Nanyńko, gdzie jesteś! — zawołał cichutko.

I nasłuchiwał, ale na podwórzu i w stodole panowała cisza, bo chrestna kłęcząc w łodce prała bieliznę.



Spoglądałem na przemian to do ogrodu, to na łódkę, ale nie wiedziałem, co robić.

— Nanyńko, gdzie jesteś, kurwo wstrętna?! — wrzeszczał chrzestny i kopnął nogą: rozległ się trzask i chrzestny rozdarł sobie całą nogawkę.

Zbiegłem po schodkach do łódki i zawołałem:

— Chrzestna Nany, proszę natychmiast wracać do domu!

Chrzestna podniosła się, cała mokra, z rękoma zupełnie sinymi, przeskoczyła ławeczki łódki i pochylona do przodu wypadła na drogę, a potem biorąc po trzy schodki naraz wbiegła do ogrodu, ale było już za późno. Chrzestny pozrywał firanki, ściągnął z siebie portki i deptając po nich ryczał:

— Wbiję cię w ziemię jak gwóźdź!

Chrzestna pobiegła prosto do stodoły i wyniosła szafkę, ale mój chrzestny wziął tymczasem spodnie i rozdarł je na dwie połowy, a potem, trzymając w rękę każdą nogawkę osobno, pobiegł w długich gaciach, w podkoszulku z długimi rękawami do pralni, gdzie otworzył drzwiczki pieca i rzucił ugniecione po drodze w kostkę nogawki na płonący węgiel.

— Żebyś wiedziała, kurwo wstrętna, w piecu są też pieniądze!

Chrzestna wyciągnęła spodnie, polala je wodą, a potem z dymiących kieszeni wysypała drobne, a w końcu z tylnej kieszeni wyciągnęła portfel z banknotami. I dopiero potem postawiła szafkę, mój chrzestny powalił ją z boku gołymi rękami, rozsypała się cała i runęła na ziemię, a chrzestny razem z nią, ale natychmiast zerwał się na nogi i zaczął odrywać kawały szafy, rozrzucał deski, w końcu chrzestna podała mu siekiere i tak jak za każdym razem porąbał deski i ścianki, i drzwiczki na drobne kawałki, na szczapy i drzazgi, na drewnienka na podpałkę.

Im bardziej niweczenie szafki zbliżało się do końca, tym jaśniej dostrzegałem, jak od chrzestnego odchodzi ten gniew, jak jego twarz rozluźnia się, jak krew powraca tam, skąd napłynęła mu do głowy. Stałem trzymając się sztachet płotu i patrzyłem, co też się dzieje u mojego chrzestnego.

Chrzestna wyciągnęła stary fotel i jej mąż zwałił się nań, rzucił się do tyłu, bo wszystko to już znał, nie chybił ani o centymetr, i rozrzucił ręce, i rozrzucił kolana, i spoglądał w niebo, chrzestna zaś odnosiła pełne naręcze dREW do komórki.

A chrzestny rzucił w niebo:

— My, Słowianie, jesteśmy okropnie wrażliwi!

Pragnąłem, żeby mój ojciec był również taki wrażliwy, żeby rąbał szafy i żeby nam za każdym razem wymyślał od wstrętnych kurew!...

Przed świętami Bożego Narodzenia padał mokry śnieg. Kiedy wracałem ze szkoły, musiałem iść pochylony do przodu, tak gwałtowny wiatr dał od mostu kolejowego, ale nie zdołałem się powstrzymać i stanąłem przy płocie. Chrzestna w ogródku warzywnym rozrzucała krowi gnój, widłami nabierała go z kupy i potrząsała, i szła tak, a za nią kładł się żółto-brunatny gnój, a przed nią świeżo spadły śnieg. Chrzestny stał przy ogromnym pieńku i największą ze swych siekier wy

ciosy wał jakieś ząbki w kółku. Wróciłem aż do tych sztachet, skąd dzieliła mnie od chrzestnego najmniejsza odległość, i stanąwszy na czubkach palców, i podciągnąwszy się jeszcze na sztachetach, aby lepiej widzieć to, nad czym chrzestny pracuje, patrzyłem, jak wyciosuje z lipowego drewna malutkie kółeczko.

Nie wytrzymałem i wykrzyknąłem:

— Założę się, o co tylko chrzestny chce, że to będzie zegar z kukułką!

Ale nie powinienem był tego mówić, bo chrzestny pracował w takim skupieniu, że się przestraszył, teraz zrozumiałem, że chrzestny naprawdę nie mógł się przyjaźnić z nikim innym, tylko z samym sobą, bo drgnąwszy odrąbał sobie palec. I ten palec upadł, i kot, który siedział na koźle do piłowania drewna, skoczył i porwał ten palec do stodoły. Mój chrzestny spoglądał na kikut palca, potem spojrział na mnie i w jego oczach błysnął okrutny gniew, i nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, roześmiał się straszliwie.

— Chrzestna Nany! — zawołałem. — Proszę natychmiast przynieść szafę!

Jednakże chrzestny, śmiejąc się nadal zwycięsko, położył całą rękę na pieńku, a ja wiedziałem, że nie robi tego dla siebie, ale dla całej swojej opinii, jaką cieszył się w miasteczku, i jednym ciosem mój chrzestny Zeleny obciął sobie całą lewą rękę nad napięstką, i miał jeszcze tyle siły, że chwycił tę obciętą rękę bez palca i cisnął ją mocnym rzutem, wyleciała w powietrze, w którym ukośnie padał śnieg, i leciała ta ręka nade mną, odchyliłem w tył głowę, bo leciała tak wolno, jakby pisała coś na grudniowym niebie, a potem obracałem głowę dopóty, dopóki ręka nie plasnęła i nie zanurzyła się w brudnej szarej rzece, na którą ukośnie padał śnieg.

Chrzestna Nany pobiegła i przyniosła szafkę, ale chrzestny pokazywał zwycięsko kikut, z którego tryskała i ciurkiem płynęła krew. Chrzestna podawała siekiere, ale chrzestny już jej nie chciał, już jej nie potrzebował. A ja wciąż trzymałem się sztachet płotu, przyciskałem do niego głowę, zamykałem oczy i trzymałem się, żeby nie wpaść tyłem tak jak ta ręka chrzestnego do szarej rzeki, na którą padał ukośnie grudniowy śnieg.

Potem chrzestny długo przebywał w szpitalu, a ja bałem się już chodzić nad rzekę i trzymać się sztachet płotu, i patrzeć, co robią mój chrzestny i chrzestna Nany. Nadeszła wiosna i wojna zbliżała się ku końcowi. Niemcy wynieśli się, tatuś przez całą noc klęczał przy radioodbiorniku i słuchał komunikatów. A potem dotarła do browaru wiadomość, że od strony Bolesławia zbliżają się Rosjanie. Ojciec wspiął się na lodownię, pełznąca na brzuchu musiałem mu pomagać w odszukaniu dwóch butelek whisky, które tam zakopał w żuźlu. Ale ojciec zapomniał, w którym miejscu zakopał te butelki na początku wojny, zapomniał zrobić jakiś znak na belkach, przekopaliśmy wobec tego cały strych nad górą lodu, górą, na którą złożyło się u schyłku zimy tysiąc dwieście fur lodu. A przekopywaliśmy na leżąco, bo dach lodowni był niziutki. I kiedy tatuś, zrozpaczony, stracił nadzieję i ze złością wbił motyczkę w żużel, rozległ się głuchy trzask i zgrzyt szkła. A kie-

dy odkopaliśmy żużel, znajdowała się tam butelka whisky rozbita w drobny mak, w żwir wsiąkały ostatnie krople tego pachnącego alkoholu. Lecz obok znajdowała się butelka absolutnie nie tknięta. I ją właśnie tatuś wziął ze sobą.

Nazajutrz wyszliśmy naprzeciw armii radzieckiej. Kiedy w słońcu pojawiły się pierwsze czołgi, zakurzone po wieżyczki i pełne pierwszych kwiatów, ludzie z naszego miasteczka zaczęli wskakiwać na czołgi i zdobić je kwiatami, bukietami fioletowych bzów, które właśnie przedwcześnie zakwitły. Tatuś spojrzął na mnie, uśmiechnął się i odkręcił nakrętkę butelki z whisky, i podbiegł, ukłonił się czołgowi i wyciągnął rękę, musiał wspiąć się aż na czubki palców, a żołnierz radziecki, wprost przeciwnie, musiał się wychylić, tak że omal nie wypadł z czołgu, ale w końcu udało mu się jednak wziąć tę whisky, uniósł ją, uniósł łokieć i rękę i przyłożył do ust. . . i napił się, tatuś uśmiechał się, ale nagle ten żołnierz zbladł, wziął tę graniastą butelkę whisky, oryginalnej szkockiej whisky, którą ojciec przechowywał przez całą wojnę z myślą, że pierwszą butelkę dostanie ten, kto przyjedzie na pierwszym czołgu do naszego miasteczka, żołnierz skrzywił się i wypluł z ust ten drogocenny napój, i zamachnął się, i rzucił butelką o ścianę domu, o której butelka roztrzaskała się, a żołnierz wychylił się i całą ręką i łokciem, i oczyma, i całym ciałem groził ojcu, który cofnął się przerażony pod ścianę, po której spływała z góry whisky. Ojciec obrócił się, dotknął palcem strużki ściekającego płynu, oblizał go i stwierdził, że to naprawdę oryginalna szkocka whisky.

Jednakże czołg oddalił się już, żołnierz pił teraz z butelki zwyczajny rum, który podali mu bednarze z browaru, napił się, pokiwał głową, i znów się napił, a potem podał ludziom, którzy obsiedli czołg i — aby uczcić zwycięstwo — wjechali na rynek.

A nazajutrz chrzestna Nany zawiadomiła nas, że mój ojciec chrzestny nie żyje. Kiedy Armia Czerwona dotarła aż nad rzekę, chrzestny otworzył im natychmiast ogród i zaprosił ich wszystkich na podwórze, komu chciało się spać, temu ofiarował łóżko. A kiedy żołnierze spali, chrzestny nałamał mnóstwo gałęzi białego i fioletowego bzu, a chrzestna na podwórku pomagała oprawiać zabitą krowę. Chrzestny chciał ten bez włożyć do wazonu i postawić na stole, aby w ten sposób uczcić wkroczenie czerwonych żołnierzy, którzy u niego spali, cieszył się, jaką radość im to sprawi, kiedy się obudzą. Chciał więc wyciągnąć wazon, ale znajdował się on w kuchni; złamała się nóżka kredensu, chrzestna więc zamiast nogi wstawiła tam wazon. A więc chrzestny zawołał najpierw:

— Nanyńko, gdzie jesteś, moja gołąbko?

Ale chrzestna trzymała ceber, do którego rzeźnik wrzucał właśnie krowią wątrobę.

— Nanyńko, psiakrew, gdzie jesteś, kurwo wstrętne? — ryczał mój chrzestny. Ale chrzestna trzymała ceber, bo rzeźnik rzucał właśnie do niego nerki.

— No, czekaj tylko, ty chabeto, już ja cię ujeżdżę! — wydierał się chrzestny i odłożywszy gałęzie nałamanego bzu, jedną ręką zaczął wyszarpywać wiel-

ki wazon. Kiedy to nie pomogło, oparł się butem i wazon wyciągnął, ale cały oszklony kredens runął na chrzestnego zasypując go talerzami i talerzykami, filiżankami i najróżniejszymi porcelanowymi naczyniami. Chrzestny jednak wszystko to z siebie otrząsnął, a kiedy stanął na nogach, rozdeptał wszystkie nie rozbite jeszcze naczynia i dopiero wówczas wziął ten duży wazon, włożył do niego pęki białych i fioletowych bzów, postawił ten wazon na stoliku w pokoju, gdzie spali radzieccy żołnierze, spali, ale nie przestawali przyciskać do piersi pistoletów maszynowych. A potem chrzestny runął w kuchni na podłogę, chrzestna niosła szafkę; ale sama zobaczyła, że mój chrzestny leży już na boku, jakby jechał w miejscu na rowerze, jedną nogą poruszał wciąż w tym samym miejscu.

Gdy zjawił się lekarz, powiedział tylko, co każdy mógł stwierdzić, że mój chrzestny nie żyje.

Tego wieczora odbył się na bulwarze wielki festyn. Żołnierze rosyjscy grali na harmoniach, tańczyli i nikt im nie mógł dorównać, ponieważ należeli do wojskowego zespołu pieśni i tańca. Jednakże stryjasek Pepi dopiero wtedy, kiedy w białej marynarskiej czapce udawał się do miasteczka, by spotkać się z pięknymi panienkami, zobaczył, że na bulwarze się tańczy, podszedł więc, żeby popatrzeć. I widząc tańczących żołnierzy, stryjasek Pepi ugiął ręce w łokciach i zaczął tańczyć kozaka, tak że wyskakiwał jeszcze o metr wyżej. Żołnierze odpowiedzieli w ten sposób, że przyspieszyli tempo tańca. Jednakże kiedy i teraz stryjasek im nie ustępował, a nawet w podskoku wyrzucił nogi przed siebie, tak że nim opadł na piasek, kopnął się w czoło, żołnierze przynieśli butelki wódki i częstowali dużymi szklankami po musztardzie widzów i stryjaska Pepi, który poprosił, żeby mu nalano podwójną porcję, bo dzisiaj opalał beczki. I nieustannie trącąc się szkłem, pili za zwycięstwo.

Po upływie pół godziny przybyła radziecka orkiestra dęta, dyrygent uciał sobie nad rzeką wierzbową witkę, poobcinał scyzorykiem listki, a potem zabrał się do dzieła i orkiestra zaczęła wygrywać cichutko walczyki.

Ściemniało się, a na bulwarze w naszym miasteczku zaczął się festyn zwycięstwa. Kilku obywateli tak się upiło, że trzymali się sztachet płotu mojego chrzestnego, a napór wódki był tak potężny, że chciało im się paść na wznak. Wyrwali więc sztachety z płotu i biegnąc tyłem wpadali do wiosennej rzeki. Pewien pijany obywatel w porę wbiegł do swojego domu, ale tam chyba zrobiło mu się niedobrze, wobec tego trzymał się umywalki, ale ta wódka okazała się dlań tak mocna i tak chciało mu się paść na wznak, że wyrwał białą umywalkę ze ściany, przebiegł tyłem korytarz i tyłem wybiegł z ogrodu, i tak biegnąc tyłem wpadł w sam środek festynu, trzymał umywalkę i biegł wciąż tyłem nad rzekę, białą umywalkę cofającą się w półmroku ocalił w końcu rybak Hulik, który wyjął ją z rąk obywatela, a on wpadł tyłem do wiosennej rzeki i dyrygent radzieckiej orkiestry okazał się tak miły, że zagrał uroczysty tusz.

Żołnierze siedzieli ze stryjaszkiem Pepi, który salutował im przykładając palce do marynarskiej czapki, tej, co mu ją uszył pan Szyszler na wzór owej sławnej kapitańskiej czapki, jaką nosił Hans Albers.

— Papszkę zabierzemy ze sobą do Moskwy — mówili żołnierze i tręcali się ze stryjaszkiem pełnymi wódki szklankami po musztardzie.

Stryjaszek Pepi poprosił, żeby mu nalano jeszcze raz, i powiedział:

— Nie mam czasu, skoro mam umówione spotkanie z niezwykle piękną dziewczyną w Cytybarze. Chyba żebyśmy polecieeli do Moskwy samolotem?

Żołnierze zrozumieli, obejmowali i ściskali stryjaszka Pepi, a obywatele naszego miasta cieszyli się, że stryjaszek Pepi jako jedyny zdolny jest dorównać żołnierzom.

W tej chwili zjawiała się moja chrzestna Nany w czarnej sukni. Ale uśmiechała się, kiwała głową, przyjmowała podziękowania skądś z daleka, bo nikt się chrzestnej nie kłaniał, ona jednak ciągle kiwała głową, kłaniała się i odpowiadała na ukłony, i na słowa powitania, chociaż nikt z ludzi się do niej nie odzywał. Słowa te pewnie docierały do niej już skądinąd.

A dyrygent, oparty lekko o pulpit, wierzbową witką dyrygował radziecką orkiestrą dętą, która grała tak cichutko, jak muzykanci z Szumawy.